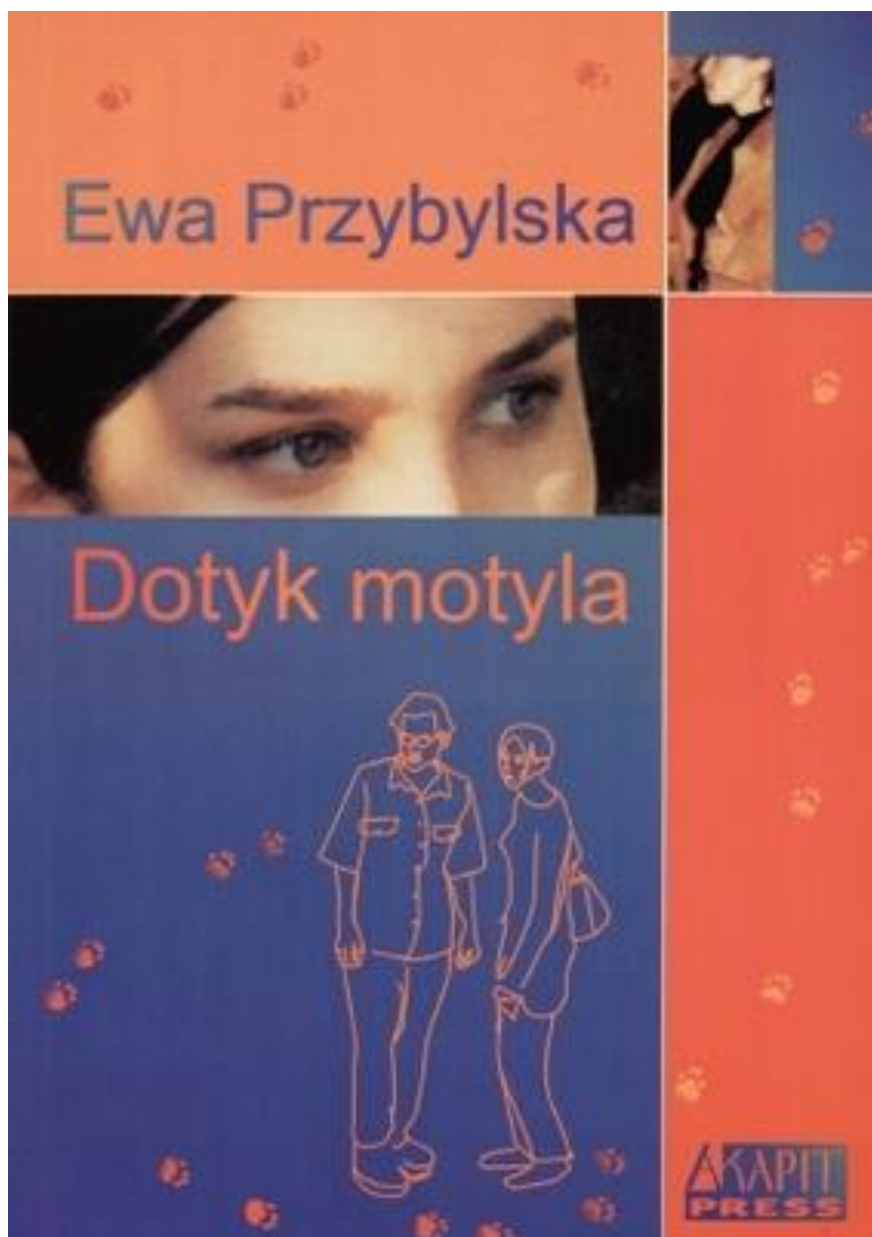


**EWA PRZYBYLSKA**

**DOTYK MOTYLA**



Mężczyzna, który siedział obok mnie, okazał się bardziej prymitywny, niż przypuszczałam. Prezentował się niezłe nawet z bliska, pod warunkiem jednakże, że milczał. Gdy się odzywał, tembr głosu, a przede wszystkim akcent, zdradzał, kim jest. Czekaliśmy na skrzyżowaniu na zmianę świateł. Patrzyłam kątem oka na jego zgrubiały profil. Zdecydowałam się wysiąść. Już sięgałam do klamki, gdy powiedział, że ma córkę w moim wieku. To właśnie najbardziej mnie podbechtuje, mała, wyznał. Dokładnie tak. Podbechtuje.

- A pana córka ile ma lat? - spytałam.

- Dwadzieścia - odrzekł.

- Wyrosła na nielichą... - urwał.

Zabłyśło zielone. Zdecydowałam się zostać. To może być dosyć interesujące, taki prymityw obok na poduszce. Takie gadające zero, które nie pojmuje, że właśnie się obnaża. Nie wjechał na parking hotelowy. Okrążył rondo na Marszałkowskiej i zatrzymał się po drugiej stronie Alei Jerozolimskich. Chropawym głosem podyktował mi taktykę.

- Wejdiesz osobno, mała.

- Do mnie mówi się per pani - przerwałam grzecznie.

Stracił wątek. Powtórzył pierwszy człon nakazu i znowu utknął.

- Zgrywus z ciebie - powiedział.

- No dobrze, wejdzie pani pierwsza, zaczeka w holu, potem zapyta tego byka za ladą, czy pan prezes Szukalski jest u siebie w pokoju. Przeczytasz moje nazwisko z kartki - tu wepchnął mi zapisany karteluszek - i powiesz, że skierowała cię tutaj Prywatna Agencja Zatrudnienia. Pan prezes szuka sekretarki, to akurat jest prawdą. Zrozumiałaś?

- Pani zrozumiała - odrzekłam.

Nabrał powietrza, ale zmilczał. Wysiadłam. Obejrzał mnie en face, potem z boku, potem biodra, wreszcie zatrzymał wzrok na nogach. Nie odchodziłam, pozwoliłam mu oglądać siebie do woli.

- Nie mam pięćdziesięciu - oznajmił.

- Naprawdę? - zdziwiłam się.

- Przekonasz się!

- Będzie mi miło ze względu na pana - odrzekłam i zostawiłam go w środku tej jego blaszanej zieloności.

Byłam już po drugiej stronie ulicy, gdy wyprowadził swoją luksusową trawkę na jezdnię. Zapewne objedzie najpierw ze dwie przecznice, dopiero potem zajmie miejsce na parkingu. Na koniec ruszy do hotelu, przejdzie obok mnie, jakbym była niewidoczna. Wreszcie nieprzesadnie zaciekawiony obejrzy się na ową młodą damę, o której szepnie mu recepcjonista.

Nie damę, tak nie mówią w Polsce. Dziewczynę. Weszłam do środka. Recepcjonista, rzeczywiście bykowały, wychylił się i obejrzał mnie dokładnie. Miałam nienaganny makijaż, bardzo dyskretny, włosy upięte wysoko, paznokcie lekko posrebrzone, żadnej biżuterii, żadnej zalotności, wyglądałam dokładnie, jak powinnam. Jak dziewczyna polująca na dobrą posadkę. Wyszukałam karteluszek z torebki i podałam bez słowa. Przeczytał dokładnie, po czym obejrzał się na tablicę.

- Pana prezesa jeszcze nie ma.

- Miałam być o piętnastej - odrzekłam strąpiona.

- Skoro tak, to proszę zaczekać.

Znowu popatrzył na mnie. Głos miał uprzejmy z cieniutką nutą porozumienia. Czekałam, aż mrugnie do mnie. Nie zrobił tego. Usiadłam skromnie na kanapce, pod palmą. Hol był prawie pusty, kilku panów obejrzało się na mnie, jeden siadł vis - a - vis. Popatrzyłam na niego jak z wielkiej odległości.

- Haben Sie etwas Zeit, junge Dame? - zagadnął.

- Zeit habe ich genug, aber es fehlt mir an Lust mit Ihnen zu sprechen - odrzekłam szkolną niemczyzną.

Wycofał się czym prędzej. Recepcjonista obserwował nas z uwagą zza swojej lady, wciąż niepewny co do mojej profesji. Przez wysoką szybę dostrzegłam mego Adonisa: Zbliżał się wielkimi krokami, sam wielki i trochę zwałisty. Tak, raczej był tym, za kogo się podawał. Byznesmenem. Nowym produktem nowego świata interesu, człowiekiem bez handlowego rodowodu, ot, onegdajszy komiwojażer, i to z bardzo świeżą metką. Wszedł do holu. Zachował się dokładnie tak, jak przewidywał mój scenariusz. Kroczył, jakby był na planie filmowym, z okiem kamery na sobie, rejestrującej każdy jego ruch. Nie opanował jednak tej nowej roli zbyt dobrze. Wysłuchał recepcjonistę, przesunął po mnie obojętne spojrzenie, po czym przyjął klucz. Poszedł cicho uśmiechnięty, ale oczy dawały mi znaki.

- Pani do mnie?

- Jeżeli jest pan panem Szukalskim.

Poszliśmy ku windzie. Pokój miał numer 213. Korytarz był pusty. Pan prezes rozejrzał się szybko, po czym wypadł z roli. Jedną ręką manipulował kluczem w zamku, drugą usiłował mnie objąć. Usunęłam się.

- Dopiero za progiem będę pana - powiedziałam grzecznie.

- Na dwie godziny.

Oniemiał. Już miał przekroczyć próg, gdy przytrzymałam go za marynarkę. Weszłam pierwsza. Apartament był elegancki. W pierwszej części stało biurko, na nim maszyna do

pisania i sterta papierów. W drugim, przylegającym do pokoju najwięcej miejsca zajmował tapczan.

- Mamy tutaj sekretariat - poinformował mnie.
- Nasze biuro dopiero się buduje - wskazał stertę reklamowych pism.
- To duża spółka - dodał chępliwie.
- Z obcym kapitałem... Zapaliłam światło. Rzucił się ku oknu i zasłonił je szczelnie.
- W ten sposób właśnie zwraca się uwagę - zauważyłam.
- Masz doświadczenie?

Nie odpowiedziałam. Przyglądałam się pośpiechowi, gestom, jakie uważał za niezbędne. Dla siebie, rzecz jasna, mój nastrój bowiem się nie liczył, mój nastrój został opłacony z góry. I słusznie, dla mnie także nie był istotny. Ów potajemny strumyczek, który stale czekał gdzieś we mnie, daleko w głębi, znowu się wyzwał, już zaczynał płynąć powoli, jakby ze znużeniem, albo może nawet nudą, przecież wszystko już było, Zuzanno, podobne gesty, podobne kłamstwa, różniące się od siebie tylko sposobem wymowy, co nowego chcesz odkryć z facetem, który rafinerię myśli z wyrafinowaniem...

Odsunęłam go niecierpliwie. Wtedy mnie uderzył. I to była właściwie jedyna nowość w powtarzających się przypadkach.

- Interesujące - powiedziałam spokojnie.

Zgłupiał. Obrócił się, popatrzył na mnie. Uśmiechnęłam się miluchno. Ciężki wazon z wodą i kwiatami trafił go prosto w żołądek. Aż się zgiął.

- Remis - powiedziałam.

- Ciesz się, że nie trafiłam niżej. Za takie kalectwo nie otrzymałbyś renty nawet w miłosiernej Polsce.

Nie rzekł słowa. W małych oczach dostrzegłam odrobinę szacunku, mój Boże, następna żalсна prawidłowość. Zamknął za sobą drzwi łazienki.

Leżałam w poprzek łóżka, kotary były szczelnie zasłonięte, zza drzwi dochodził szum wody, na dywanie iskrzyły się szklane odpryski wazonu, mam nadzieję, kryształowego, woda już zdążyła wsiąknąć w krwistą czerwień, zostawiając czarne plamy. Czułam w sobie lekki niepokój. Nigdy jeszcze w żadnej sprawie nie usatysfakcjonował mnie remis. Nigdy.

Podeszłam do biurka. Kilka wizytówek leżało w szufladzie. Owszem, miał firmę. Owszem, mieszkał w Warszawie, na Pradze, przy ulicy Zamoyskiego. W domu również miał telefon. Wykręciłam numer. Nie od razu podniesiono słuchawkę. Wreszcie odezwał się głos kobiety, szorstki, pewien siebie, zatem raczej się dobrali.

- Poproszę pana Teosia - zaszcebiotałam.

Chwila milczenia.

- Nie ma go - padła oschła odpowiedź.

- A chce pani wiedzieć, gdzie jest? - zagruchałam. Zawiesiłam głos.

Czułam, jak ona na moment wstrzymała oddech.

- W hotelu „Forum”, kochaniutka. Pokój 213. Ze mną.

Słuchawka trzasnęła. Nacisnęłam guzik baru. Zamówiłam kawę, winogrona i butelkę szampana, tylko żeby był dobrze schłodzony, dodałam. Owinęłam się prześcieradłem i usiadłam w fotelu. Za moment wyszedł z łazienki, pół ubrany, pół rozluźniony, nie pamiętający, co było. Nie ja mu o tym przypomnę.

- Rozmawiałaś? - spytał wycierając twarz ręcznikiem.

- Mówiłem, żebyś nie podnosiła słuchawki.

- Pytali, co podać - odrzekłam.

- Zamówiłam szampana.

- Zwariowałaś?! - zachnął się.

- A to po co?!

- Żebyś mnie mógł przeprosić - odrzekłam.

Zgarnęłam odzież z poręczy krzesła, zabrałam torbę, uchyliłam się spod jego rąk i zatrzasnęłam drzwi łazienki. Lustro powiedziało mi pół prawdy. Naturalny rumieniec przebiegał się spod rozmazanego makijażu, ale nadal byłam starsza niż w rzeczywistości. Popatrzyłam uważnie na siebie, on zaś dobijał się do drzwi.

- Otwórz! - nalegał.

- Zapłacił pan za dwie godziny - odrzekłam.

- Właśnie minęły.

- To się pospiesz i idź do diabła - krzyknął.

Sama wiedziałam, że muszę się spieszyć. Zabrałam się ostro do siebie. Zmyłam nawet hennę z oczu. Włosy zaplotłam w warkocz. Lakier puścił pod wpływem wilgoci i moja czarna szopa poskręcała się w niezliczone loczki. Odgarnęłam je z czoła. Wyglądałam teraz na mniej, niż sobie liczyłam. Najwyżej na piętnaście. Po namyśle wyjęłam z torby granatową wstążkę i zawiązałam pod szyją wokół zapiętego kołnierzyka. Osłupiał na mój widok. Pozwoliłam mu pooglądać każdy detal, i to najdokładniej.

- Zgadłeś! - powiedziałam do oniemiałego.

- Uwiodłeś nieletnią. Nie mam szesnastu.

Milczał. Nie pojmował. Uśmiechnęłam się do niego promiennie. Po czym zamknęłam drzwi, zostawiając za nimi rozgrzebany tapczan, i Adonisa w niekompletnym stroju. Z windy

wyjeżdżał akurat boy. Na wózku miał szampana, kieliszki, coś do zjedzenia i aparat z kawą. Zza załomu korytarza wypadła kobieta około czterdziestki.

- Pod 213? - zaatakowała boya.

Odruchowo potwierdził. Wyszarpnęła mu uchwyty wózka z rąk. Popchnęła barek w stronę pokoju. Jej ruchy mówiły dokładnie, co za chwilę nastąpi. Boy wskoczył do windy, którą przytrzymałam.

- Dzięki - rzekł.

- Nie ma za co - odrzekłam uprzejmie.

Obejrzał mnie.

- Z rodzicami przyjechałaś?

- Z babcią.

- Jak ci na imię?

- Irenka.

- Na którym mieszkacie? Nie widziałem cię tutaj.

- Dopiero przyjechałyśmy - odrzekłam.

- Ładna jesteś, wiesz?

- Niech pan takich rzeczy nie mówi - odrzekłam.

- Babcia mówi, że to nie wypada.

Opuściłam windę. Recepcjonista obrzucił mnie nieuważnym spojrzeniem. Hol wypełniała gromada kobiet. Zewsząd dobiegał mnie niemiecki szwargot. Z całą pewnością wziął mnie za jedną z nich. Zadzwoiłam. Usłyszałam szybkie kroki, potem mignęło światło w oku judasza, wreszcie drzwi się otwały.

- Nareszcie! - rzekła babcia.

- Twoja matka dzwoniła, że jedziesz. Myślałam, że tym wcześniejszym.

- Uciekł mi sprzed nosa - wyjaśniłam.

Sunęła przede mną lekko, jakby nie miała siedemdziesiątki, do której się od pewnego czasu przyznawała. Była szczupła i zawsze tak starannie ubrana, jakby każdego dnia odwiedzał ją korpus dyplomatyczny. Nazywała to „nadawaniem się do użytku” w każdym momencie życia. Była jedyną znaną mi kobietą, która postanowiła grać do końca, jakby się ani wkoło, ani w niej nic nie zmieniło. Oczy jej rozblęły na widok kilkunastu pakunczków, które położyłam na stole.

- Jezu Chryste! - zawołała cicho i zabrała się do rozpakowywania.

- Skąd to i za co? Aż tyle płacą za korepetycje? Przecież to nie domowe, to od Bliklego, poznaję!

- Owszem, lekcje są coraz droższe - odrzekłam.
- Chcesz mnie przekupić, widzę - powiedziała z pełnymi ustami.
- Nie jestem w stanie. Za dużo bierzesz, babciu.
- Zawsze byłam interesowna - przyznała z dumą.
- Dlatego wyglądam, jak wyglądam. Ty też zresztą zapowiadasz się nieźle.
- Dzięki - odrzekłam.
- Tylko nie bądź zbyt ofiarna, moja mała. To nie wady szpecą ludzi, ale ich zalety.

Anioły starzeją się zawsze szybciej.

- Anioły nie są dzisiaj w modzie. Modny jest seks. W moim pokoleniu.
- Ten zawsze był modny - odrzekła nie przestając jeść.
- Możesz mi wierzyć. Jeszcze rok, jeszcze dwa, ale nie później, bo za ładna jesteś, przekonasz się o tym sama. Uznasz, że nie jest to znowu najgłupsza moda. Życie człowieka ma wtedy pewien sens.

- Chyba taki, że przedłuża gatunek.

- Kto ci takich głupstw nawkładał do głowy? Szkoła? Kościół? Może twoja pruderyjna matka? Boże, jaka ja jestem łakoma.

- Właśnie na tę słabość liczę - powiedziałam żartobliwie.

- Co chcesz w zamian?

- Na razie nic. Myślę o przyszłości. Staniesz w razie czego po mojej stronie?

- Jeżeli sama nie będę stroną - odrzekła.

Coś jej w tej chwili przyszło do głowy. Coś, o czym dotąd nie pomyślała. Poznałam to natychmiast po niej. Jej ładna, ani trochę pomarszczona twarz miała teraz w sobie coś z ruchliwego ptaka. Oczy wcale nie spłowieały, ponad normę bystre, przypominały oczy myśliwego. Wpatrywała się we mnie, już oswojona z nagłą myślą, już snująca jej dalszy ciąg.

- Mój Piotr jak się u was sprawuje? - spytała lekko.

- Tata jest w porządku.

- Naprawdę? Jesteś zbyt ładna, aby mieć młodego ojczyma.

- Ma już czterdzieści - rzekłam tonem uczennicy.

- Plus cztery - uzupełniła.

- Najdalej za rok będzie się stawał coraz młodszy. Bądź czujna.

- Tata nie jest taki - odrzekłam.

- Jaki? - podchwyciła.

- Jak ci wszyscy starsi panowie - wyjaśniłam.

Nadal wpatrywała się we mnie. Mogła dostrzec tylko niewinność w moich oczach.

- Chyba nie sądzisz, że chciałam ci coś podpowiedzieć? - powiedziała.

- A niby co takiego miałabyś mi podpowiedzieć? - zdziwiłam się.

Zwątpiła.

- Chyba nie jestem tak całkiem dobrą babcią - powiedziała.

- A ty tak bystrą wnuczką, za jaką cię miałam.

- Udajesz skrucę, czy odczuwasz naprawdę? - spytałam. Zachichotała.

- Fifty fifty. Obluda to jedyna broń starego człowieka. A pomawianie - ostatnia przyjemność.

Roześmiałyśmy się w głos. W jej śmiechu wychwyciłam sporo fałszu, moje ucho nie myliło się nigdy. Zapewne żal jej było tak pięknego scenariusza, wymyślonego w ułamku chwili, z nami trojgiem w roli głównej. Szczerze mówiąc, nie był to tak całkiem absurdalny pomysł, sama powinnam na to wpaść. Uruchomiłam pralkę. Pracowałam szybko i precyzyjnie w oparach proszków i mydeł, podczas gdy mój strumyczek sączył się we mnie powoli i dość natrętnie.

Kim jest tak naprawdę mężczyzna, który dziesięć lat temu wszedł do naszego domu, aby pozostać w nim na zawsze, jeżeli owo na zawsze w ogóle jest możliwe. Kim jest Piotr, idol mojej matki, facetem utkanym z zasad, doskonałością pełną obludy? Czy też, jak chce ta stara dama, siedząca za parawanem mokrych płócien właśnie przeze mnie rozwieszonych, zwykłym facetem o nieuświadomionych potrzebach? Wciąż pracując, słuchałam jej żartobliwego głosu, pełnego dwuznaczności, jako że nie potrafiła inaczej mówić o mężczyznach.

- Kiedyś pisałam dramaty, Zuzo. Ale nikt nie chciał ich drukować. Dzisiaj wiem, dlaczego.

- Dlaczego?

- Jurorami byli mężczyźni. Odbierałam im złudzenia. Choćbym się nie wiem jak starała, nigdy mi się nie udało potraktować męskiego dramatu serio. Zawsze był farsą.

- Bujasz, babciu.

- Tylko trochę. Wtedy czasy były nie te. Dla mądrych kobiet.

- Dla nich zawsze są nie te. Świat jest pełen dinozaurów, babciu. W każdej epoce głównie oni są przy głosie.

- Zgadza się. Chociaż akurat nie o głosie była mowa - zaśmiała się.

- Pewnego razu odwiedził mnie ankieter. Nie wiem, o co mu chodziło, bo to ja go przepytalam. Na żadne pytanie nie umiał odpowiedzieć tak albo nie, a przecież tylko takie rubryki miał w ankiecie.

- Nawet gdyby miał doskonałe rubryki i umiał na wszystko odpowiedzieć, byłoby to i



tak fałszem - odrzekłam.

- To jest jak otwarcie pierwszych drzwi. Za nimi są następne pokoje, wszystkie w amfiladzie i całe w półmroku - spojrzałam na nią i urwałam.

- Nadążam - zapewniła.

- Byłaś ankieterką?

- Czasami bywam - odrzekłam.

- Dostrzegłaś jakieś błyski w tym półmroku?

- Niekiedy.

- Czego twoje pytania tyczyły?

- Powiedzmy psychiki. Zachowań w określonych sytuacjach. Popatrzyła zdziwiona.

- Co za bzdury! Kto ci prawdę powie! Z miłością jest tak jak z polityką. Liczy się głównie taktyka i dalekowzroczność. Chwilowe zwycięstwo to tylko migawka. Pamiętaj o tym, Zuza.

- Nigdy o tym nie zapominam. Żaden mój chwilowy sukces nie otrzymał imienia Wiktoria - odrzekłam.

- Zawsze był tylko informacją o czymś. Tylko głupi upaja się sukcesami.

- Skąd to wiesz?

- Ze szkoły, babciu. Dlatego jestem przez dziesięć lat prymuską.

Popatrzyła na mnie bystro. Lecz moje oczy były oczyma rozbawionej dziewczynki, która nie sięga głębiej poza powierzchnię słów. Uśmiechnęłam się do niej. Wątpię, czy dała się zwieść. Krzątania za drzwiami trwała od kilkunastu minut. Budzik tykał. Znałam kolejność wszystkiego. Za moment Piotr opuści łazienkę, a Danuta skończy krajanie kanapek. Niski, męski głos zawoła pod moimi drzwiami, łazienka wolna, Zuzo. Piotr postoi tam chwilę, aż upewni się, że wstałam. Potem ruszy do siebie. Lecz gdybym nawet nie dała znaku życia, nie wszedłby do pokoju bez kilkakrotnego pukania. Stałby tam w pizamie, z ręcznikiem przewieszonym przez ramię, wysoki, zgrabny, nie myślący, że w takim stroju obcy bądź co bądź mężczyzna nie pokazuje się swojej szesnastoletniej pasierbicy. Rzecz rozstrzygnął budzik. Kroki oddaliły się spod drzwi.

Danuta spytała srebrnym sopranem, jaki miała zawsze rano, zanim zmęczenie dodało jej głosowi chryпки, Zuza już wstała, Piotrusiu? Wstała. Zniknął w ich pokoju z dwoma dużymi oknami na południe, za co mnie stale przepraszała. Moje północne okna, podobnie jak kuchni, wychodziły na podwórko, na rozbebeszony śmietnik, połamane krzewy i śmieci przegarniane wiatrem. Patrzyłam chwilę w dół na psy oblewające poźółkłe iglaki, posadzone przez maniaka zieleni.

Ten z parteru mył samochód, wychlustując wodę przed siebie, a jakiś bachor rozmawiał z matką, wywieszoną z okna na czwartym piętrze. Obrazek jak co dnia, monotonicznie obrzydliwy. Stałam na środku pokoju i ziewałam bez potrzeby ziewania. Nagle za szybą coś błysnęło, jak promień słońca. Lecz słońca jeszcze nie było, jeszcze nie miało prawa wejść ukosem między oficyny, nie, w żadnym wypadku to nie było słońce. Znowu coś błysnęło, to szyba naprzeciwko w oficynie. Rudy płomień wystrzelił na balkon, poszalał między zeschniętymi pelargoniami, podczas gdy czyjaś dłoń, jakby odcięta, ponaglała go gestami do powrotu. Sięgnęłam po lornetkę. Rudy arogant zwrócony był pyszczkiem ku mnie. Widziałam wyraźnie wielkie zielone tafle zapatrzone gdzieś tam, może w wolność, której nie pamiętał. Obcięta dłoń powiewała coraz gwałtowniej i najzupełniej bezskutecznie, on zaś balansował, arogancki i niezależny, na krawędzi balkonowej skrzynki, każdej chwili gotów do skoku w bezpieczne miejsce, nie wiedział bowiem, głupi rudzielec, że nie ma bezpiecznych miejsc dla rudych kotów, one są zawsze podejrzane i z daleka widoczne, jak dysonans w soczystej zieleni. Znowu wlepił we mnie zielone tafle. Dobrze, że zielone, nie miał prawa mieć żółtych, nie miał prawa do bursztynów wprawionych w małą mądrą głowę. Serce pikało mi nieco szybciej, co odnotowałam ze zdumieniem. Odłożyłam lornetkę, odwróciłam się plecami do okna, aby nie widzieć spadania, tej wolności odzyskanej na krótko, na mgnienie, aż do rozbicia się na asfalcie podwórka. W drzwi zapukano.

- Zasnęłaś ponownie? - spytał sopran Danuty.

- Już idę - odrzekłam spokojnie.

Stała w progu już ubrana. Przesunęła po mnie szybkie spojrzenie, lecz nie spytała, dlaczego nie wciągnęłaś poranniczka. Usunęła się do kuchni bez słowa. Piotr stał w progu ich pokoju, także już ubrany, z oczyma na ściennym zegarze. Dzień dobry, powiedział, nawet na mnie nie patrząc. Koszulę miałam do samych kostek, ale zaczynała się milimetr nad piersiami, co przy odrobinie dobrej woli mógł zauważyć. Dotąd nie zdradził jednakże ani cienia tej woli, Danuta czyniła to za oboje. Zatrzymałam się przy nim.

- Podrzuć mnie do szkoły, tato? - zapytałam grzecznie.

- Przykro mi - odrzekł z autentyczną przykrością, wciąż na mnie nie patrząc, nadal z oczyma na zegarze - ale mam, niestety, służbowy wyjazd nie w twoim kierunku. Nie gniewaj się, córeczko.

- Postaram się - odrzekłam żartobliwie.

Wreszcie spojrzał na mnie, nadal roztargniony. Uśmiechnął się, powiedział coś zupełnie nie na temat, podczas gdy jego oczy pobiegły za Danutą, właśnie przechodzącą. Do diabła, znałam go co nieco, nie umiałby tak dobrze udawać obojętności, na pewno nie. Zatrzasnęłam

drzwi łazienki, po czym zaraz otworzyłam je, aby przeprosić za hałas. W domu tym stale kogoś przepaszano albo proszono najuprzejmiej jak się tylko dało. Podniesiony głos byłby tutaj czymś nienaturalnym. Tworzyliśmy idealny trójkąt rodzinny, nie ulegało żadnej wątpliwości, przynajmniej do dziś. Obejrzałam swoje ciało przed wielkim lustrem. Jeśliby wierzyć naszemu katechecie, występki powinien był odebrać już dawno mojej skórze nieco blasku. Lecz nie odebrał, nadal była białoróżowa, policzki jak odlane z masy perłowej, oczy błyszczące.

Usiadłam na brzegu wanny. Było to doskonałe miejsce do rozmyślań, w miarę wygodne i w miarę niebezpieczne, najmniejsze zachwianie równowagi groziło bowiem stoczeniem się na dno emaliowanego wnętrza. Siedziałam więc czujnie, poświęcając rozmyślaniami tylko część mej osoby. A więc miałam za sobą półtora dnia tańca na linie. Zapewne któregoś dnia ktoś mnie rozpozna. Nie jest to myśl podniecająca, ale też nie wzbudzająca lęku, bo niby czego miałabym się obawiać? Zemsty ankietowanych? Najwyżej aidsu. Tak, to jest coś z pogranicza horroru, zastanowiłam się nad tym coraz bardziej zaciekawiona. Owszem, aids jest zawsze możliwy. Musiałabym wtedy pożegnać się z oknami na północ, z łazienką całą w pięknych kafelkach, z luksusowym bądź co bądź życiem, a potem z życiem w ogóle. Być może nie zdradziłabym się przed tymi za ścianą. Chociaż nie, na pewno bym im powiedziała z samej ciekawości. Byłoby bardzo pouczające sprawdzić, jak by się zachowali ci uprzejmi, umiarkowani ludzie, gdyby ten najgorszy ze strachów zapukał nagle do drzwi. Ciekawe, czy tolerowaliby mnie tuż za swoją ścianą, jedzącą w tej samej kuchni, używającą tej samej łazienki. Z całą pewnością paraliżowałby ich lęk, że pewnego dnia, z mściwości człowieka skazanego, użyję potajemnie ich mydła, ich przyborów toaletowych. Tak, nie należałoby raczej liczyć na Danutę i jej idola. Nawet nasz wstydlivy robaczek w sutannie przestrzegał nas na lekcjach wiele razy, że sumienie ludzkie nie zawsze bywa miłosierne, czym zaskoczył mnie niepomernie, dotąd bowiem manifestował niezachwianą wiarę w dobroć ludzką.

- Śniadanie czeka - poinformował mnie przez drzwi sopran Danuty.

- Dobrze, mammo.

Siedzieli przy stole w kuchni. Owsianki nie było już na talerzach. Sączyli powoli kawę. Zegar tykał na ścianie, to w niego wpatrywali się cały czas, on z uwagą, ona nieco nerwowo. Oboje mieli piękne oczy, oboje jasne i oboje wiedzieli, jak się tą piękną przezroczystością posługiwać. Moje oczy były ciemne, podobne do oczu nieobecnego, którego imienia nikt w tym domu nie wymawiał, łącznie ze mną. A jeżeli już, to mówiło się o nim „tamten człowiek”.

- Wypoczęłaś po podróży?

- Tak, tato - odpowiedziałam grzecznie.

- To bądź co bądź trzysta kilometrów jazdy - ciągnął z nutką zakłopotania i

wdzięczności.

- To ja powinienem do niej jeździć. To moja matka.

- Drobiazg, tato - odrzekłam.

- Lubię jeździć do babci. Poza tym mam zniżkę kolejową.

Podziękował serdecznie. Przeprosił mnie, lecz nie zauważyłam, za co. Pamiętam, jak wszedł przed laty do tego domu, małowówny i bardzo niepewny. Jak patrzył na mnie ze swojej wysokości, nie wiedząc jak zagadnąć milczące dziecko. To było nawet ładne wspomnienie, owo długie obopólne milczenie, chyba właśnie ono zbliżyło nas nieco do siebie już wtedy.

- Ile masz dzisiaj lekcji, Zuzanno? - spytała Danuta.

- Siedem, mammo.

Zmartwili się oboje. Usłyszałam, że dzisiaj kupują nowy samochód. Że chcieliby zrobić to we troje, lecz niestety, nie mogą sprawy odłożyć, bo są umówieni na trzynastą, no i dlatego, że złotówka wciąż leci w dół.

- Przeżyję to - odrzekłam.

- Wybierzcie biały.

- Dobrze - przyrzekli.

- Co zrobisz ze starym, tato? Sprzedasz?

- Chyba na złom - roześmiał się.

- Nie, nawet nie na złom. Najpierw mama wprawi się na nim, zanim oddam jej nowy.

Ty już dobrze jeździsz.

- Pożyczysz czasem gruchota?

- Nie masz szesnastu - odrzekł.

- Ale prowadzę jak ci z formuły jeden, sam to przyznałeś.

- Owszem - znowu się roześmiał.

- Nie zrobimy głosowania, bo jestem w mniejszości.

- O, nie! - powiedziałam.

- Łączy was zmowa!

Roześmiał się po raz trzeci. Poszedł ku drzwiom, szczupły, sprężysty, ot piękny towar, który się tak świetnie sprzedaje na małżeńskim rynku. Parsknęłam śmiechem. Już w drzwiach odwrócił się.

- Przyszły mi na myśl słowa babci - wyjaśniłam.

- Powiedziała, że jesteś mężczyzną, który by świetnie schodził z lady.

Nie rozbawiło go to. Spojrzał szybko na Danutę.

- Moja matka miała zawsze dość osobliwe poczucie humoru - powiedział i wyszedł.

- Nie lubi mnie - odezwała się po chwili Danuta.
  - No cóż, sprzątnęłaś jej kartę żywnościową sprzed nosa - odrzekłam wesoło.
- Aż uniosła się nad krzesłem.
- Zawsze, gdy od niej wracasz, jesteś jakby nie ta sama.
  - Ależ, mam, czy nie lepiej mówić wprost?
  - Otwartość bywa na ogół niedelikatna - odrzekła niechętnie.

Wstała. Poszła ku drzwiom zgrabna, elegancka, teraz nieco poirytowana, a może nawet niespokojna. Miała rację ta moja przystojna matka, dopiero nazwane dokładnie po imieniu zaczyna funkcjonować w naszej świadomości, wydobyte stamtąd zaczyna żyć własnym życiem, obrastając z dnia na dzień w przypuszczenia pełne manowców. Ten jej idealny mężczyzna, zapuszczający teraz zdezelowany silnik pod naszymi oknami, został jej podarowany tylko na chwilę, być może, nawet nie na tę najdłuższą. Tak musiała pomyśleć, choćby w najkrótszym błysku, znałam ją przecież. To on był nadal wolny i takim pozostanie, choćby wzięli ze sobą dziesięć ślubów. Ona zaś nigdy nie przestanie być samotną kobietą z dzieckiem, których tyle na małżeńskim targowisku.

Była ambitna, przesadnie ambitna i choćby z tej przyczyny, z tego przyrośnięcia do siebie, nie mogła mnie lubić tak naprawdę, przynajmniej nie w każdej chwili. Podeszłam do okna. Odczekałam aż blond głowa wynurzy się z bramy. Piotr stał przy samochodzie. Gdyby był już w środku, wysiadłby czym prędzej na jej widok i otworzył przed nią drzwi. Zawsze tak, nigdy inaczej. Z całą uwagą i niezmierną czułością. Patrzyłam na tę idyllę celebrowaną od dziesięciu lat z desperacją maniaków, którym już raz mocno poplątano ścieżki. I którzy nigdy nie zapomną, co mają za sobą. Sama również zapamiętałam, bez emocji wszakże, białe pokoje, zbielejące twarze i głośny krzyk rozjuszonego głupca, który już nas obie skonsumował. Ale który nie potrafił spokojnie odejść. Nie pamiętam lęku, ale wtedy chyba był we mnie. Musiał być, wtedy jeszcze rządziły mną emocje, coś z tamtego zagrożenia powinno było przetrwać we mnie do dziś, jak inne obrazy. Ale nie przetrwało. Pokiwałam Danucie. Jej dłoń jeszcze raz wynurzyła się z okna samochodu w ostatnim pozdrowieniu. Pojechali. Została po nich smuga spalin i biała kartka na kuchennym stole, z kilkoma prośbami do łaskawego wypełnienia.

Wróciłam do pokoju, spojrzałam machinalnie na balkon naprzeciwko. Rudzielca już nie było, pelargonie poruszane wiatrem chwiały się w skrzynkach, i to już wszystko. Zabrały go, stare zachłanne baby, kupiły sobie zwierzę myśląc, iż razem z nim kupują i jego myśli, jego chęci, jego wolność i jego życie. Sięgnęłam po lornetkę, ale zaraz zatrzęsnęłam szufladę. Dość i jeszcze raz dość. Wystarczy, że obraz zepchnięty przed laty dalej niż na dno, powrócił nagle, nachalny i nieproszony. Ruda plama przemykała po zielonym dywanie, trawa zamykała się nad

nią miękko jak nietknięta, aż nagle wszystko znieruchomiało w oczekiwaniu, i zieleń, i rudość, i dziecko leżące na leżaku, wpatrzone z napięciem. Czekał aż do bólu każdego popołudnia, od tamtego pierwszego początku, właśnie na ten rudy błysk prześlizgujący się w zieleni. Na żółte tafle bursztynu wpatrzone w kogoś, kogo wybrało się bez przymusu. Jest młody, a więc bardzo ciekawy, wyjaśniła wtedy Danuta. Myliła się, to nie była ciekawość, przynajmniej nie tylko ciekawość, najpewniej w świecie był to świadomy wybór, bo po cóż by zatrzymywał się w swoim locie z drzewa na drzewo. W polowaniu na ptaki i myszy, które były jego przetrwaniem. Po cóż by leżał całymi godzinami w gąszczu, niby to senny, roztargniony, lecz stale podpatrujący, a potem zapatrzone, skracający każdego dnia odległość między sobą a leżakiem. Wstałam raptownie. Okazuje się, nie byłam jeszcze osobą, za którą się miałam.

Zatrzasnęłam drzwi, zostawiając za sobą zieleń dywanu, która nie była trawą. Miejsce, które wtedy dziesięcioletniej dziewczynce wydawało się podobne do rajy, chociaż z trudem wierzyła w istnienie jakiegokolwiek, z tym na górze włącznie. Wkroczyłam na targowisko próżności. Najmodniejsze bluzki, najkrótsze spódnice, najbardziej obcisłe spodnie, koniecznie z lycry, aby każdy mięsień pośladków był widoczny. Do tego biżuteria dzwoniąca w uszach i na palcach, włosy trefione na różne sposoby, zawsze na czyjś wzór, ostatnio Cher była ideałem urody, ze swoją wielką rudą czy czarną peruką. Przecięłam targowisko po przekątnej. W rogach, za drzewami czaili się palacze, taktownie nie dostrzegani przez dyżurujących nauczycieli. Przed budynkiem stała polonistka, zwana Morale, albo Piotrowa Ta Od Skargi. Jej platynowe włosy, zjedzone przez perhydrol, utrefione były raczej niemodnie. Nie dostrzegłabym tego, gdyby się tak nie starała o młody wygląd. Kiedyś otaczała ją sława opozycjonistki, a teraz bardzo chciała odcinać kupony za swoją byłą waleczność. Lecz pokolenie, dla którego złamała kodeks nauczyciela, namawiając do strajku, zestarzało się i diametralnie zmieniło przekonania. Poszukała więc czym prędzej innego hobby. Moralności. Oczywiście, szukanej w kimś, w sobie by jej pewnie nie znalazła. Kiedyś była ponoć bardzo inteligentna, teraz łapała tylko powierzchnię wydarzeń, fanatyzm przeżarł ongiś jej mózg i oto miałam przed sobą kogoś, kto nie rozumiał, że tolerancja w prywatnej szkole, w której chesne wynosi połowę średniej miesięcznej pensji, jest zwykłym następstwem rachunku ekonomicznego, a nie wyższej idei. Przechodząc, powiedziałam jej dzień dobry. Zatrzymała mnie.

- Słyszałam, że popisujesz się na lekcji religii - rzekła surowo.
- Nigdy się nie popisuję - odrzekłam grzecznie.
- Że śmiesz cię głęboko religijne koleżanki.
- Prawdziwa wiara nigdy mnie nie śmieszyła - odrzekłam. Zamilkła.

- Nie chcę się wtrącać - rzekła po chwili.

- Zastępuję tylko waszą chorą wychowawczynię. Chcę ci tylko uświadomić, że to bardzo niemoralne naigrywać się z cudzych przekonań.

- Na pewno - zgodziłam się.

W głosie miałam samą uprzejmość. Ona jednakże wychwyciła coś jeszcze. Przyjrzała się mi badawczo.

- Poza tym katecheta... - powiedziała zniżając głos - dyskutujesz z nim.

- Nie wiedziałam, że nie wolno - powiedziałam grzecznie.

Znowu spojrzała na mnie. Oczy miałam równie obojętne jak głos.

- Jest bardzo młody - powiedziała.

- To jego pierwsza praca. Wypełnia tylko swoje powołanie, musisz to zrozumieć, Zuzo.

- To oczywiste - przyznałam.

Chciałam odejść. Lecz ledwo pochyliłam głowę w ukłonie, przytrzymała mnie.

- Chciałabym ciebie wciągnąć do współpracy - powiedziała uśmiechając się mile, podczas gdy jej dosyć ładne oczy pełne były wątpliwości.

Odczekała, ale ja nie odezwałam się.

- Jesteś rozumna - podjęła - muszę przyznać, najrozumniejsza z dziewczyn. Jesteś także powściągliwa w postępowaniu, jeżeli zapomnieć o ironii, którą masz niekiedy na twarzy. Ale to się zdarza właśnie bardzo inteligentnym dziewczynom - znowu odczekała, a ja znowu nawet oczyma nie wyraziłam zaciekawienia.

- Wiem, co klasę tak ostatnio wzburzyło. Aborcja. Nie można mieć katechecie za złe, on nie ma prawa do prywatnego zdania w tak poważnej sprawie. On musi być zgodny ze swymi zwierzchnikami, ze swoją moralnością zawodową.

- Rozumiem to - odrzekłam grzecznie, patrząc jej prosto w twarz.

- I dla mnie wkleszczanie własnej ideologii w podporządkowane umysły jest wielkim wykroczeniem moralnym, niezgodnym również z kodeksem zawodowym.

Znieruchomiała. Coś zamigotało jej w oczach.

- Nie mów żargonem. Nie mówi się „wkleszczać”. Równie dobrze można to słowo zastąpić literackim.

- Przepraszam. Nie przyszło mi w pierwszej chwili nic lepszego do głowy. Wiem, że nazywa się to zatrucaniem mózgow - uśmiechnęłam się przepraszająco, a był to uśmiech perfekcyjnie wyuczony, niezbyt szeroki, nieco nieśmiały i szczerze przepraszający.

Nie kupiła go.

- Tak a propos - powiedziała - niekiedy trzeba być w niezgodzie z kodeksem

zawodowym. Bywają takie sytuacje, że wybiera się mniejsze zło.

- Oczywiście, pani profesor - powiedziałam i ukloniłam się po raz trzeci.

- Z tym tylko, że z małych kodeksów zawodowych wywodzi się potem cała postawa...

Podobno wystarczy raz go pogwałcić i już mamy ten próg za sobą. Widzę to codziennie, w telewizorze...

Tym razem nie zatrzymała mnie. Podwórko opustoszało, gawieź przeniosła się bliżej klas. Maszerowałam korytarzem, nie patrząc na kolegów obsiadających parapety okien. Za to oni lustrowali mnie bacznie. To ja w swojej przydługiej spódnicy intrygowałam ich przemożnie, nie tamte z biodrami na wierzchu. To we mnie wlepiali oczy pełne biologicznej ciekawości, usiłując przebić zapiętą pod szyję bluzkę, pod którą wyobrażali sobie dużo więcej niż to, co mieli do obejrzenia każdego dnia w długich dekoltach koleżanek.

- Ty, klaryska, sprawdzian z matmy! - krzyknął któryś.

Nawet się nie obejrzałam. Ruszył więc za mną. Mówił do moich pleców swoim połamanym głosem równie połamane dowcipy o politykach, a już najbardziej spodobał mu się pamiętnik panny Anastazji.

- No, chociaż raz przeczytałeś coś do końca - odrzuciłam nie oglądając się.

- Klaryska! - powiedział tonem obelgi.

Zatrzasnęłam mu drzwi klasy przed nosem. Dochodziła ósma. W klasie szumiało. Jana siedziała już na swoim miejscu. Zwróciła ku mnie swoją dużą łagodną twarz.

- Posłuchaj, Zuza!...

Urwała. Kula wtoczyła się do klasy, mała, gruba, zdecydowana i bezzwłocznie przystąpiła do rzeczy. Bez wyczytywania, jednym rzutem oka ustaliła, kto nieobecny. W drugim rzucie - już wiedziała, kto nie przygotowany. Za moment ten najtępszy wędrował do tablicy. Śledziłam bez rozbawienia wciąż to samo przedstawienie obliczone dla przygłupów, bo, zdaniem dyrekcji, oni też płacili. Gapili się teraz na tablicę, na cyfry piętrzące się w wysokie piramidy, na wzory jak chiński alfabet i słuchali apodyktycznego głosu Kuli, paraliżującego ich maleńkie mózgi. Obiektywnie patrząc, despotyzm Kuli lepszy był od obłudy. Mało, był na dodatek ujmująco prosty. Bogiem jest matematyka, a porządek świata winien ułożyć się według porządku liczb, innych współzależności po prostu nie ma. Była jak Archimedes, który ofuknął żołdaków rzymskich, iż źle potraktowali jego cenne wykresy, i zapłacił za wymówkę życiem. Była to doprawdy piękna historyjka, łatwa do uwierzenia, bo dopóki Kula chodzi po ziemi, bis jest zawsze możliwy. Ta druga, z włosami zjedzonymi przez perhydrol, z ideologią dającą jej teraz wymierne korzyści, przetrwa każdy kataklizm. Co zrobi jednak anachroniczna Kula, skoro na tym świecie od dawna przestały się liczyć czyste i logiczne układy i niebawem tylko gdzieś



w wysokich śniegach Himalajów przetrwa mózg, w którym nie przemieszały się rangi rzeczy.

- Zuza! - zaszeptała Jana.

Poczułam czyjaś głowę blisko swoich pleców. Obróciłam się. Twarz Irka nie wyrażała żadnego zainteresowania. Lecz była to tylko gra, czułam to. Był to jedyny kolega, który wypierzył się, zanim przyszedł do naszej szkoły, pół roku temu, w marcu. Zajął od razu pozycję zimnego faceta, a umocnił ją bez opowiadania tłustych dowcipów, bez brania koleżanek na kolana i bez opowiadania filmów porno, obejrzanych nocą. Nawet głos miał kulturalny, co już doprawdy było wręcz podejrzane.

- Muszę ci coś powiedzieć - zaszeptała znowu Jana.

Obejrzałam się. Irek cofnął szybko głowę, schylił się po długopis. Tymczasem ręka naszego klasowego Apolla, równie zadufanego jak jego boski imiennik, utknęła na dobre przy tablicy. Kula wytoczyła się na środek klasy. Przeleciała wzrokiem po opuszczonych głowach. Tu i ówdzie jakiś kujon przekłuwał palcem powietrze, ale Kula nie uwierzyła jego umiejętnościom.

- Zuza! - warknęła. Nie drgnęłam.

- Wiem, że umiesz, klasa też wie.

Wstałam bez pośpiechu. Kiedy nie miałam co robić, rozwiązywałam zadania, i tak przeleciałam pół podręcznika. Usłyszałam swój obojętny głos objaśniający kolejność zadań. Uporządkowałam znaki i niezrozumiałe bełkot cyfr w logiczny ciąg, a oni, z oczyma wlepionymi w moją rękę, oddychali z ulgą, katastrofa została zażegnana, biedne, wypełnione próżnią mózdzki, które tak łatwo ogłupić. Wracając spojrzałam na Irka. Pisał wolno w zeszycie. Za wolno. Był to bowiem geniusz matematyczny i tylko ja stałam mu na drodze do najwyższego trofeum, do zwolnienia z opłat.

Będę pierwszy we wszystkim, powiedział kiedyś do moich pleców. Dlatego właśnie na zawsze pozostanie drugi, dałam sobie na to słowo. Usiadłam. Jana nie patrzyła na tablicę. Wpatrywała się w zeszyt. Był mokry od łez. Spojrzałam krótko do tyłu, zauważył jej łzy, to pewne.

- Co jest, Jana? - spytałam szeptem.

- Nie mam prawa cię wciągać - odszepnęła.

- Co jest?! - warknęła Kula.

- Wyjaśniam Janie - odrzekłam grzecznie. Czekać na mnie w parku - napisała Jana skosem przez całą kartkę.

Nie spytałam, w którym. Tylko jeden był w pobliżu. Park Wilsona, ongiś jeden z najpiękniejszych, dzisiaj, jak one wszystkie, biedny, zdeptany skrawek zieleni z Palmiarnią

pośrodku, także nie mającą szans. Komu bowiem potrzebna zieleń, której nie można pożreć albo przerobić na złotówki. Jana siedziała na ławce ukrytej w krzewach. Puszki po piwie wały się wokół przepelnionego kosza, tu i ówdzie tliły się niedopałki papierosów, porzuconych przez przechodniów. Usiadłam koło niej. Natychmiast zaczęła szlochać. Czekałam cierpliwie. Cisnęłam puszką w chłopców, którzy zapędzili się w krzewy za piłką. Wykopałam w dal gumową zabawkę, a Jana wciąż płakała.

- Nie powinnam ciebie w to wciągać - powiedziała jak w klasie.

- Jesteś taka... taka daleka od tych spraw... Ale nie mam nikogo.

- Mów.

- Wybacz, Zuza. Jesteś taka spokojna, a ja...

- To już słyszałam - przerwałam jej.

Umilkła. Spojrzała na mnie, jej ładne krowie oczy pełne były przerażenia. Nabrała powietrza, lecz nie miała odwagi zacząć spowiedzi. Przyjrzałam się jej uważnie.

- Spodziewasz się dziecka? - spytałam.

Znieruchomiała. Strach w oczach przemienił się w panikę.

- Widać? - spytała bez tchu.

- Z kim? - spytałam.

W odpowiedzi zasłoniła twarz gazetą i rozsłochała się w głos, cała dygocząc.

- Z jakimś smarkaczem z klasy? - spytałam.

Nie odpowiedziała. Odsunęłam papierowy parawan sprzed jej twarzy. Już nie płakała. Brązowe oczy wpatrywały się we mnie nieruchomo. Wyjęła z kieszeni papierosa, zapaliła, ale zaraz odrzuciła.

- Od tygodnia palę - rzekła.

- Z kim?! - powtórzyłam.

- Z żonatym - odrzekła z oporem.

- Z kolegą ojca.

Czekała na reakcję. Nie doczekała się. A więc tak przebiegały dni niewinnych szesnastoletnich pań, trzymany krótko. Tylko jakiś stary drań mógł przełamać jej skromność i wytłumaczyć, że wcale nie popełnia grzechu. A może nawet nie pofatygował się, aby cokolwiek wyjaśniać, łagodność wziął po prostu za zgodę.

- Powiedziałas mu? - spytałam spokojnie. Nie odpowiedziała od razu.

- Najpierw krzyknął, żebym nie zawracała mu głowy, bo to jest niemożliwe. Potem, że pewnie poszłam do łóżka z jakimś smarkaczem. Wreszcie, że być może da mi pieniądze.

- Być może? Co to znaczy, być może?

- Jest żonaty - przypomniała mi i znowu zaczęła płakać. Dałam jej trochę czasu.

- Kto jeszcze wie? - spytałam.

- Ksiądz - wyszłochała.

Przyjrzałam się jej uważnie. Zapamiętała aż nadto dobrze tę rozmowę z księdzem, przy konfesjonale czy bez. Odcisnęły się na niej jego słowa nowym straszniejszym lękiem.

- Pewnie doradził ci święte macierzyństwo - odezwałam się. Potaknęła.

- Po czym zagroził ogniem piekielnym. Znowu potaknęła, oczy zmąciły się jej jeszcze bardziej.

- Zna ciebie?

Zamarła. Szybko zaprzeczyła.

- Poszłam do fary - rzekła rozdygotana.

- Byłam tam pierwszy raz.

- Mądrze.

- Nie wierzysz w tajemnicę spowiedzi? - wyszeptwała ze zgrozą.

- Ty także zwątpiłaś - odrzekłam.

- W przeciwnym razie nie poleciałabyś na drugi koniec miasta, aż do fary. To po pierwsze. A po drugie, w takiej sytuacji żadna dziewczyna nie powinna komukolwiek ufać. A to dlatego, że najgorsze jeszcze się nie stało. Wybór, co dalej.

- Mówisz z gniewem - zauważyła Jana.

Po raz pierwszy w jej oczach pojawił się inny wyraz, jakby raptem przestała czuć się odizolowana.

- To ty mnie irytujesz - rzekłam szorstko.

- Przepraszam - powiedziała znowu pokorna.

- Nie mam nikogo. Ciebie znam od dziesięciu lat.

Nie pozwoliłam jej rozplakać się. Zapytałam wprost.

- Chcesz tego dziecka?

- Czuję się jak szczur w pułapce - odrzekła dygocząc.

- To on jest szczurem, ten wspaniały kolega twego ojca. Tylko tak o nim myśl! Zawsze z pogardą. To pomaga.

Jana wpatrywała się we mnie znieruchomiałymi oczami. Nie ponaglałam. Porcelanowa cera blondynki była zaczerwieniona. Jeszcze trochę, a pokryje się brzydkimi plamami, to się przecież zdarza. A sylwetka zgrabna, chociaż nieco zbyt pełna, stanie się bezkształtna. Wszyscy będą spoglądać na nią z litością i tajoną pogardą, bo zawsze gardzi się złapanymi w pułapkę. Czekałam cierpliwie. Znowu sięgnęła do kieszeni. Zapaliła papierosa i znowu zaraz zgasiała.

- Mówią, że to uspokaja - rzekła.
- Ale mnie dusi... - popatrzyła na mnie.
- Zresztą nie powinnam teraz palić, to szkodzi.
- Czyli chcesz je urodzić.

Aż uniosła się. Opadła z powrotem na ławkę, cisnęła paczkę papierosów w krzewy, ale zaraz wstała, podniosła ją i wrzuciła do kosza. Czekałam, że jeszcze raz podejdzie i rozdepcze paczkę, ale nie zrobiła tego. Rozszlochała się, i to już była cała reakcja.

- To nie jest odpowiedź - rzekłam.
- W tej materii natura nie pozostawia kobiecie zbyt wiele czasu do namysłu. Musisz się zdecydować, i to najdalej za kilka dni. Który to miesiąc?

- Myślę, że drugi.
- Myślisz?! Nie jesteś pewna?!
- Pójdę do lekarza - odrzekła pokornie.
- Jezu! - powiedziałam i zamilkłam.
- Masz pieniądze? - spytałam po chwili.

Zaprzeczyła.

- Pożyczę ci. Najlepiej pójde z tobą i zaczekam na ulicy. Nie zareagowała. Złapałam ją za dłoń i ścisnęłam boleśnie.

- Obudź się! Gra na zwłokę ci nie pomoże. I jak, do cholery, nazywa się ten drań?!

Milczała uparcie. Wstałam.

- Jak chcesz! Przytrzymała mnie za rękę.
- Ma warsztat samochodowy w Suchym Lesie - wyszeptała.
- No to pięćdziesiąt milionów nic dla niego nie znaczy!
- Zuza, proszę cię!

Złapałam ją za nadgarstki.

- Nie jestem biurem porad. Mimo to dałam ci radę. Nie stoi też za mną żadna opiekuńcza mafia, mimo to pójde tam i obejrze drania. Ale nie zrobię tego bez twojej zgody. Decyduj się, tak czy nie?!

Nie odpowiedziała. Wobec tego milczenie uznałam za zgodę. Nowy biały polonez stał na ulicy pod oknami. Obeszłam go. Na siedzeniu leżała kurtka Piotra, a więc to nasz wehikuł. Na pierwszym piętrze, za firankami, mignęła czyjaś twarz, pewnie Danuty. Stała tam i wmawiała sobie, że właśnie ta biel jest bielą bezkonkurencyjną. Że w niczym nie ustępuje tym wszystkim, pełnym blasku karoseriom, którymi obstawiono nasz dom. To była jej dewiza życiowa, ciesz się tym, co masz, i nie dopuszczaj do siebie myśli, że ciebie w czymś

upośledzono. Nie rozumiała, że powtarza żarliwą modlitwę upokorzonych przez los. Nie odbije się od swego dna nigdy, tamten kwadratowy facet, o którym mówiła „ten człowiek”, wypalił w niej na stałe owo poczucie niższej wartości. Tego już nie odmieni żaden Piotr.

- Dobry wybrałem?

Obejrzałam się. Stał przy mnie rozpromieniony jak mały chłopiec, który odzyskał zabawkę. Zademonstrował wszystkie po kolei ulepszenia wozu, wszystkie bajery, jak określił żartobliwie, których nie miał nasz stary wóz. Opowiadał, nie przestając się cieszyć. Słuchałam go, myśląc swoje. Skoro zwykła blacha wprowadziła go w taki trans, byłoby niezwykle ciekawe, jakby też zareagował na małe sam na sam z jakąś świeżą niewinnością o krowich oczach, porcelanowej cerze, z kimś podatnym na kłamstwa i fizyczne doznania dotąd obce. No, co by też zrobił ten zawsze umiarkowany mężczyzna, który teraz tak śmiesznie wyszedł ze swoich ram na widok białego poloneza.

- Dlaczego się tak przyglądasz? - spytał.

- Koleżanki zazdroszczą mi ojca - odrzekłam uśmiechając się miluchno.

- Podejrzewam, że nie wyszły z lat, w których najpiękniejszym mężczyzną świata jest ojciec. Niekiedy cudzy.

Roześmiał się.

- A ty w jakich jesteś latach?

- W nijakich. A propos, dasz mi kluczyki od grata? Właśnie skończyłam szesnaście.

- Szesnaście? Już szesnaście? - powiedział zaskoczony i szybko przeliczył w myślach.

Doliczył się. Był teraz zmartwiony.

- Nie mam dla ciebie prezentu!

- Masz. Kluczyki.

- A prawo jazdy?

- Zrobiłam na wszelki wypadek. Urodziłam się w nim dwa lata wcześniej.

- Musisz sprostować.

- Po czterdziestce - powiedziałam krótko.

- Wtedy dwa lata mają znaczenie. - Wyciągnęłam rękę.

Zawahał się. Obejrzał się na dom, twarz Danuty nadal bielą za firanką.

- No dobrze - rzekł wreszcie z oporem.

- Ale jeden bezwzględny warunek: żadnych zbiorowych wycieczek, żadnych kolegów szalejących na tylnym siedzeniu.

- Czy to do mnie podobne, tato?

- I drugi warunek, najpierw zjesz obiad.

- Nawet dwa - odrzekłam - wybieram się na przejażdżkę dopiero jutro po południu.

- Dokąd i z kim? - zapytał.

- Sama i tak sobie - odrzekłam wesoło.

- Przecież również lubisz gnać przed siebie.

- Tylko nie gnać, to w żadnym razie - przypomniał. Popatrzył na mnie.

- Masz wygląd spiskowca - rzekł.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak mnie to satysfakcjonuje - powiedziałam i wybuchnęłam śmiechem.

Zawtórował. Ale niepokój miał nadal na twarzy. Zakład naprawczy nie wyglądał nowocześnie. Ale właśnie w takich dziurach robi się najwięcej grosza. Wjechałam ostro na plac wysypany żwirem. Zakurzyło się. Zatrzymałam się o grubość lakieru przed usmolonym mechanikiem. Odskoczył.

- Co jest?! - zawrzasnął.

I zaraz zamilkł. Przyjrzał się mojej twarzy i jeszcze bardziej spotulniał. Wyglądałam całkiem nieźle. Umalowałam się dyskretnie, co dodało mi dokładnie tyle lat, ile trzeba. Ze trzy. Dwudziestoletnie mogłyby być dla takiego złoba za stare. Wyskoczyłam z samochodu, mini spódniczka podciągnęła się wysoko. Mechanik stał bez słowa i wgapił się nachalnie w moje kolana.

- Pani se życzy - zagadnął wreszcie.

Nie odpowiedziałam od razu. Rozejrzałam się po placu. Właśnie złamałam pierwszą z żelaznych zasad, nie działać nigdy na własnym terenie. Nie miałam jednak wyboru. Stałam więc obok swego grata i zastanawiałam się, jak rozegrać partię o cudze pieniądze.

- No, co jest do roboty? - powtórzył mechanik.

- Dużo - odrzekłam.

- Sprzęgło źle wchodzi, zapłon ledwie dyszy i parę innych rzeczy. Potrafi pan coś zrobić z tym złomem? - tryknęłam pantoflem w opony.

Przyjrzał się im.

- Protektory też wytarte - zauważył.

- Na kiedy byłoby gotowe?

- Co? - oderwał wzrok od moich łydek.

- Ach, wóz... Mamy długą kolejkę.

- O co chodzi?!

Obróciłam się. Donośny głos dobiegał od kantoru, zwykłej ceglanej budy, nawet nie otynkowanej. Trzasnęło okno, potem drzwi. Wreszcie ukazał się wysoki mężczyzna z pewną

siebie twarzą, szorstki w ruchach, ot, jeszcze jeden kwadratowiec. Zagrział.

- Kto mi tego grata wprowadził? Blachówa się sypie, nie widzisz, durniu?

Wyszłam z cienia. Uśmiechnęłam się uśmiechem bardzo zatroskanej dziewczyny.

- Ja wprowadziłam tego grata. Zamilkł. Obejrzał mnie dokładnie.

- Z takim wyglądem miewa się lepsze wozy. U mnie miałaby pani golfa.

- Tylko golfa? - rzekłam żartobliwie.

Zrobił ruch ręką. Pracownik oddalił się niechętnie.

- O co chodzi, mała? - spytał protekcjonalnie, już pewien, że stoi na dobrze znanym gruncie.

- Od kilku lat jestem dorosła - odrzekłam chłodno.

Zwątpił. Przyjrzał mi się znowu. Im dłużej patrzył, tym więcej miał wątpliwości. Razem z nim rosła w nim ciekawość.

- Tak naprawdę o co chodzi? - spytał szorstko.

- Tak naprawdę o samochód - odrzekłam.

- Musi pożyć jeszcze cały rok.

- Tak długo?

- Narzeczoney wraca za rok ze Stanów - wyjaśniłam.

- Nie za wcześnie na narzeczonego? - spytał.

- Ile pani ma lat?

- A pan ile? Czy pana wygląd zgodny jest z metryką?

Trochę się pogubił. Boże mój, był bardziej kwadratowy, niż myślałam. Autentycznie nie nadązał.

- Nie mam czasu - poinformował mnie gburowato, bo właśnie w taki sposób plebs wychodzi z zakłopotania.

- Przystąpmy więc do rzeczy. Mogę na pana liczyć? - uśmiechnęłam się uroczo, dołożyłam do głosu kilka uwodzicielskich nutek, a moje oczy wpatrywały się w niego z wyczekiwaniem.

- Myślę, że mogę, prawda? Natychmiast złapał grunt.

- Na mnie zawsze. Jestem dobrym fachowcem. We wszystkim.

- Na to właśnie liczę - powiedziałam słodko.

Poprowadził mnie do kantorku. Pozwoliłam trzymać się za łokieć. Potem, aby objął mnie przez plecy, gdy tak oboje naraz przeciskaliśmy się między skrzyniami zawałającymi przejście. Cały czas prowadził monolog o fiacie i o kosztach, które nie powinny przekroczyć granicy rozsądku, i to u obu stron. To właśnie nazywa się rachunkiem ekonomicznym,

zakończył.

Wysłuchałam wykładu miluchno uśmiechnięta. Niektóre porównania skwitowałam słowem podziwu. Już mnie zaszeregował. Już się rozkręcił. Miał tylko jedną sferę odniesień, jedną jedyną warstwę. Seks. Tutaj słowa nie musiały być zgodne z intencją, cała jego prymitywna dwuznaczność zmierzała konsekwentnie tylko w jednym kierunku. Chryste, miał na sobie tak cieniutką warstwę poluru, że nawet najnaiwniejsza musiała się zorientować, kim jest w istocie. Lecz Jana nie zorientowała się. Nie dał jej zapewne czasu. Zaczął z przyzwyczajenia przy pierwszej okazji, i to nie od słów. Odkrył przed nią jej własne ciało, dał jej poznać to, czego w sobie nie podejrzewała, tak, tak to chyba było, nie mogło być inaczej. Tylko w tak prowadzonej grze wyłącza się u dziewczyn typu Jany ich wrodzona wstydlivość.

- Dobrze - powiedziałam wreszcie wstając z krzeselka.

- Zgłoszę się za dwa dni.

Podyktowałam nazwisko i adres, zapamiętane ze spisu lokatorów w kamienicy Jany. Znieruchomiał.

- Matejki sto sześć?

- Matejki sto sześć - powiedziałam.

- Mam tam znajomych - rzekł, patrząc badawczo.

- Kogo? - spytałam obojętnie.

Podał nazwisko rodziców Jany.

- Nie znam - rzekłam po namyśle.

- Jak to? - zdziwił się, wciąż się przyglądając.

- Mieszkają tam od lat. Mają dwie córki. Blondynki.

Znowu pogrzebałam w pamięci.

- Może i coś takiego spotykam na schodach - odrzekłam.

- Ale nie znam. Wprowadziłam się niedawno do stryja. Tylko na czas studiów.

Uspokoił się. Odprowadził mnie do drzwi. Ręka jego sprawnie lawirowała koło mego ramienia, potem koło talii, podczas gdy tubalny, teraz z rozsądkiem tłumiony, głos zapewniał, iż dla tak pięknej dziewczyny gotów jest zrobić wszystko.

- Pan też nie ma się czego wstydzić - odrzekłam miluchno.

Przyjął to z całkowitym zaufaniem. zaproponował, że odwiezie mnie do rogatek Poznania, co przyjąłam z ogromną wdzięcznością. Ale zaraz przypomniałam sobie, że, niestety, tuż koło rogatek umówiłam się z kolegą.

- A narzeczony co na to? - spytał.

- Z Ameryki nie dojrzy - odrzekłam lekko i zostawiłam go znowu nieco niepewnego co



do mojej profesji.

Wysiadłam z autobusu na Rondzie Kaponiera. Zbiegłam w dół do podziemi, w toalecie zmyłam kilka lat ze swej twarzy. Gdy wyszłam z kabiny, kobieta pilnująca toalet spojrzała na mnie z dezaprobatą.

- Tak to się oszukuje rodziców?!

- Nie chcieli mnie wpuścić do kina - wyjaśniłam grzecznie.

- Film był od osiemnastu.

- No, nareszcie zrobili z tym porządek - rzekła kobieta z zadowoleniem.

- Za moich czasów żadna smarkula i żaden szczawik nie wcisnął się na film dla dorosłych. Dzisiaj kiniarzom chodzi tylko o pieniądze - przyjrzała się mi baczniej.

- Chociaż to nawet lepiej, że takie jak ty pooglądają sobie te hece w łóżku. Przynajmniej nikt was potem nie nabierze.

- To się tylko tak wydaje, proszę pani - odrzekłam skromnie.

- Moja mama mówi, że do wszystkiego potrzebny jest rozum. Ale on niestety, w pewnych sytuacjach zanika. Okropne, co?

- Głupie! - rzekła z gniewem.

- Pan Bóg nakręcił człowieka nie w tę stronę. A baby za to płacą.

Wydobyłam się z podziemi. Przeszłam w niedozwolonym miejscu przy Filharmonii i zanurzyłam w Park Moniuszki. Słowo zanurzyłam zabrzmiało w mojej głowie śmiesznie, park bowiem był łysy, zdeptany, jak wszystkie. Fontanna nie działała. Przysiadłam na ławce, za moimi plecami przepychały się samochody, spaliny owiewały mnie, lecz nie chciało mi się stąd ruszyć. Na sąsiedniej ławce pokrzykiwało kilku smarkaczy, licytując się w prostactwie. Mieli nie więcej niż piętnaście lat, lecz umysł ich nie osiągnął nawet pułapu dziesięciu. Nie wyjdą z tego tak szybko, a może nigdy, latami będą popijali piwo z puszek, kupione za skradzione pieniądze, zaciągali się tanimi papierosami i nie ścisząc głosu starali się zwrócić na siebie uwagę kogokolwiek, najchętniej dziewczyn. Gdybym się uważniej wsłuchała, mogłabym dopowiedzieć niektóre zakończenia niektórych dowcipów, słuchałam ich bowiem każdego dnia w klasie. Wciskano mi te śmieci w uszy, a za to, że mnie nie rozśmieszały, zyskałam przydomek klaryska.

Człowiek od samochodów był dokładnie na ich poziomie. Różnił się tylko datą urodzenia i siłą pieniądza. Ulepiono go z parszywej gliny i jakiegokolwiek napomykanie o prawie byłoby tylko stratą czasu. Bez sensu byłaby również inscenizacja jakiegoś spektaklu ze mną w roli głównej, kompromitacja bowiem była mu obca nawet z nazwy. A więc pozostała tylko groźba. Czego może się bać taki kwadratowy człowiek, chyba tylko śmierci? Siedziałam długo

na ławce, z nieczynną fontanną przed nosem, z welonami spalin za sobą i wciąż szukałam rozwiązania. Jadłam spóźniony obiad. W dole na podwórku rozkręcała się codzienna wrzaskliwa monotonia, wypełniona głosami psów, dzieci i klepaniem dywanów. Mały rudy arogant buszował zapewne na swoim skrawku wolności. A może nie wypuściły go, może już oddały w „dobre ręce”, bo dla ich własnych stał się uciążliwy?

Chciałam wstać, opanowałam jednak ten odruch. Wszystko można od siebie oddalić na wygodną odległość, to tylko kwestia uporu i wprawy, sprawdziłam to już na sobie niejednokrotnie. Przez otwarte drzwi widziałam Piotra przenoszącego piramidki książek. Miałam go przez moment en face, przytrzymującego brodą chwiejający się obelisk papieru, potem zniknął mi z pola widzenia. Co też kryje się tak naprawdę pod błękitem oczu, tak niezwykłym u czterdziestoletniego mężczyzny? Jak by się zachował, gdyby nagle przyszło mu płacić za przychętne popełniony grzech? Straciłby swoją klasę? Spłaszczył się? Stał kwadratowy?

- Jesteś podobny do Roberta Redforda - odezwałam się, gdy znowu wszedł w pole widzenia.

- Z tym, że nie jesteś rudawy.

- Wolisz rudych?

- Są z daleka widoczni - odrzekłam.

- Trudno im ukryć się. Są jak dysonans w soczystej zieleni.

Spojrzał zdziwiony.

- No i jesteś od niego starszy - dodałam. Zaprotestował żywo.

- Przeciwnie. To on jest starszy. Ma pięćdziesiątkę.

- Rzeczywiście - przypomniałam sobie.

- Trąbili o tym w prasie. Ale czujesz się pochlebiony?

- To twój idol? - upewnił się.

- Powiedzmy.

- Wobec tego czuję się wielce pochlebiony.

- Nie jesteś szczery. Raz powiedziałeś, że nie interesuje cię podziw dzierlatek.

- Rzecz w tym, że nie jesteś dzierlatką.

- Zauważyłeś? - włożyłam sporo radości w swój głos.

Nie zauważył tego.

- Każdemu ojcu pochlebia podziw córki - wyjaśnił.

- Nawet nie rodzonemu?

Coś mignęło w jego niezmaconym błękicie. Ale głos miał nieodmiennie żartobliwy.

- Zwłaszcza nie rodzonemu.

Wyszedł skwapliwie, bo zawołano go z pokoju. Może zbyt skwapliwie. Albo może to ja mam bzika, nie było w nim nawet cienia myśli, nic nie zmąciło tej jego przezroczystości nawet na mgnienie. A nawet gdyby, to co? Rozmazywałam plamę z soku wiśniowego na ozdobnej ceratce. Ów podstępny strumyk znowu się odezwał, cichutko, jeszcze z daleka, poczekajcie, poczekajcie, wy tam oboje w przyległym pokoju, i was skonstruowano według jakiegoś schematu, może nie tak pospolitego, ale z całą pewnością tłucze się w was coś, o czym jeszcze nie wiecie, lecz co pewnego dnia dojdzie do głosu. Dojdzie i zawładnie wami, a wtedy wszystkie te szatki ochronne, jakie macie na sobie, opadną z was w jednej chwili i staniecie nadzy, absolutnie nadzy. Tylko ja nie muszę się tego obawiać, z całą pewnością nie, przestawiłam bowiem na czas swój mechanizm, uruchomiłam system ochronny i dbam regularnie o szczepionkę. Mnie nie obezwładni żadne uczucie, ani też jego brak.

- Wychodzimy! - zaanonsowała radośnie Danuta.

- Przecież pamiętam - odrzekłam grzecznie.

Była ubrana efektownie. Mimo swego wzrostu, gdzieś sto siedemdziesiąt, i wysokich obcasów, przypominała porcelanową figurkę. Naturalne blond włosy czyniły ją naturalnie świeżą, nie miała umęczonej karnacji tak bardzo rzucającej się w oczy u wszystkich tlenionych czterdziestolatek. Tak, tylko niefortunne zestawienie kolorów podkreśla wiek, muszę to zapamiętać na przyszłość.

- Źle się ubrałam? - zaniepokoiła się.

Okręciła się na tych swoich szcudłach. Figurę miała nienaganną, ja, niestety, będę wyższa, na to się zanosi, w ostatnim półroczu przybyło mi dziesięć centymetrów, jeżeli jeszcze coś dojdzie, to czy taki obelisk będzie w stanie wywołać w mężczyznach tkliwe uczucie, które tak kochają ze względu na siebie.

- Za mocno się umalowałam? - spytała jeszcze niespokojniej.

- Masz klasę - uspokoiłam ją.

- Odrzuć tylko bransoletę i klipsy. Uderz ich po oczach skromnością. To ty masz błyszczyć, nie te ozdóbki.

Zrobiła to czym prędzej.

- Skąd ty to wszystko wiesz, Zuza? - spytała.

- Od ciebie, mamó - odrzekłam miluchno.

Umilkła. Na mgnienie cofnęła się do lat, w których w naturalny sposób sama pamiętała, iż najskuteczniejszym upiększeniem jest prostota. Wszelka przesada zaś zwraca uwagę na to, co najchętniej chciałoby się ukryć. Posmutniała.

- Jeszcze nie tak dawno nie czekałam na pochlebstwa - powiedziała, wciąż smutna.

- To nie pochlebstwo - zapewniłam.

- Robisz wrażenie. Naprawdę.

Uśmiechnęła się, wciąż przygaszona. Spojrzała przez ramię w głąb korytarza. Oczekała, aż Piotr zamknie za sobą drzwi.

- Dodasz mi otuchy, Zuza - powiedziała cicho.

- Jesteś wyjątkiem - zapewniłam.

- Matki na ogół nie lubią dorastających córek. Co naturalne.

- Mam czterdzieści dwa - ciągnęła.

- To przykre uświadomić sobie, że odtąd czas pomknie z wielkim przyspieszeniem.

- Znajdź sobie nową motywację - poradziłam.

- Jaką? - spytała, patrząc znowu w głąb korytarza.

- Jestem za młoda, mam. Ale wiem, że muszą być rzeczy trwalsze od miłości, tej fizycznej. Sądzę, że umiałabym z niej łatwo zrezygnować. Ja się nie uzależnię.

Oślupiała. Smutek zniknął. Patrzyła na mnie, a jej niebieskie tafle robiły się coraz większe.

- Nie o tym myślałam - rzekła wreszcie.

- O tym zawsze się myśli. Większość nazywa to pełnią życia.

- Z kim o tym rozmawiasz, dziecko? - spytała przestraszona.

- Z Frommem, mam. Odetchnęła.

- Ach, te twoje książki - powiedziała.

Wpatrywała się we mnie uśmiechnięta, rozluźniona. Ale niebawem znowu dopadnie ją lęk przemijania. Musi dopaść, to jest nieuchronne. To nieprawda, że pary starzeją się parami. Albo dokładniej, że dociera to do nich równocześnie. Nigdy ta prawda nie dotrze do różnych kwadratowych drani, oni zawsze będą w swoich oczach w sam raz, nawet wtedy, gdy im się wszystkie kierunki pomylą.

- Idziemy - oznajmił Piotr.

Stanęli oboje w drzwiach. Ona - już z odmienionym wyrazem twarzy, jakby jego spokój spłynął na nią. On, jak zwykle, szalenie opiekuńczy w ten swój naturalny sposób, który czynił go jednak nieco podejrzanym.

- Sprzątniesz łazienkę, Zuza?

- Oczywiście, mam.

- I WC? - dorzuciła mniej pewnie.

- I WC.

- Dziękuję - powiedziała.

- Przecież tu mieszkam - rzekłam.

- Inne matki narzekają, że ich córki...

- To gęsi, mamó - przerwałam.

- Teraz jest moda na niepomaganie. Jak nastanie nowa, na habity klasztorne, to wszystkie zaczną je nosić.

- Nie masz dobrego zdania o rówieśnikach - zauważył Piotr.

- Po prostu widzę.

- To przeszkadza w nawiązaniu przyjaźni, Zuza.

- Nie szukam jej - odrzekłam spokojnie, żałując że to mówię.

Nie uwierzyli. Słyszałam ich kroki na klatce schodowej, potem trzasnęła brama. Podeszłam do balkonowego okna. Jak zwykle prowadzili się pod rękę z ową dyskretną serdecznością, w którą ma się ochotę czasami uwierzyć. Ruszyłam do łazienki. Wyszorowałam wannę. Wypolerowałam kafelki, potem zabrałam się do posadzki i byłabym pastwiła się nad nią do najpołyskliwszego połysku, gdyby nie telefon. Jana szlochała w słuchawkę, co znaczyło, że nie telefonowała z domu. Pozwoliłam jej płakać tak długo, aż zabrakło zetonów.

- Przyjdź na pocztę - zdążyła jeszcze krzyknąć, potem automat wyłączył się.

Nie zdążyła dodać, na którą. W pobliżu były dwie. Wróciłam do łazienki. Usiadłam na brzegu wanny i przemyślałam rzecz jeszcze raz od początku. Od czterech dni nie było jej w szkole. Wieści z domu także nie było, co oznacza, że jej pobożni rodzice pewnie nawet nie domyślali się, iż córka chodzi na wagary.

Domem Jany rządził ład i wielka pobożność, nie tyle udawana, ile dosłowna. Właśnie w tym tkwiła pułapka. W takim domu nie mówi się głośno o sporach zakazanych. Nie usuwa się płodu, bo to morderstwo. Nie można się nawet zabić, bo to grzech śmiertelny. Tak więc pozostało jej tylko czekanie. Ale na co? Ruszyłam do drzwi nie śpiesząc się. Jana wpadła do środka omal bez tchu. Oczy miała podpuchnięte. Brzeżkiem warg spytała, są?

- Wyszli - uspokoiliam ją.

Poszłyśmy do kuchni. Postawiłam szklankę herbaty przed nosem Jany, dołożyłam kawałek chleba, cukier, a ona wciąż siedziała z oczyma wbitymi w ścianę. Poklepałam ją po ręce. Oprzytomniała nieco. Zaczęła sypać cukier do szklanki. Gdy płyn zaczął się przelewać, znowu nieco oprzytomniała.

- Spotkałam go - wyszeptwała.

Opowiedziała chaotycznie o przypadkowym wpadnięciu na siebie. O jego zakłopotaniu. O tym, że na powrót stał się żonaty, bo żona wróciła, a żonę ma się jedną.

- Przedtem mówił, że się rozwiedzie - wyszeptła na koniec i zamilkła.

- Nie zrobi tego nigdy. Potrzebne mu alibi, nieustające alibi na takie przypadki, jak twój - rzekłam szorstko.

- Nie mogę się z tobą ożenić, mała, choćbyś nawet urodziła bliźnięta, tak powiedział, co? I pewnie dodał, że dobrze wiedziałaś, iż jest żonaty, grzeszyłaś więc na własną odpowiedzialność. I to jest częściowa prawda.

Jana znieruchomiała.

- Nawet gdyby się rozwiódł, mama nie wpuściłaby do domu rozwodnika - rzekła.

- A panienkę z dzieckiem wpuści?

Zapadła cisza przerywana siorbaniem. Nie wiedziała, co pije. Nie wiedziała nawet, że pije, biedna, zaszczuta idiotka.

- Byłaś u lekarza? Zaprzeczyła.

- Musisz wiedzieć, ile ci zostało czasu!

- Wiem.

Wstałam, wyjęłam z szuflady zwitek banknotów i wsunęłam jej do kieszonki.

- Szkoda byłoby je zabić - powiedziała.

- Pospiesz się z decyzją - odrzekłam szorstko.

- Dziadki sejmowe właśnie coś uchwalają przeciw aborcji. Milczała, patrzyła w stół.

- Matka wie?

Zaprzeczyła.

- A siostra? Przecież mieszkasz z nią w jednym pokoju.

Znowu zaprzeczyła.

- Ona jest taka jak ty, Zuza. Zajęta tylko szkołą. Do głowy by jej nie przyszło, że ja...

- Rozumiem - przerwałam.

- A ojciec...

- Też niedowidzi - przerwałam znowu.

- Mówisz tak, bo pochodzisz z rodziny niewierzących - powiedziała z żalem.

- Nie praktykujących - poprawiłam.

- Wbrew pozorom to duża różnica. A tak naprawdę pochodzę tylko z siebie. To we mnie musi być mądrość. Nie szukam wskazówek gdzie indziej.

Wpatrywała się we mnie zaskoczona.

- Gdybym ciebie nie znała od dziesięciu lat, pomyślałabym, że jesteś bardzo zarozumiała - rzekła.

- Ale nie jesteś. Zdobywałeś wszystkie nagrody, lecz nigdy nie dajesz mi do zrozumienia,

że jestem głupsza.

- Jana, to tylko wiedza z książek. A ta nikomu nie wystarczy. Życie to zupełnie niezależny strumień, z własnym nurtem, który każdego może ponieść, jeśli zawczasu nie nauczy się pływać. Zastanów się, czytałaś Wisłocką, bo ja sama ci ją wcisnęłam. No i co wiesz, co ci ta stara lubieżna baba podpowiedziała? Nic. Nawet nie przekonała cię, że człowiekiem rządzi ciało. Przekonał cię o tym dopiero tamten drań. Zapamiętaj sobie, ludźmi zawsze coś rządzi, żona, mąż, pieniądze, kariera, lecz wszystkimi, omal bez wyjątku, rządzi własne ciało. Dlatego trzeba je znać. Jak najdokładniej.

- Tobą też rządzi? - spytała cicho.

- Mną nie. Jestem tym omal wyjątkiem - odrzekłam spokojnie.

- Dałam sobie na to słowo już dawno temu. Moje ciało nie będzie mi dyktować. To ja podyktuję cudzemu. Nie zrozumiała. Na szczęście zresztą.

Zapadła znowu cisza, znowu zabrała się do sypania cukru do szklanki. Nie przerywałam jej, i tak obrus był poplamiony.

- Jak możesz mi pomóc? - odezwała się wreszcie bezradnie.

- Jezu Chryste! Pomoże ci tylko lekarz, zrozum to nareszcie! Musisz rozstrzygnąć, i to zaraz. Odlóż na bok wszelkie opory. Myśl tylko o jednym, co cię czeka, jeśli nie zdecydujesz się w porę.

Milczała. Ze spokojem, najplastyczniej, jak umiałam, odmalowałam jej obraz samotnej matki. W miarę jak mówiłam, twarz Jany kurczyła się z przerażenia. Lecz byłam pewna, że ani moje słowa, ani strach niczego tu nie zmienią. Zamilkłam.

- Wiem, chcesz mi pomóc, Zuza, bo mnie lubisz - odezwała się.

- Lubienie odlóż na bok, to nie ta płaszczyzna. Nie było jej również w twojej znajomości z tym facetem. Jeśli mam ci pomóc, muszę wiedzieć, czy idziesz na całość. Dokładnie ujmując, potrzebny jest zabieg, a na niego - pieniądze. Chyba że wolisz laurkę o nieśmiertelnej miłości.

- Nie znałam cię takiej - rzekła.

- Nigdy nie byłaś złośliwa.

- Sprowadzam cię tylko na parter - odrzekłam.

Znowu zapadła cisza. Wiedziałam, co powie, zanim otworzyła usta.

- Wiem, na co się skazuję - powiedziała pokornie.

- Ale coś w środku zabrania mi zabić je. Nie mogę, Zuza, nie mogę.

- W porządku - rzekłam.

- Czyli zaczynamy grę o pieniądze. Aby się uznał za ojca. Alimenty stałe załatwisz przez sąd. Zapamiętaj, bez pieniędzy nie dasz rady!

- Wiem - powiedziała.

Już nie płakała, co było znacznie gorsze. Nie wyglądała także na skamieniałą, po prostu wyciekło z niej życie.

- Za jakiś czas będzie widoczne - rzekła cicho.

- Klasa zacznie mną pogardzać. Lepiej zrezygnuję ze szkoły.

- Połowa klasy byłaby już matkami - odrzekłam - ale podjęły inną decyzję niż ty.

Umilkła.

- Posłuchaj - podjęłam.

- Nie masz powodu sobą pogardzać. Nie zrobiłaś nic podłego. Ty nie. Zrobiłaś tylko głupstwo, i to jest twój jedyny grzech - odczekałam, ale ona wpatrywała się we mnie jak ktoś niewiele rozumiejący.

- Posłuchaj! - rzekłam ostrzej.

- Naucz się wykorzystywać fakt, że jesteś kobietą! Zrozum, to oni są od nas uzależnieni, nie odwrotnie! To w nich zanika rozum i przyzwoitość, gdy tylko ujrzą nagie kostki naszych nóg! Naucz się pomiatać nimi! Zmusz się do tego! Godność kobiety, o której w twoim domu mowa od rana do wieczora, to nie są słowa. To postawa, rozumiesz?! Postawa wcale nie pokorna. Naucz się mówić kategorycznie „Nie”!

Umilkłam. Ona też milczała. Była zaskoczona, lecz raczej tylko tonem, słów, niestety, nie rozumiała. Siedziałyśmy długą chwilę w milczeniu. Wciąż mając sobie za złe, podjęłam znowu:

- Jana, przyjrzałaś się dobrze naszemu wuefście? Obejrzałaś naszą Gruchę? No, przecież szkolne podwórko dobrze znasz! Przyjrzałaś się oczom tego bawoła, gdy tak wpatruje się w nas, w półrozebrane dziewczęta? Gdy tak pomaga na trapezie, niby to asekurując nas przy skokach. Jak myślisz, ile jest w nim wtedy z nauczyciela? Otwórz oczy, przyglądaj się innym, w przeciwnym razie nigdy nie wyjdiesz na prostą.

Słuchała oszołomiona. Powtórzyła kilka razy, że nie знаła mnie takiej. Że nawet nie podejrzewała, iż wiem cokolwiek o takich sprawach.

- Myślałam, że mężczyźni wcale cię nie interesują - podsumowała wciąż patrząc na mnie.

- Dostrzegać ich małość nie oznacza zainteresowania - sprostowałam szorstko.

- Mam inteligencję i robię z niej użytek nawet na co dzień. Tobie radzę to samo - wstałam, nalałam drugą szklankę herbaty głównie dlatego, aby zyskać nieco czasu.

Jej krowie oczy, wlepione we mnie z osłupieniem czy podziwem, irytowały mnie. Najlepiej byłoby odwrócić się plecami do tej beznadziejnej historii.



- Podsumujmy ten rachunek absolutnie nieekonomiczny - podjęłam stawiając herbatę na stole.

- Jedyne twoje macierzyństwo jest tutaj niesporne. Ojcostwo pozostanie dosyć tajemnicze, jak zawsze w takich przypadkach. Założmy jednak, że się przyzna. Wtedy, każdego pierwszego, jeśli zostanie do tego zmuszony, przyśle ci na poste restante pewną kwotę, z latami odwrotnie proporcjonalną do potrzeb dziecka. Za szpital i związane z tym inne wydatki być może też zapłaci, jednorazowo, ale to już jest wszystko. Gotowa jesteś na takie warunki?

- Zabiję się - wyszeptła.

- Nie zrobisz tego. Pan Bóg ci zakaze - odrzekłam zgryźliwie.

Nie odezwała się. Siedziała na krześle, jeszcze ładna mimo podpuchniętych oczu, jeszcze zdolna wyrzeć wrażenie swoją bezbronnością, lecz najdalej za dwa miesiące będzie już tylko opuchniętym zwierzątkiem, które przyniosło wstyd rodzinie.

- Coś ci powiem - odezwałam się wbrew sobie.

- Wyduszę z niego jak najwięcej grosza, ale to już wszystko, co można z tym chamem zrobić. Obejrzałam go sobie dokładnie.

W pierwszej chwili nie zrozumiała. Wreszcie dotarło do niej.

- Byłaś tam?! - wykrzyknęła szeptem, cała się trzęsąc.

- Nie robi dla ciebie absolutnie niczego nawet pod pistoletem. Zostałaś sama ze stryczkiem na szyi. Powiesz mi jutro, czy chcesz go zdjąć. Więcej nie da się dla ciebie zrobić, chyba sama to widzisz!...

Siedziałam w oknie bistro jak kolorowa atrapa. Popijałam niespiesznie koktail. Przechodnie zaglądali przez okno do samego dna mojej szklanki, wszystko tu było blisko, wszystko było ciasne, chwilami odnosiłam wrażenie, że rozpędzony tramwaj wyskoczy z szyn i wpakuje swoją zieloność w sam środek lokalu. We wnętrzu było równie ciasno, jak na ulicy. Za moimi plecami toczyła się zajadła kłótnia, przeniesiona wprost z domowego ogniska, w której imię Franek powtarzało się w nieskończoność w najróżniejszych intonacjach. Zrozumiałam, że Franek miał zbyt wielkie męskie możliwości i wykorzystywał je na cudzej żonie. Z boku krzykliwe głosy licealistów odmieniały nazwisko prezydenta przez wszystkie przypadki i wszystkie okoliczności, zawsze niepochlebnie, zawsze mu niesprzyjające, albowiem nadszedł właśnie czas wyrównywania rachunków. Nazwisko naszych jednojajowych bliźniąt powtarzało się również w kółko, wrzeszczenie przeciw było w tym kraju zawsze bardzo patriotycznym gestem, a pomawianie - szalenie intratne i najzupełniej bezkarne. Słuchałam znudzona. I to mnie zgubiło.

Nie zauważyłam go w porę. Mężczyzna, o którym Danuta mówiła „tamten człowiek”,

a który zniknął z Poznania wiele lat temu, znowu powrócił. Stał na ulicy, z twarzą przy oknie i wpatrywał się we mnie. Odwrót miałam odcięty przez podwórkowych polityków, wrzeszczących coraz głośniejsze, przez skłóconą parę już omal gotową do rękoczynów, no i przez stojące wieszaki, rozdęte do granic możliwości jesiennymi kurtkami. Tamten człowiek nadal stał i wpatrywał się we mnie. Nie miał co do mojej osoby żadnych wątpliwości.

Poznał mnie od pierwszego wejrzenia, lecz wciąż go coś powstrzymywało przed wejściem do bistra. Zapewne dobra pamięć, tak, chyba ona. Gdy miałam sześć lat polował na mnie, wracając z przedszkola. Wyskakiwał z bramy, wyrывał moją dłoń z ręki Danuty i włókł mnie za sobą, milczącą, podczas gdy Danuta stała niema i jak wrośnięta. Lecz pewnego sierpniowego popołudnia skończyły się raz na zawsze rodzinne przedstawienia. Bez uprzedzenia trzasnęłam go metalową łopatką w miejsce, które miałam najbliżej. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że jest to jego jedyne czułe miejsce. Zawył. Zwinął się wpół i skurczony przesuwiał się ostrożnie pod mur kamienicy. Zawróciłam, wciąż milcząc, do Danuty. Złapałam ją za rękę i odprowadziłam do domu. Tłum gapiów płakał z radości, a on, zapewne wciąż jęcząc, nadal podpierał mur kamienicy.

Z całą pewnością zapamiętał to do dziś. Sterczał więc nadal pełen wahania. Wreszcie zdecydował się. Ruszył do drzwi. Wysłałam mu naprzeciw na zatłoczony wąski chodnik ulicy Świętego Marcina.

- Dzień dobry, córeczko! - powiedział wylewnie i zapragnął mnie uścisnąć.

Cofnęłam się. Objął powietrze.

- Nauczyła cię nienawiści - skonstatował z gniewem.

Wzruszyłam ramionami. Kroczył koło mnie wysoki, chyba nadal bardzo przystojny, podobny do mnie kolorem włosów, oczu, rysunkiem twarzy. Właśnie to podobieństwo było przez niego podkreślane nieustannie w sądzie, jako niezaprzeczalny dowód ojcostwa. Tak jak niezaprzeczone były dowody niewierności Danuty. Wielka szkoda, że tylko to drugie było kłamstwem. Szliśmy powoli, aż dotarliśmy do ostrego zakrętu, którym tramwaje, ryzykując każdorazowo wykolejenie, skręcały w Aleje Marcinkowskiego, aby potem na łeb na szyję zjechać w dół do Placu Świętokrzyskiego. Zatrzymałam się. Popatrzyłam na śliczny kościółek Świętego Marcina z przepięknymi witrażami. Za plecami miałam stragany i nie kończące się procesje pieszych.

- Mam prawo do ciebie - oznajmił nagle.

Spróbował wziąć mnie pod rękę, a potem pod łokieć. Odepchnęłam go na sam skraj chodnika.

- Tramwaj! - przestrzegłam grzecznie.

Obejrzał się i odskoczył. Zielony kolos nadlatywał z hukiem, wąskim kanionem ulicy. Już był koło nas. Ten, który uważał się za mojego ojca, znowu wyciągnął rękę.

- Wlecisz pod następny! - przestrzegłam jeszcze uprzejmie.

- Właśnie nadjeżdża.

Odkoczył pod sam kiosk. Zielony wóz przyhamował nieco, po czym ze zgrzytem, omal ocierając się o przechodniów, podjechał na przystanek. On zaś stał pod kioskiem, oddychając nieco szybciej.

- Byłabyś w stanie? - spytał.

W oczach miał zgrozę. Uwierzył. Przekonałam go. Nie tylko w urodzie tkwiło nasze podobieństwo, musiał o tym pomyśleć. I musiał przypomnieć sobie, ile razy, przed laty, rozmyślał o podobnie szybkim rozcięciu małżeńskiego węzła. Jeden ruch i nie musiałby wydawać pieniędzy na rozwód. Patrzył więc na mnie nadal ze zgrozą, ale już spod tego uczucia przebijał się błysk podziwu. Zrozumiał, byłam odważniejsza od niego.

- Jestem twoim ojcem - przypomniał mi tylko, już mnie nie dotykając nawet mankietem swej arcymodnej kurteczki.

- Wielka szkoda - odrzekłam.

Nie poszedł za mną. Pomaszerowałam w dół wzdłuż linii tramwajowej. Usiadłam na Placu Świętokrzyskim, przed Santosem, na ulicznej ławce. Rozejrzałam się. To miejsce nadawało się jeszcze bardziej na przypadkowy przypadek. Ulica Strzelecka była tak znakomicie wąska, że bez popchnięcia palcem można by wpaść pod tramwaj. Tak, byłby to istny raj dla scenarzysty filmowego, nawet statystów nie musieliby wynajmować w tym kryminale, stada potencjalnych klientów bowiem i procesje przechodniów spełniłyby za darmo tę rolę. Mój wewnętrzny strumyczek już znowu chciał się włączyć, gdy usłyszałam jej głos.

- Widziałam was!

Głos był spłoszony, nawet tragiczny. Zaszła mnie od tyłu. Usiadła obok, sama jakaś tragiczna. Była bardzo blada. Jakiś czas siedziałyśmy milcząc pośrodku przepływającego tłumu.

- Czego chciał... ten człowiek? - spytała nadal z lekką zadyszka.

- Tobie nic nie grozi - odrzekłam.

- Dziwnie to ujmujesz - rzekła po chwili.

- Zapewne - zgodziłam się.

- Przecież wyjechał stąd na stałe!

- Może jest tylko przejazdem - uspokoiłam ją.

- Oby.

Spojrzałam z ukosa. Kolory jej wracały, chociaż wciąż jeszcze tkwiła w tej swojej komorze ciśnień. Cóż, nie tak łatwo o dekompresję, jeśli się człowiek znajdzie między dwoma czasami, między córką stamtąd, a mężem stąd.

- Kiedyś myślałam, że masz mi rozwód za złe - odezwała się.
- Wyjaśniłam to przy pomocy łopatki - odrzekłam. Roześmiała się.
- Pamiętasz to? - spytała z ulgą. Poklepałam ją po ręce.
- Ale ty zapomnij, pora na to - rzekłam.
- I to najwyższa. Myślisz, że Piotr tego nie czuje?

Spłoszyła się. Siedziałyśmy twarzami ku sobie, niepodobne do siebie w niczym. Lecz ona czerpała z tej bliskości jakąś niezrozumiałą ulgę. Dostrzegłam, jak jej zmacony błękit odzyskuje przezroczystość. Znowu poklepałam ją po ręce. I to już było wszystko, co mogłam dla niej zrobić. Wsiadłam z autobusu nieco wcześniej. Ruszyłam wąskim duktem, nakładając drogi. Krzewy, nie tak już gęste o tej późnojesiennej porze, zdradzały swoje niepiękne sekrety. Co bowiem może być estetycznego w pospiesznym przełykaniu tak zwanej miłości. To nie jest nawet tym, co Fromm nazywa zaspokajaniem głodu, to jest zaledwie mały apetyt szczenięcego ogłupionego ciała. Wycofałam się czym prędzej ze ścieżki, ominęłam ten zagajnik miłości z daleka i weszłam na uczęszczany trakt.

Trakt wysadzany był ławkami. Usiadłam na jedynej całej. Nadal nie miałam pomysłu, w jakim charakterze wystąpić, aby wygrać jak największe pieniądze. Klucz do prymitywnych mechanizmów jest tylko pozornie prosty, to już poznałam. Używając go, nie ma się nigdy pewności, jakie to wywoła następstwa, prostactwo bowiem nie rządzi się żadnymi regułami. Październikowe popołudnie stawało się coraz krótsze, cienie drzew już mnie objęły, a przecież jeszcze chwilę temu siedziałam w słońcu. Rozejrzałam się. Las nagle zmroczniał. Przyszło mi do głowy, iż nie jest to najlepsze miejsce do rozmyślań i że każdej chwili ktoś niepożądany może mi o tym przypomnieć. Wstałam więc i ruszyłam skosem przez polanę ku pełnej spalin drodze. Sztyld kazał mi skrócić w prawo, skręciłam więc i za chwilę ujrzałam warsztat Tylińskiego w całej nieokazałości.

Popatrzyłam na budę i wałący się gdzieniegdzie parkan. Obliczyłam szybko, ile mniej więcej wyda pieniędzy na reperację, i odjęłam sumę od wysokości alimentów należnych Janie. Wyglądało na to, że nie da jej wiele. Mam nóż na gardle, powie, a będzie to tylko częściowa prawda, rozgrzebane warsztaty bowiem zawsze wyciągają więcej pieniędzy od klientów niż te luksusowe. Pozorne ubóstwo zawsze się w Polsce bardziej opłacało od zamożności. Przekroczyłam jezdnię i weszłam na plac. Połowę placu zawałały materiały budowlane, a więc trafnie przewidywałam, że planuje się tutaj zmiany na lepsze, lecz nie na lepsze dla Jany. Ledwo

się ukazałam, wyszedł z kantorku. Idąc po przekątnej udawał, że bardziej interesują go worki z cementem, które gotów był nawet przeliczyć. Od czasu do czasu pokrzykiwał na pomocnika. Ten jednakże nie symulował, że bardziej interesuje go praca niż moja osoba. Wgapił się po prostu we mnie. Zatrzymałam się przy nowym fordzie escort. Drzwi były zamknięte, ale okno otwarte. Klucz tkwił w stacyjce. Bez namysłu wsiadłam. Wóz skoczył jak wystrzelony pomiędzy karoserii. Prześmignął koło osłupiałego pomocnika i zatrzymał się o włos od bioder Tylińskiego. Stał jak skamieniały. Opuściłam niżej szybę i skinęłam na niego. Pochylił się bezwiednie.

- Dzień dobry - powiedziałam grzecznie.
- Mogłaś mnie zabić! - syknął z furją.
- Gdybym chciała, już by pan nie żył - odrzekłam.
- I wóz rozwalić!
- Nie moja strata.

Wysiadłam bardzo powoli. Spódniczka podciągnęła się bardzo wysoko, co nie było zamierzone. Ale on tego nie wiedział. Zamilkł. Wgapił się w moje uda, aż stanęłam obok niego i starannie obciągnęłam spódniczkę.

- Masz ty numery! - rzekł chropawo.
  - Kim ty właściwie jesteś?
  - Pani, która tutaj stoi, jest właścicielką fiata. Miał być gotowy na dziś.
- Pomilczał chwilę.
- Nie jest gotów. Nie mam części. Byłaś już u kogoś z tym trupem?!
  - Nie byłam. A tak dla lepszych stosunków, do mnie mówi się per pani. Naprawdę.
  - Szkoda, mała. Byłoby taniej.

Obszedł forda. Ze skupieniem przyjrzał się czerwonej karoserii. Potem wyjął kluczyki ze stacyjki, podciągnął okno i starannie zamknął drzwi.

- Spóźniona roztropność - zauważyłam.

Nie odpowiedział. Ruszył w stronę kantorku, ale zaraz zawrócił. Znowu otworzył forda. Podprowadził go pod sam budynek. Pomocnik wygrzebał się spod jakiejś ciężarówki. Popatrzył za czerwoną wspaniałością.

- Szefowej - wyjaśnił z dumą.
  - Której? - spytałam.
- Zamrugął oczyma.
- No, tej naszej...
  - A, rozumiem - powiedziałam.

- A ta szefowa gdzieś tu jest?

Nie odpowiedział. Zamigał oczyma i już go nie było. Omal zapadł się pod ciężarówkę, za chwilę usłyszałam gorliwe walenie lewarkiem. Obejrzałam się. Tyliński maszerował ku mnie. Maszerując rozglądał się gniewnie, lecz nie dostrzegł nawet rąbka kombinezonu.

- Wścibski smarkacz! - mruknął podchodząc.

- Widać jest tutaj każdego dnia na co popatrzeć - odrzekłam.

Nie podjął tematu. Zrobił ruch w stronę kantoru. Wnętrze ceglanej budy wyglądało jak przeniesione z innego zakładu. Białe wymalowane ściany, granatowe meble, nowoczesne biurko, wspaniały telefon i fotografia w złoconych ramkach.

- Córka? - spytałam lekko, chociaż twarz na fotografii nie była ani zbyt młoda, ani urodziwa.

- Narzeczona - odburknął.

- Myślałam, że pan żonaty.

Nie zareagował. Rozglądał się po wnętrzu, jakby był tutaj pierwszy raz.

- Zmienia pan branżę? - spytałam.

- Unowocześniam zakład - odrzekł wciąż się rozglądając.

- Interesujące.

- Jeszcze jak! Na razie stoi tutaj to wszystko trochę jak popadło, ale od czegoś trzeba zacząć. Plac mi już od jutra zacząną przerabiać. Wiaty, kryte kanały i reszta, nie będę wyliczał, bo się nie znasz. Zrobię z niego cacko. Daruj, mała, w moim zakładzie takie graty, jak twój, nie znajdą miejsca. Zamówiłem nowe maszyny. Nowy szyld. Tyliński i spółka.

- Z kim? - spytałam.

- Z narzeczoną - odrzucił w rozpędzie.

I zamilkł.

- Myślałam, że pan żonaty - powtórzyłam.

- Byłem.

- Nawet lepiej. Dużo lepiej - rzekłam.

- Co lepiej!?

- Widzi pan, są tacy, co to nigdy nie liczą się z żoną. Pan do nich należy. Ale z pieniędzmi... narzeczonej... będzie się pan liczył.

Stał akurat przy biurku. Obrócił się raptownie.

- Słuchaj, mała. Kim ty, u diabła, jesteś?!

- Nie mów do mnie mała, bo trzasnę cię tym kluczem - rzekłam spokojnie, podnosząc wielki francuski klucz z krzesła.

Patrzył na mnie z ledwo hamowaną furią.

- No, dobrze. Kim pani, u diabła, jest?! O co tutaj, do cholery, chodzi? Ledwo się ukazała, już wyczułem, że coś się przydarzy. No, o co chodzi, gadaj pani! - umilkł, dostrzegł za szybą pomocnika dającego znaki, pokazującego coś w głębi.

Przysunął twarz do okna. Jakiś dżentelmen opuszczał akurat luksusowy samochód.

- Mów, tylko szybko. Gdyby nie ten wścibski gówniarz, który w razie czego poświadczy, wmówiłaby mi pani, że ją siłą zawlokłem do kantorku!

- Ze mną by się nie udało - odrzekłam.

- Nie jestem Janą.

Już leciał do drzwi, aby zasygnalizować, gdzie jest. Znieruchomiał.

- Skąd ją znasz?! Ze schodów?!

- Nieważne.

- Dam pieniądze, mówiłem jej!

- O przetargach w sejmie pan słyszał? O wielkiej czci dla dziecka poczętego? Aborcja stała się sprawą narodową, drogi panie. I bardzo kosztowną.

Usiadł na brzegu biurka, popatrzył na mnie tępo. Nagle coś go zelektryzowało. Aż wstał.

- Znam dobrze jej rodziców - rzekł.

- Zrobią wszystko, aby się nie wydało przed ludźmi. Sami ją do lekarza zaprowadzą, chociaż tacy pobożni.

- Numer nie przejdzie - powiedziałam.

I zablefowałam.

- W piątym miesiącu nikt tego nie zrobi. A jeżeli, to to kosztuje fortunę.

Poderwało go. Zapomniał spojrzeć w okno. Obliczał coś w myślach, wreszcie ustalił.

- W maju nie miałem z nią nic wspólnego.

- Na pewno? - odczekałam chwilę i znowu zablefowałam.

- A majowy weekend? Siostra Jany stała w krzewach i wszystko widziała.

- Ta smarkula? - rzekł bezwiednie.

- Pokojarzyła, może pan być spokojny. Chociaż milczy, niewinność bowiem zabrania jej zrozumieć. Do czasu.

Znowu zapatrzył się w okno. Mężczyzna o wyglądzie dżentelmena rozmawiał z pomocnikiem. Pomocnik pieścił palcami srebrną karoserię. Wreszcie pokazał na kantorek.

- Janina nie wniesie oskarżenia, ja ją znam - zaczął mówić szybko, z oczami na szybie.

- Przed sądem powie, że taka była jej wola. Że zakochała się i tak dalej. Sąd zna dobrze takie smarkule, które wyglądają na dwadzieścia, a mają rozum dziesięcioleciek.

- Miała wtedy piętnaście i pół - przypomniałam.

- Dla sądu będzie to miało znaczenie.

- Szantaż?! - rzucił przez zęby.

- Propozycja. Jutro tutaj będę. Po wóz. Ma być sześćdziesiąt milionów, aby mogła opłacić dobry szpital. Potem się zobaczy. A więc do jutra.

Dżentelmen w szarym garniturze dotarł do kantorku. Obrzucił mnie taksującym spojrzeniem, rozebrał i ubrał z powrotem. Po oczach sądząc, miałam u niego spore szanse. Tarasował sobą przejście. Zrobiłam przeprasający ruch. Usunął się nieco i bardzo niechętnie. Nawet się nie obejrzałam. Był, jak większość z nich, tylko przebrany za dżentelmena, i to bardzo nieudolnie.

- Muszę ci coś powiedzieć - odezwała się Danuta przy śniadaniu.

- Nie będziesz zadowolona.

- Mów. Wymieniła spojrzenie z Piotrem.

- Mam skierowanie do sanatorium - wyznała niepewna.

- Tylko tyle? No to pojedziesz.

- Ależ jest rok szkolny, Zuzo. Masz wiele obowiązków, miałabym ci dodawać jeszcze te domowe?

- I tak pomagam.

- Na dodatek ojciec...

- Nie przesadzaj - rzekłam wesoło.

- Ojca nie trzeba odprowadzać do przedszkola. Ani pilnować, aby czegoś nie nabroił w domu.

Roześmiali się. Obdarzyłam ich równie miłym uśmiechem. Danuta rozluźniła się nieco. Znowu wymieniła spojrzenie z Piotrem. Mieli własną sygnalizację, ale nieco ją rozgryzłam. Niepokoiłi się oboje, sądzą, a każde z innego powodu.

- Podzielimy się solidarnie obowiązkami - podjął Piotr ochoczo.

- Choćby zaraz. Biorę na siebie kuchnię, łatwiej trafię do twojego serca. No i łazienkę. Ty zaś zakupy, boś zmotoryzowany. No i swój pokój, rzecz jasna. Zgoda?

- Zaklepane - odrzekł wesoło.

- Szybko się decydujesz.

- Nie zawsze. Ponoć należę do tych, które powoli, z rozmysłem zastawiają pułapki.

Zeznęłam na nich. Znowu wymienili spojrzenia, on nadal rozbawiony, lecz ona z przemykającym cieniem w oczach.

- Kto tak mówi? - spytała.



- Klasa - wyjaśniłam lekko.

- Twierdzą, że zaczajam się na każdą nagrodę. Że zastawiam pułapki na chłopców, wcale się nie wysilając.

- A zastawiasz? - podchwycił Piotr.

- Nie obchodzą mnie.

- Nie interesuje cię żaden chłopak? - spytał zdziwiony.

- Moim najbliższym celem jest medycyna, tato. Mam zamiar być w tym dobra. Nie jest się dobrym, gdy po głowie chodzą romantyczne historie.

- Brzmi to trochę hm... niecodziennie - rzekł Piotr.

- Szesnastolatki na ogół na pierwszym miejscu stawiają miłość.

- Nie mówimy o miłości, tato. Mówimy o stylu. Mój jest właśnie taki.

Przyjrzał mi się z zainteresowaniem. Zerknął na Danutę, ale ona wpatrywała się w talerz. Wiedziałam dlaczego. Tamten nikły cień znowu powrócił do oczu i zmącił ich przeźroczyść.

- Będzie ci bardzo trudno, Zuzo, utrzymać się w hm... tym stylu - rzekł Piotr.

- Zbyt ładna jesteś.

- Nie doceniasz mnie, tato - odrzekłam.

- Niemniej dzięki.

- Boże, już siódma trzydzieści - zawołała Danuta.

Głos miała lekko spłoszony. Spojrzałam na nią znad filiżanki. Wstała zbyt szybko. Byłam pewna, że to nie lęk przed spóźnieniem się przyspieszył jej ruchy i nadał im ostrość. Pamięć była winna. Wszystkie odcienie upokorzeń, jakie miała za sobą, odzywały w niej w różnych momentach. Incydenty, błahe dla innych, nabierały podtekstów. W krótkiej chwili zwały się na nią dwa uczucia, z którymi nie umiała sobie poradzić. I których się wstydziła. Zazdrość i pogarda dla siebie za to uczucie. Wiedziałam to, jakbym była nią. Nigdy już nie poczuje się w pełni bezpieczna, nigdy. I z pewnością ja także byłam temu winna. Rosłam bowiem bardzo blisko, jak kwiat łatwy do zerwania, tak to przynajmniej określała tamta stara dama. Poszli. Pozbierałam ze stołu talerze i umyłam je, nie odkładając na później. Strumyczek we mnie zaczął się znowu natrętnie odzywać, wyrecytowałam więc szybko na głos wiersz Shelleya zadany na dzisiaj i drugi na pojutrze. Ale on nie przestawał ciurkać we mnie o różnych rzeczach. O progu odporności także, poza którym niezaspokojenie staje się czymś nie do zniesienia, tak nas bowiem skonstruowano, tak mówi Fromm. Lecz ja będę pierwszą, która umknie przed siłami ciała. Poprawię w sobie błędy konstrukcji, zaprojektowanej przez naturę. Czy może bowiem istnieć coś skuteczniejszego od szczepionki, którą sobie raz po raz aplikuję?

Która sprawa, że umysł mój pozostaje niezmacony, a emocje stoją z boku?

Popatrzyłam na krwawiący palec i na szklanę zgniecioną w dłoni, potem odruchowo na okno, za którym, wbrew rzeczywistości i mojej woli, zielenił się niekiedy wycinek łąki z ruchliwą plamą pośrodku, wreszcie odwróciłam się od tego wszystkiego z gniewem. Obandażowałam palec, odsiedziałam pełną gniewu na brzegu wanny, już nie myśląc o niczym. Rozwiązałam wszystkie zadania przed czasem. Kulka papieru spadła na mój stół. Zgarnęłam ją i wyszłam, oddając po drodze klasówkę. Kula mruknęła, nie pomyliłaś się aby, a ja odszepnęłam, nie, pani profesor, po czym wyszłam. Chwilę stałam przy oknie. Nie rozwinęłam kulki od razu. Wiedziałam, co napisał. Wił się przez trzy lekcje za moimi plecami, lecz nie miał odwagi zapytać, dlaczego miejsce Janiny jest puste. W dole wuefista ustawiał swoje sportsmenki w szeregu. Skrócony o nogi wydawał się być jeszcze grubszy, niż był w istocie. Z jakiegokolwiek perspektywy oglądany, wciąż zachowywał kształt gruszki, i to mocno pękatej. Tylko twarz przetrwała w nim dosyć urodziwa, a także bujne włosy. Lecz to, co się pod nimi kołysało w próżni, trudniej byłoby określić.

- Zawsze kończysz grubo przed czasem - zagaił Irek do moich pleców.

- Zgadza się. Popatrzyliśmy na siebie krótko, bez niechęci.

- Długo wkuwałaś? - spytał.

- Wcale. Przyjął to jak coś oczywistego.

- Posłałaś komuś ściągę?

- Po co? Niech się uczą - odrzekłam.

Znowu przyjął to jak coś, czego się spodziewał.

- Nie pokochają cię za to - zauważył tylko.

- Ty rozsyłaś, lecz nie widzę, aby cię za to uwielbiano.

- Bo raz wysłałem złe wyniki.

- Celowo? - spytałam z lekkim zainteresowaniem.

- Skąd. Zorientowałem się post factum. Swoje zdążyłem poprawić.

Roześmiała się.

- Już cię miałam pochwalić - rzekłam.

- Intrygujesz mnie, Zuza.

- No to masz przynajmniej po co przychodzić do szkoły.

- Nie miałem na myśli sentymentu - sprostował.

- Ja też - zapewniłam.

Znowu popatrzyliśmy na siebie krótko. Potem wyjrzelśmy w dół. Grucha uczył teraz swoje sportsmenki prawidłowej siatkówki.

- Frajerki buhaja - mruknełam.
- Co? Jak?
- Tak je nazywają. Szkolny Klub Sportowy czyli Frajerki Buhaja.
- Że Grucha, słyszałem. O frajerkach buhaja pod siatką, nie.
- Bo jesteś od niedawna.
- Pół roku to sporo czasu.
- Nie dla intymnych plotek. Frajerki buhaja, przyznasz, to już coś dla zaufanych.
- Czyli stałem się zaufany. Od teraz, tak?
- Niczym się nie stałeś, chłopcze. Pożyjesz, to zrozumiesz.

Ciągnęliśmy uczniowską pogawędkę bez pośpiechu, nie przydając żadnemu słowu wagi. Nie o to nam obojgu chodziło. Grucha podskakiwał w dole pod siatką, lecz wisiała zbyt wysoko, albo on istotnie zmałał grubiejac, dość że piłki prześmigiwały obok niego i żadnej nie potrafił ściąć.

- Myślałem, że jesteś z Janą blisko - podjął Irek nie patrząc na mnie.
- Źle myślałeś.
- Ona cię irytuje. Dlaczego? Zaskoczył mnie.
- Twój głos mi to powiedział - wyjaśnił.
- Kogo obserwujesz, Janę czy mnie?

Przygładził włosy, dobrze umyte, dobrze przycięte. Nie miał też zażółconych palców, a więc i tutaj był ideałem ucznia.

- Pewnie też nie pijesz, co? - spytałam.
- Zgadłaś. Odpowiadam na pytanie numer jeden: Interesujecie mnie obie. Dziwny zestaw w ławce, tak was nazwałem już pierwszego dnia. Co was razem posadziło?
- Przeznaczenie - odrzekłam.

Otworzyłam szerzej okno. Z niedomkniętych drzwi ubikacji bił dym papierosowy przemieszany z zapachem nie domytych sedesów. W szkole naszej zmieniała się tylko wysokość opłat, reszta została niezmieniona, łącznie z łapówkami. Przesunęłam się pod drugie okno, a on poszedł za mną.

W dole, frajerki buhaja nadal krążyły bezładnie po polu gry. Nie była to doborowa kadra, sam to rozumiał. Ale były młode, co miało dla niego większe znaczenie. Właśnie złapał dwie i bardzo cierpliwie z najbliższej bliskości zademonstrował przeróżne kruczki, szybkie uniki i niespodziewane ataki. Tak się przy tym zgrzał, że przeliczył swoje możliwości. Runął całym ciałem ku piłce, aby ją ściąć tuż nad siatką, i gruchnął na asfalt, aż echo poszło. Od tego też wziął swoje przewisko. Gdy padał, trudno było nie usłyszeć. Frajerki parsknęły śmiechem

i zaraz umilkły. Grucha podnosił się wolno, one zaś czekały na karę za niestosowną wesołość. Lecz Grucha zawiódł ich oczekiwania. Nasze też. Nie sprawdził, która to najgłośniejszą się śmiała. Zaczął znowu krążyć między nimi, łagodny jak baranek.

- Chłopców potraktowałby inaczej - zauważył Irek.
- No, chociaż tyle wiesz o życiu - odrzekłam.
- Kiedyś był niezłym sportowcem. Mój ojciec go znał.
- Sportowcem, może - zgodziłam się.
- Nie lubisz takich facetów?
- Śmieszą mnie - wyjaśniłam.
- Chyba nie tylko - powiedział.
- Przyglądając się, nie miałaś rozbawionej miny.
- Pewnie tęskniłam właśnie za autorytetem w szkole - odrzekłam ironicznie.
- Ciebie ta posucha wśród wartości nigdy nie dręczy?
- Czasami - zamknął okno, spojrzał mi prosto w twarz.
- Widziałem ciebie i Janę w parku. Płakała. Nie chciałem być nachalny.
- I słusznie.
- Co się dzieje, Zuza?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie jest moją dziewczyną - powiedział szybko.
- Ale lubię takie jak ona. Niepodobne do tego stada.

Przyjrzałam się mu. Miał uparty wyraz twarzy i oczy wyżła, któremu się zdaje, że wszedł na ślad.

- Ma kłopoty rodzinne. To się zdarza, prawda? Słyszałeś już o czymś takim?
- To są tylko jej kłopoty. Nie rodzinne. I ty wiesz, o co chodzi.

Milczałam, podczas gdy on przybił mnie tymi swymi nachalnymi oczami do ściany i nie zamierzał uwolnić.

- Mój ojciec zna jej rodziców - rzekł.
- Czy jest ktoś, kogo twój ojciec nie zna? - odrzuciłam szorstko.

Uchyliłam się spod jego rąk i poszłam w głąb korytarza. Drzwi otworzyła siostra Jany. Była od niej o dwa lata młodsza, lecz równie wyrosnięta i tęgawa. Miała też tę samą łagodną twarz z brązowymi oczyma krowy. Lecz w jej wilgotnych gałkach czaiło się więcej sprytu niż w Janinie w całości.

- Powtarza angielski - poinformowała mnie, prowadząc korytarzem.
- Jutro macie klasówkę, prawda?

- Prawda - skłamałam.

Jana siedziała przy biurku. Pokój był duży, ale tak zagracony, że nie było miejsca na oddychanie. Wszystko, co przypadało w spadku po zmarłych ciotkach, trafiało do tego pokoju. Empirowe stoliki kłóciły się z ciężką szarfą i biurkami z cepelii. Jana siedziała przy swoim, pod oknem. Spojrzała na mnie, nie ruszając się z miejsca. Bez słowa wskazała na fotel. Zapadłam się w nim głęboko, sprężyny zaczęły o dywan. Czekałam. Nie zasygnalizowała oczami niczego. Obojętne jej było, czy mój tekst o szkole będzie zgodny z jej tekstem. Ta młodsza przetrząsała w nieskończoność szuflady. My nadal milczałyśmy, trzasnęła wobec tego ostatnią i wyszła bez słowa. Janina wstała. Wspięła się do górnej półki. Zrozumiałam, dlaczego nie przychodzi do szkoły. Ostatnie dwa tygodnie zmieniły jej sylwetkę.

- Który to miesiąc? - spytałam cicho.

- Szósty - odrzekła bez tchu.

- Czyli mój blef był prawdą - powiedziałam.

Nie słuchała. Wyglądała na całkowicie oszołomioną.

- Zapomniałam. Wyszło mi z głowy, kiedy byłam z nim po raz pierwszy - wyszeptała.

- Bo to było tak niezupełnie, rozumiesz? Lekarz mi to wytłumaczył.

- Czyli majówka nad jeziorem była którymś tam razem?

- Chyba drugim - odrzekła i zamilkła.

- Skąd wiesz o majówce - spytała zaskoczona.

- Nie mówiłam ci o niej.

- Nieważne - odrzekłam.

- Tak długo nie było widać - powiedziała z rozpaczą.

- Aż nagle, od tygodnia...

- Powiedziałaś matce?

Aż wstała.

- Nie mogę jej martwić!

- Będziesz musiała! - odrzekłam.

Zgarnęłam płaszcz z krzesła. Spytałam gestem, czy też wyjdzie. Ubrała się z pośpiechem. Płaszcz obcisłał ją jak gorset, jeszcze trochę, a wcale się nie dopnie.

- Przesunę guziki - szepnęła.

Matka Jany zawołała nas z kuchni. Było to wielkie pomieszczenie z dużym oknem, z drzwiami prowadzącymi na tak zwane kuchenne schody dla służby. Służby nie było, schody zostały, wbiegałyśmy nimi z Janą z podwórka, aby było szybciej.

- Nie siedzicie za długo w parku - przestrzegła nas troskliwie matka Jany.

- Listopad jest zdradliwym miesiącem, a Janeczka jest taka wrażliwa.

Obeszła swoją Janeczkę kilka razy, omal się o nią nie ocierając. Manipulowała zręcznie garnkami, równie zręcznie omijając córkę. Głos jej był taki jak zawsze, łagodny, nieco rozwlekły, a ruchy pozbawione nerwowości. Kiedyś jednak stanie się nerwowa, gdy płacz noworodka przedrze się do jej pobożnych uszu. Wyszliśmy. Siąpiła mżawka, z kuchennego okna na pewno można było dostrzec mokre dachy, dlaczego więc mówiła o siedzeniu w parku? Z pomieszczenia? Domyśla się?

- Ona wie - powiedziałam głośno.

- Nie! - krzyknęła Jana.

- W porządku. Nie wie. A ojciec?

- Na saksach. Z firmą.

- Jak długo chcesz to ciągnąć, Jana? Do końca się nie da.

- Na zabieg jest za późno - rzekła apatycznie.

- I tak go nie chciałaś - odrzekłam.

Usiadła na mokrej ławce. Poderwałam ją, podłożyłam dwie gazety i plastikowy worek. Dla siebie przygotowałam podobne siedzenie.

- Pójdziemy do kawiarni? - zaproponowała.

- Przecież będziesz ryczeć - odrzekłam szorstko.

Popatrzyła na mnie, zaprzeczyła i zaraz znowu zaczęła płakać. Czekałam cierpliwie, aż wytrze nos. Podałam jej swoją chusteczkę, pozwoliłam zajrzeć do lusterka, chociaż wiedziałam, że i tak niczego w małej tafli nie dojrzy, łzy bowiem ciekły jej bezustannie.

- Opanuj się - powiedziałam.

- W ten sposób przesiedzimy tu do wieczora. Chyba że po to przyszaś.

Mówiłam szorstko, wręcz niechętnie. Wychwyciła te nutki. Przestraszyła się. Złapała mnie za rękę.

- Już nie będę - przyrzekła.

- Jedźmy więc dalej - rzekłam.

- Pewnego dnia będziesz musiała swojej matce powiedzieć. Czy nie lepiej zaraz?

- Nigdy. Ona jest taka pobożna.

- Trójkę dzieci urodziła. Nie było to niepokalane poczęcie.

- Nie mogę, Zuza - siedziała z opuszczoną głową, już nie płakała.

- To moja wina, że się tak stało - wyszeptwała.

- Nie oceniaj tego w kategoriach winy - odrzekłam.

- Najwyżej głupoty. Obejrzałam sobie dokładnie tego twego rycerza. Zakuto go w

najcięższą zbroję. Nie przebijesz się przez to prostactwo żadnym laserem, niczym, już sprawdziłam.

- Byłaś tam znowu? - przestraszyła się.

- Musi dać pieniądze, rozumiesz chociaż tyle? Gdzie chcesz urodzić to dziecko? U siebie, na biurku?

- Pójdę do domu samotnej matki - odrzekła.

- Może jutro.

- Jak ciebie znam, odłożysz na później.

- Naprawdę pójdę. Mam adres.

- Tam też są potrzebne pieniądze.

- Urodzę dziecko, a potem oddam w dobre ręce. Wrócę do domu i nikt nie będzie wiedział.

- Jak ciebie znam i tego zaniebasz. Uznasz, że musisz dźwigać krzyż do końca. I powleciesz się z dzieckiem przez całe życie.

- One mi pomogą. To zakonnice.

- Dobrze, że w to wierzysz.

Zamilkła. Siedziała nadal z opuszczoną głową, przytrzymując odruchowo płaszcz, rozchylający się z przodu. Zawsze była tęgawa i to na razie pozwalało jej zrzucać wszystko na przytycie. Lecz pewnego dnia nawet najbardziej niedowidząca matka stanie oko w oko z nieuchronnym.

- Dobrze, Jana. Idź do tych zakonnice. Przynajmniej tam nie będziesz musiała udawać.

- Zostawię mamie list, że jadę do ciotki Klary. Że rzuciłam szkołę, bo miałam złe stopnie, a bałam się rozmowy w domu. Może uwierzy.

- Na pewno uwierzy.

- Wysłałam już list do szkoły, że przerywam naukę. Podpisałam mamę.

- Przyzna się do tego podpisu, bądź spokojna!

Spojrzała na mnie z ukosa. Ale nie zaczęła bronić matki. Milczałyśmy. Nie patrzyłam na nią, nie byłam nawet zła. Jezu Chryste, dla takiego kłębka bezwolności chciałam się zdekonspirować. Chciałam zainscenizować świetne przedstawienie a potem podyktować warunki. Gdyby nie był tak prymitywny, już bym to zrobiła, zupełnie niepotrzebnie, bo ona, ta pęczniejąca bryła bierności, i tak nie wyciągnęłaby z tego zysku. Nikt nigdy nie będzie w stanie pomóc takim jak Jana. I to nie tylko w tak zwanej miłości.

- Wtedy, w maju, byłaś małaletnia - odezwałam się.

- To podnosi cenę. O dziwo, natychmiast zrozumiała.

- Nie chcę! - powiedziała zaskakująco stanowczo.

- Zechcesz, gdy zostaniesz bez grosza.

- Nigdy! - obróciła się ku mnie.

Nadal miała wygląd absolutnie straconej, lecz na dnie oczu pojawiła się twardość.

- Nie chcę być taka!

- Jaka? Chwilę szukała słów.

- Podła - odrzekła.

- Wstrętna jak ten świat. Nie będę wywlekać niczego przed sądem. Nie będę oskarżać.

Wcale tam nie pójde. Nigdy. Niech zostanie, jak jest.

- Włóż sobie aureolkę na czoło - doradziłam szorstko.

- Wcale nie jesteś zła na mnie w tej chwili - rzekła.

- Jestem pewna, że rozumiesz mnie. Sama też nigdy nie zrobiłabyś świństwa, ja ciebie znam.

- Bóg z tobą, aniele - rzekłam wstając.

- Wracaj do nieba!

- Dokąd idziesz?!

- Zrobić świństwo.

Tylińskiego na placu nie było. Mój wrak stał pod walącym się parkanem jak trędowaty pośród błyszczących lakierów. Ale ktoś zmył brud z karoserii. Okna błyszczały. Nawet zderzaki, nadgryzione rdzą, miały dyskretny połysk.

- To ja go umyłem - pochwalił się pomocnik, wyłaząc zza wielkiej ciężarówki.

Kopnął z pogardą w grube opony stara.

- Niedługo już tu czegoś takiego nie będzie. Żadnych ciężarowców. Szef się przestawia.

- Widzę - powiedziałam, patrząc na równo ułożone cegły i stos metalowych rur, złożonych w najdalszym kącie.

- Plac jest duży - objaśniał mnie pomocnik z dumą, jakby nagle sam stał się właścicielem.

- W jednym kącie będzie budowane, a w drugim możemy jeszcze pracować, szmal jest potrzebny... - urwał, omal nie dodał na końcu wykładu słowa „mała”, takie miałam wrażenie.

Mylne, jak się okazało. Mowę odebrał mu czerwony ford escort, ten sam co wczoraj.

- Szefowa - szepnął z przejęciem.

Obróciłam się. Luksusowy samochód, do którego się kilka dni temu włamałam, okrążył plac, ostrożnie wyszukując odpowiednie miejsce. Pomocnik rzucił się naprzeciwko. Lecz zaraz cofnął się i popatrzył na mnie. W niedużych oczach miał teraz samą ciekawość.



- Oni się pobierają - szepnął podniecony.

- Przemiała wiadomość - odrzekłam.

- Naprawdę!

- Nie mogło być lepiej, mój chłopcze - stwierdziłam patrząc na czerwony wóz, lokujący się między dwoma polonezami.

- A szef jest w kantorku - szeptał.

- Ale nie wyjdzie, dopóki pani tu jest.

- A to dlaczego? - zdziwiłam się.

- Sknocił coś przy moim wozie?

Oczy przestały mu się jarzyć szczęściem i ciekawością. Patrzył na mnie, nieco zbity z tropu.

- Jestem waszą najlepszą klientką, chłopcze - pouczyłam go.

- Pragnę osobiście podziękować twojemu szefowi. A teraz won, ty szurku!

Nie cofnął się nawet. Poszłam za jego wzrokiem. Właśnie wysiadła z czerwonej wspaniałości. Była wysoka, tęga, pewna siebie. Spojrzała w naszym kierunku, skinęła na pomocnika.

- Szef u siebie?

Ruszył z zapalem. Wyjaśniał gestykując. Jego głowa wciąż okręcała się ku mnie, po prostu nie mógł już na mnie nie patrzeć, tak go sytuacja podekscytowała. Może nie był zbyt inteligentny, ale uszy miał nad podziw czule i wychwycił nimi każdy nasz dialog, nawet ten prowadzony w kantorku. Tym lepiej zresztą, tym lepiej. Kobieta słuchała najpierw spokojnie, wodząc oczyma po placu, jakby go od nowa zagospodarowywała. Nagle poklepała chłopaka po ramieniu, popchnęła lekko ku jakiemuś samochodowi, po czym obróciła się twarzą ku mnie. Odległość nie była wielka. Chłopak oddalał się najwolniej, jak potrafił. Ona czekała cierpliwie. Wreszcie zrobiła kilka kroków w moją stronę. Uśmiechnęła się. Jej nieurodziwa twarz wyładniała.

- Jest kolejka? - spytała wcale nie prostackim głosem.

- Do niego zawsze - odrzuciłam.

- Z takim wyglądem nie powinna pani nigdzie zbyt długo czekać - odrzekła spokojnie.

- Toteż nie czekam.

- Wierzę.

Uśmiechnęła się znowu. Nie było w jej patrzeniu na mnie żadnej podejrzliwości, nic, tylko prosta konstatacja.

- Ze mną jest odwrotnie - powiedziała.

- Ale i z tego mądry wyciąga naukę. Jak mówi pewna fraszka, nawet pałka policjanta może być drogowskazem - obejrzała się w stronę kantorku.

Za szybą bieląła czyjaś twarz, obie wiedziałyśmy czyja.

- Boi się wyjść - powiedziała nie odwracając głowy.

- Na to wygląda.

- Pani jest właśnie tą dziewczyną - stwierdziła, wciąż patrząc na kantorek.

- Owszem. Jestem tą dziewczyną - potwierdziłam spokojnie.

- Ale nie wiem, o którą dokładnie pani chodzi.

Popatrzyła na mnie. Miała nieduże brązowe oczy, rudawe rzęsy, włosy też były rudawoblond, a twarz pełna piegów. Nie pofatygowała się, aby je ukryć pod pudrem. To mogło nawet imponować.

- Wiem wszystko - rzekła.

- Opowiedział, bo nie miał wyboru. Na dziecko będzie płacił, dopilnuję tego. Ale najpierw musi się ono urodzić. Przykro mi, że tak się stało.

- Przekażę wyrazy współczucia mojej koleżance - odrzekłam.

Uśmiechnęła się.

- Wyjdę za niego. Postanowiłam to.

- Podoba się pani?

- Chcę mieć rodzinę i dzieci - odrzekła.

- Podobanie stawiam na dalszym miejscu - znowu się uśmiechnęła, popatrzyła przez ramię w stronę kantorku.

Twarz Tylińskiego majaczyła nadal za przybrudzoną szybą.

- Z tamtą dziewczyną nie będzie chyba dodatkowych kłopotów?

- Nie miała wtedy szesnastu - odrzekłam.

- Przyznał się i do tego. Tak, to podnosi cenę, rozumiem to - popatrzyła mi prosto w oczy już bez uśmiechu.

- Jest pani jej rzecznikiem, proszę się nie wahać, to jest interes. Ja znam swoją cenę na małżeńskim rynku.

- Skoro pani ją zna, to dlaczego tak późno się sprzedaje?

Dostrzegłam lekki rumieniec na jej twarzy. Ale głos był spokojny.

- Bo dopiero teraz upiększyły mnie pieniądze.

- Przepraszam - powiedziałam.

- Dopiero teraz uraziła mnie pani - odrzekła.

Znowu popatrzyła na kantor przez ramię. Mogła stąd odejść, ale nie zrobiła tego. Bawiła

się w przeciąganie, bawiła się jego strachem, zrozumiałam to, jakbym była nią. Z całą pewnością żałowała, że nie może widzieć jego twarzy, jego niepewności. Że nie może dotknąć robaka patyczkiem i przejrzeć z bliska, jak kurczowo się zwija. Dałoby jej to ogromną satysfakcję, lecz za mądra była, aby pozbawiać robaka w swoich oczach resztek szacunku.

- Szkoda! - odezwała się, wciąż patrząc do tyłu.

- Czego? - spytałam.

Nie odpowiedziała od razu. Odwróciła się. Wyjęła lusterko z torebki i przejrzała się. Nie była to gra na zwłokę, na pewno nie. Należała z pewnością do osób, które grają ostro, ale fair. Spodobało mi się to.

- Może tej małej. Może czegoś więcej. Mniejsza - powiedziała wreszcie.

Schowała lusterko, wyjęła portfel.

- Konkretnie, ile?

- Jak najwięcej - odrzekłam.

- Rzecz jasna, pokwituję.

Skinęła głową. Wypisała jakiś świstek, potem wyrwała czek z książeczki. Położyła to wszystko na dachu forda, wskazując palcem, gdzie mam podpisać pokwitowanie. Podpisałam sto milionów. Dostrzegła moje zdumienie.

- Byłam chrestną. Wiem, ile taka impreza kosztuje. Niech ją pani dobrze obsprawi. Potem będzie płacił miesięcznie. Życzę jej szczęścia.

- Trochę za późno - odrzekłam.

- To nie było do wygrania - powiedziała.

- Bardzo rzadko decydują reguły gry. Zawsze ich brak - schowała pokwitowanie.

Uśmiechnęła się.

- To dla niego - powiedziała.

- Niech wie, ile za niego zapłaciłam. Za ile wykupiłam. Na ten raz, bo to się za nim powlecze przez całe życie.

- Za panią się powlecze - odrzekłam.

- Za nim się nie pociągnie nawet jego własny smród. I pani należałoby życzyć szczęścia.

- Wystarczy mi przewaga - odrzekła.

Skłoniła głowę. Nie patrzyłam na odchodzącą. Ruszyłam w stronę mego wraku. Do głowy by mi nie przyszło zapłacić za usługę. Nie znałam dotąd uczucia, które mnie teraz rozsadzało. Nie był to ani gniew, ani pogarda. Dałam się wciągnąć, niestety. Wlazłam w cudzy życiorys obiema nogami i - to wiedziałam na pewno - nie uda mi się już wyrwać stamtąd bez szwanku.

Dziesięć lat budowania idealnej odległości między mną a innymi poszło na marne. I to w jakiej sprawie. W czystej sprawie. Jezu Chryste, przecież ona i tak się zmarnuje, tego jestem absolutnie pewna. Przekręciłam kluczyk. Wskoczyłam z dwójki, coś szurnęło po dachu, po czym spadło, ale nie sprawdzałam, co. Przeleciałam przez bramę. Jakiś mały fiat uciekł przede mną w ostatniej chwili pod drzewo, ja precyzyjnie się, też w ostatniej chwili, między dwoma następnymi. Leciałam jak szalona. Przy lesie zatrzymałam się. Zgasiłam silnik, oparłam głowę o kierownicę, obojętna, że stoję połową kół w rowie.

- Wyciągnąć panią? - zawołał przejeżdżający starem kierowca.

Odmachnęłam, że ma dać mi spokój. Pojechał. A ja tkwiłam nadal, teraz już z nogami w rowie, oparta wygodnie o siedzenie. Miałam czas. Miałam za dużo wolnego czasu, w którym już niczego nie zdołam wymyślić. Przed domem natknęłam się na Irka. Wyglądało na to, że czekał tu na mnie. Ukłonił się. Chciałam przejść obok, ale zaszedł mi drogę.

- Byłem w Suchym Lesie - poinformował mnie.

- Ładnie z twojej strony - odrzekłam.

- Widziałem ciebie z autobusu. Jechałaś fiatem.

- Bardzoś spostrzegawczy.

- Omal nie przygwoździłaś do drzewa czerwonego malucha.

- Spisałaś protokół?

Zamilkł. Mówił spokojnie, wyglądał spokojnie, ale w oczach czaiła mu się podejrzliwość.

- Byłem tam u ciotki - rzekł.

- A ja u wuja.

- No to cię nieźle zirytował!

- O spadek nam poszło - wyjaśniłam.

Chciałam go obejść, ale znowu zaszedł mi drogę.

- Zuza! - zaczął.

- Daj mi spokój! Wystarczy, że siedzisz co dzień za moimi plecami.

- Nie tylko za twoimi - przypomniał.

- Dlaczego Jana nie przychodzi?

- Znasz adres. Idź i zapytaj.

- Byłem. Ale ta młodsza powiedziała, że Jana wyjechała do rodziny.

- No widzisz.

- Kłamała. Widziałem Janę w oknie.

- Nie chciała się z tobą widzieć, logiczne, nie?!

- Dlaczego, na Boga, dlaczego? Oparłam się o mur.

- Pan Bóg ci nie odpowie, Irek, bo sam nie wie. Dziewczyny miewają kaprysy, już są takie, trudno.

- Ona jest inna. Mam przeczucie...

Teraz ja przerwałam.

- A ja mam przeczucie, że pora się żegnać. A więc bywaj, do jutra.

Nie zatrzymywał mnie. Obeszłam go, jakby wrośniętego w chodnik, i zatrzasnęłam za sobą bramę. Głupi, natarczywy smarkacz z węchem Holmesa. Skoro wypatrzył, czego inni z bliższej odległości nie dostrzegli, niech sobie sam wydedukuje resztę.

Poznałam go od razu. Szedł korytarzem szkoły, rozmawiając z Kulą, o dobre trzydzieści centymetrów niższą, a za nimi szedł Ireneusz. Nie miałam wątpliwości, kim są dla siebie. Od dawna, od pierwszej chwili, gdy tylko usiadł za moimi plecami, przypominał mi natrętnie kogoś. Dzisiaj odkryłam, kogo. Obróciłam się bokiem, tak że w razie czego miałby tylko mój profil przed oczami, przesłonięty głowami koleżanek. Gdy byli już bardzo blisko, odwróciłam się do okna. Nie poznałby mnie i tak, ten nagle odkryty ojciec Irka. Wtedy byłam dla niego dwudziestoletnią dziewczyną, studentką pierwszego roku, która sprawdzała życie. Tak to zaszeregował. Nie zrobił mi wykładu, że rzucanie się na oślep w tak zwaną pełnię życia jest fałszywym krokiem. Nie czynił też żadnych aluzji, chociaż miał zadatki na kaznodzieję, jak każdy w jego wieku. Zapytał tylko raz, jakby mimochodem, czy nie za młoda jesteś na takie rzeczy? A ja odparłam równie lekko, a ty sądzisz nadal, że jesteś do tego w sam raz? Potem przeszliśmy na dystans, na owe pan i pani, w których są nikłe pozory szacunku.

Wtedy przed pół rokiem natknęliśmy się na siebie przypadkiem. Był marzec, lało okropnie, a ja stałam bez parasola i lizałam loda w tutce. Opoдал był Hortex, podeszłam więc jeszcze dwa razy do okienka. Lizałam zapamiętałe, rozbawiona spojrzeniami przechodniów. W pewnej chwili wystrzelił nade mną parasol. Wielka czerń osłoniła moją głowę, podczas gdy on stał ze swoją posrebrzaną pod sitkiem gęstego deszczu i czekał, co powiem. Powiedziałam dziękuję. Poszliśmy się wysuszyć oboje do hotelowego pokoju. Dom Chłopa był zawsze dobrym przytułkiem dla panów na delegacji. Deszcz zmył farbę z mojej twarzy, lecz on uwierzył, że mam już dwadzieścia, ponieważ chciał uwierzyć. Poruszał się inteligentnie i z wielką precyzją pośród kłamstw, które zawsze trzeba wymyślić, ponieważ nie da się rozegrać wieczoru tak całkowicie bez słów. Oprócz tej cechy nie odznaczył się niczym szczególnym. Lecz zapamiętałam go dobrze.

- Przystojny, prawda? - odezwała się Dorota, odprowadzając ich oczyma aż po sam pokój nauczycielski.

- Który? - spytałam obojętnie.

- No, obaj - odrzekła i westchnęła.

Nazywano ją klasową miłośnicą, a od pewnego czasu Płonące Usta, jako że cała klasa obejrzała zwariowany serial Mash i dostrzegła uderzające podobieństwo naszej Dorotki do owej Margaret.

- Moi bracia - dodała, znowu wzdychając - to przy nich jak ciemne trepy.

- Przed trepami zawsze najlepsza przyszłość - odrzekłam i odwróciłam się.

Właśnie wracali, już bez Kuli. Wychyliłam się z okna w dół, ale nie było na co patrzeć. Wciąż ten sam obrazek, szalejące pierwsze klasy i taktownie tego nie dostrzegający nauczyciele. Patrząc na to, można było żarliwie zatęsknić za przemocą, za kneblami do ust i za trotylem, który by tych obojętnych tam w dole raz na zawsze rozerwał. Ale pomyślałam to bez gniewu, trudno, wkomponowano mnie w ten krajobraz, w całą tę rzeczywistość, w której miałam tylko trwać możliwie najbierniej. Gdy się cofnęłam, tych dwóch na korytarzu już nie było. Nie spotkałam się z tym starszym po raz drugi nie dlatego, że wszelkie powtórzenia bywają niebezpieczne. Lecz dlatego, że on przestraszył się sam siebie. Dokładniej ujmując, przeraziło go, że jego własny portret, pielęgnowany latami, nagle rozleciał się na kawałki za moją sprawą. Znał swoje mankamenty, na pewno je znał, lecz dopóki wiedział o nich sam, czuł się bezpiecznie.

Boże, jak się ten człowiek przeraził, gdy nagle stwierdziłam najzupełniej beztrzesko, że nie mam mu za złe ogromnego pośpiechu, z jakim mnie skonsumował. Rozumiem bowiem, dlaczego. Przeraził się tak bardzo, iż omal zapomniał, że jestem obok. I to nie przenikliwość opłaconej dziewczyny była powodem wstrząsu, ze mną nie musiał się liczyć, lecz rumor, z jakim się mu ten przepiękny obraz znakomitego mężczyzny rozleciał. Zapewne rozlatywał się mu niejedną raz, lecz miał wtedy przy sobie dużo taktowniejszą partnerkę. To także mu powiedziałam, nadal bez ironii.

- Słuchaj no - zagadnęła Dorota wracając.

- Irek siedzi tuż za tobą. Bardzo często rozmawiacie. O czym?

- O igrekach.

- Nawet kartki ci wysyła. Zauważyłam.

- O iksach.

- Na ostatniej zabawie - ciągnęła niezrażona - tańczył pięć razy ze mną. A z czarną Kaśką tylko trzy. Był też bardzo miły, żaden chłopak w klasie nie umie być tak miły. Jak myślisz, kocha się we mnie?

- Na pewno.

Przełknęła to gładko. Z każdej szkolnej zabawy wracała oszołomiona powodzeniem. I nigdy nie umiała pojąć, dlaczego już następnego dnia nic więcej się nie wydarzało. Dlaczego jej blask przygasał z pierwszym dzwonkiem na lekcji.

- Jest dżentelmenem - odkryła nagle.
- Nie chce rzucać na mnie cienia. Wiesz, jaka jest klasa. Zaraz myślą Bóg wie co.
- Odległość między dobrym wychowaniem a prawdą jest większa, niż ci się wydaje - odrzekłam.

Ale jej to nic nie powiedziało. Przerwa się skończyła. Razem z nauczycielem wszedł do klasy Irek ani trochę stłamszony, ani podniesiony na duchu. Zainkasował litanie pochwał w obecności ojca, zgarnął jego milczący podziw i wszystko uznał za najzupełniej naturalne. Z całą pewnością wyrasta na jednego z tych zadufków, którzy traktują wszystkie drogi naszej Rzeczypospolitej. Nadal jej nie ma. Dlaczego? - wyczytałam z podsunętej kartki. Nie obejrzałam się. Wczoraj wręczyłam jej czek na okaziciela. Nawet nie spojrzała na sumę. Zmusiłam ją do przyjęcia. Zakonnice nie żyją samym słowem bożym, przekonywałam, będziesz miała lepsze wejście. Słuchała, jakbym nie o niej mówiła. Powiedziałam, że jestem gotowa pójść z tym czekiem do jej domu i wyjaśnić wszystko. Wezmę to całe gównno na siebie, mówiłam, a ona na to, że rzuci się z mostu. To się rzuć, do jasnej cholery, powiedziałam, i na tym skończyła się rozmowa.

Rano przed lekcjami wstąpiłam do niej. Matka Jany nie wpuściła mnie za próg. Usłyszałam, że Janeczka wyjechała do ciotki Klary. Stała w drzwiach i przekonywała mnie, że dobry wygląd wcale nie oznacza zdrowia. Janeczka go nie ma. Janeczka ma anemię. Cofnęła się do pokoju, przyniosła wynik badania krwi i podsunęła mi pod oczy. Rozprawiała z wielkim ożywieniem o braku hemoglobiny, wyliczała czerwone krwinki każdą po kolei, po czym znowu weszła w koleinę o złudnym wyglądzie. Słuchałam, cały czas stojąc w progu. Nie przeprosiła mnie za to, co było do niej niepodobne. W tym domu przestrzegano się zasad wychowania. Nie była też mrukiem, ale nigdy też nie zdarzyło się jej mówić ciurkiem. Zrozumiałam, że ona wie. Nie zapytałam już o nic. Ukłoniłam się i odeszłam.

Tak więc w rzeczy samej wdepnęłam w tę historię jeszcze głębiej. Zapiisałam okładkę zeszytu hieroglifami, odpowiedziałam na kilka pytań geografa, nawet nie zdziwiona, że rozumiałam, o co chodzi. Poza tym ignorowałam przez całą lekcję odzywki Irka za plecami i cztery jego kartki. Wybiegł z klasy równocześnie ze mną. Zastawił przejście.

- Nie jest moją dziewczyną - podjął od środka, rozumiejąc, że nie ma zbyt wiele czasu.
- Już to wyjaśniłeś!
- Dobrze, nie bawmy się w pusty dialog - rzekł.

Zawahał się. Odciągnął mnie w kąt i zastawił sobą.

- Szedłem za nią któregoś dnia. Nie zauważyła mnie. Był silny wiatr, a ona miała płaszczyk rozpięty... Rozumiesz, o czym mówię?

- Nie. Żachnął się.

- Nie poluję na sensację. Stoję jak ty z boku. Ale neutralność ma swoje granice. Coś się z nią dzieje, wiemy to oboje. I na dodatek wiemy co.

Nie zareagowałam. On odczekał, aż kąt opróżni się z rozkrzyczanych kolegów.

- Trzeba jej pomóc, Zuza.

- Ma rodziców.

- Mój ojciec ich zna. Tam nie mówi się prawdy.

- A gdzie się mówi? Zresztą i tak z każdego miejsca wygląda ona inaczej.

- Nie graj cynicznej. W jej domu teoria uczciwości zastępuje samą uczciwość.

- Nie są odosobnieni - odrzekłam sucho.

- W każdym domu uprawia się retorykę, która tak przepięknie przystraja niepiękną uczynki.

Zamilkł.

- Nie potrafię z tobą rozmawiać - rzekł cicho.

- Mam uczucie, jakby coś wymykało mi się z rąk.

- Niczego w nich nie masz. Masz tylko kilka domniemywań, które pochopnie uznałeś za prawdę.

- To są fakty, dobrze wiesz! - przerwał ostro.

- Ale dokonane - odrzekłam.

- Tylko władza potrafi zmieniać fakty dokonane. Albo Pan Bóg. Jedno i drugie jest nam obojgu raczej obojętne.

- Pożycz mi, proszę, ten twój niebieski pulower - zawołała Danuta.

Przekroczyłam walizki i zawróciłam do swego pokoju. Rudego diabła na balkonie nie było, a powinien. To przecież czas jego spacerów, pora balansowania na krawędzi trzypiętrowej przepaści, pracowitego wygrzebywania dołków w skrzynce i zajmowania właściwej pozycji nad tymże dołkiem. Czekałam przy oknie ze swetrem na ramieniu, lecz nie ukazała się nawet odcięta dłoń. Przecież nie mógł stamtąd uciec, miał odcięty odwrót, ugrzązł na zawsze między tymi dwiema starymi babami, dla których był jedyną rozrywką, jedynym przejawem życia w zamkniętej przestrzeni, jedynym obiektem, który mogły bezkarnie zagłaskać na śmierć.

Usiadłam, skubałam sweter leżący na kolanach, podczas gdy rudy cień przemykał bezszelestnie w miękkiej zieleni, aż nagle przystanął. Bursztynowe ślepiec wpatrywały się w



znieruchomiało na leżaku dziecko. Bało się poruszyć. Wreszcie wyciągnęło rękę. Nie uciekł. Nie spłoszył się, wygiął w łuk swój rudy grzbiet, wykonał kilka płaśów ogonem ustawionym jak pióropusz, po czym oddalił się niespiesznie, już nie oglądając się na leżak, nie dałby się spętać nikomu, on nie, żadne baby na świecie nie utrzymałyby go na najwyższym nawet balkonie, nawet na zawieszonym pod chmurami.

Był wielki, był silny, nie jak ten mały pokurcz z przeciwka, który nie miał gdzie ćwiczyć swoich mięśni, swoich ścięgien, swojej szybkości i inteligencji. Który musiał łąsić się do starych bab, aby zechciały przed nim otworzyć okno. I które na pewno zanoszą go któregoś dnia do kastracji, aby utracił resztki dumy. Jest piękny, powiedziała wtedy Danuta, podchodząc. Jest jak kot, poprawiła z progu wiejska gospodyni. Nie jest uwiązany, pomyślało dziecko, jeszcze wtedy nie rozumiejąc wszystkiego.

- Żyjesz tam jeszcze?! - zawołała Danuta z korytarza.

- Już idę! - odkrzyknęłam.

- Jeszcze nie wyjechałam, a już zaczynam tęsknić - powiedziała do mnie.

Stała przy oknie i spoglądała w dół, na ulicę. Gdy odwróciła się, w twarzy miała przestrach.

- Odetnij się! - poradziłam sucho.

- Pozatraskuj drzwi za sobą. Niezależność to nie abstrakcja.

Spojrzała zaskoczona. A także niechętna.

- Tego... stylu u ciebie nie lubię - stwierdziła równie oschle.

- No widzisz - powiedziałam wesoło.

- Już zrobiłaś ten pierwszy krok ku wolności. Odcięłaś się od mego stylu. Odetnij się i od reszty.

Chwilę patrzyła na mnie, wreszcie roześmiała się, jakby mimo woli, potem już szczerze.

- Masz mnie za kurę domową - powiedziała.

- W żadnym razie - odrzekłam.

- Po prostu mylisz niekiedy przywiązanie z...

- urwałam.

- Z niewolą?

- Ze zniewoleniem - poprawiłam.

Zapadło milczenie. Patrzyła na mnie lekko urażona i trochę chłodniejsza. Walizki stojące w progu już jej nie przypominały o czekającym ją rozstaniu. Schowała się bezpiecznie w swój przejściowy gniew na mnie. Zapewne zapomniała też o smutku. Ale nie zapomniała, z kim mnie zostawia, poznałam to po oczach, lekko zmaconych.

- Wzięłam dwa swetry plus twój - odezwała się.

- Zajęły całą walizkę. Pewnie zwariowałam.

- Chcesz tam pracować?

Nie chciała. Rozmawialiśmy w ten sposób dobre pół godziny. Z oczu jej nie znikł namysł, a ja wiedziałam, czego dotyczy. Była zniewolona bardziej, niż by tego sobie sama życzyła. Siedziałyśmy na krzesłach, pod oknem. W dole było widać Piotra, krzątającego się przy polonezie. Sprawdzał szczegóły, na których się znał. I pewnie te, o których nie miał pojęcia. Z natury bowiem był bardzo zapobiegliwy.

- Mam nadzieję, że wie, co robi - odezwałam się.

- Co? - spytała z roztargnieniem.

- Że kocha te swoje muterki i śrubki z pełną wzajemnością. A także całą resztę bajerów wmontowanych bez jego wiedzy, lecz ku jego próżności. Że nie podpadają nam z zemsty po drodze.

Roześmiała się, nadal nieco roztargniona. Patrzyła pilnie w dół. Z tego miejsca jej idol wydawał się być nie tak wysoki. Ale nawet ta niesprzyjająca perspektywa nie odebrała jego ruchom lekkości, tak zapewne oceniała, spoglądając na niego, krzątającego się wokół samochodu. Znałam ją dobrze. Umiałam czytać z jej oczu, na dnie których oprócz smutku rozstania przycupnął też nigdy nie przemijający lęk. Miała bardzo piękne teorie o dumie kobiecej i jeszcze piękniejsze o zaufaniu, lecz gdy tylko jej intuicja odbierała wąty sygnał, ogarniał ją niepokój. Była to zwykła rutynowa reakcja wypływająca z doświadczenia. Miała je, i to w nadmiarze. Zdobyła tę wiedzę nie tylko w czterech ścianach, lecz również tam, gdzie żaden mur nie ochronił jej przed śmiesznością.

Tamten drań unicestwiał ją powoli, metodycznie, z pełną świadomością i nietajonym oczekiwaniem, że osiągnie cel. Ona zaś nie potrafiła odejść. Dokąd zresztą miała pójść obciążona córką, co z tego, że ładną, co z tego, że milczącą, skoro była miniaturą swego ojca. Mieć co dnia przed oczyma kopię twarzy, której nie chce się pamiętać, to więcej niż piekło. Gdy byłam głupsza, spytałam, nienawidzisz mnie, mamo? Gdy tak co dnia musisz na mnie patrzeć? Przestraszyła się, przestraszyła tak bardzo, że zrozumiałam, iż trafiłam. Nie mogę cię nienawidzić, odrzekła bez tchu. Ale chciałabyś, dociekałam. Nie, krzyknęła szeptem, nigdy! Być może, nie kłamała wtedy, lecz co z tego. Ani intuicja, ani doświadczenie, czy nawet inteligencja najbardziej błyskotliwa, którą lęk, nie wiadomo przed czym, powoli zabijał, nie czyniła jej w moich oczach doskonałej. Nie nauczyła się bowiem najważniejszego, jak pozostać niezależną tam głęboko, w sobie. Niezależną raz na zawsze od wszelkich Piotrów, od osób ograniczających ją choćby tylko za pomocą jej własnego ciała.

- Gdyby nie złe połączenie, pojechałabym pociągiem - podjęła po raz trzeci.

- Nie pozbawiaj Piotra przyjemności - odrzekłam również po raz trzeci.

- To strasznie męczące obrócić tam i z powrotem w ten sam dzień.

- Ale i też jedyna okazja pokazać się nowym wozem - zażartowałam.

Uśmiechnęła się z roztargnieniem.

- Nie musisz z nami jechać, Zuza...

- Z wami, nie. Lecz z powrotem jechałby sam. Pojedynczo. To niebezpiecznie.

- Nawet bardzo - przyznała, myślami gdzie indziej.

- Niemniej zmęczysz się...

- Chcesz się mnie pozbyć? - spytałam wesoło.

Zaprzeciżyła żarliwie. No, zbyt żarliwie.

- Jak myślisz - odezwała się po chwili

- będzie się nudził przez te trzy tygodnie?

- Zajmę się nim, mamó - przyrzekłam.

- Od rana do wieczora z całym oddaniem.

Oczy jej powiększyły się trochę. W moich znalazła samą niewinną wesołość. Roześmiała się nieco rozluźniona. Ale tylko nieco, biedna zastraszona przez samą siebie istota. Poklepałam ją po ręce.

- Nikt, ale to nikt, nawet Piotr, nie jest wart sekundy twego niepokoju - wygłosiłam.

- Powtarzaj to sobie co wieczór zamiast modlitwy. To pomaga. To jest jak plaster gorczycy na obolałe miejsce.

Popatrzyła na mnie. Uśmiechnęłam się do niej. Odwzajemniła niepewnie.

- Skąd znasz tę receptę? - spytała.

- Z wyobraźni. Ale kiedyś przyjdzie mi sprawdzić ją na sobie.

- Wtedy poznasz różnicę.

- A także to, że jestem odporna. Uodporniona do najgłębszej tkanki.

Zaskoczyłam ją tak bardzo, że zapomniała o niepokoju.

- Jezus Maria, Zuza! Ty masz dopiero szesnaście!

- Jezus Maria, mamó. To najwyższy czas.

Popatrzyłyśmy na siebie. Parsknęłam śmiechem. Zawtórowała. Ale znałam ją dobrze i wyciągnęłam z tego śmiechu właściwe wnioski. Kelnerki, wciśnięte w strój ludowy, przywitwały nas dygnięciem. Od ściany odkleił się właściciel zajazdu, w szalenie eleganckim ubraniu, które było jak nie na niego. Szedł ku nam zapraszając serdecznie, a jego głos i tekst zdradzały w każdym pacierzu, że jest to dla niego zupełnie nowa, nie opanowana rola. Wszystko tu było

nowe, wszystko niedopracowane, widać zbyt szybko maszerował w stronę tak zwanej Europy. Powiedziałam to półgłosem. Piotr uśmiechnął się.

- Marsz do Europy to nie to, co myślisz - rzekł.

- Myślę poprawnie. Byliśmy w tej Europie już przed tysiącem lat.

- Chodzi o pieniądze.

- Tato, nie bierz mnie za ćwierćinteligenta. Ja nie z tych, co wierzą, że jak zmienią sedes w łazience, to zwiększyli swój format - urwałam, dodałam dwornie:

- Wybacz, to nie zamierzona trywialność.

Roześmiał się. Ta jego wesołość była nam potrzebna. Mrugnęłam do Danuty, ale nadal była jak śnięta. Usiedliśmy pod ścianą, Piotr już rozluźniony, ona wciąż skurczona w sobie. Całą drogę celebrowali swoje rozstanie bez jednego słowa czy gestu. To wielka sztuka żegnać się w milczeniu, przyznając. Opanowali ją do perfekcji, głównie z konieczności, zawsze bowiem, cokolwiek przeżywali, siedziało przy nich dziecko, co z tego że milczące, skoro tylko w połowie własne. Siedzieli teraz przede mną, solidarnie po swojej stronie, a ja siedziałam po przeciwnej, całkiem osobno, i to nie tylko dosłownie.

- Wracając do Europy - odezwałam się - nie mogę strawić tego małpowania. Kto nam wypłukał mózgi, tato?

- Sami to zrobiliśmy - odrzekł nieuważnie, patrząc na Danutę.

- Nikt nas nie musiał zachęcać.

Przyjrzałam się im obojgu. Jeszcze chwila a uruchomią swój szyfr. Westchnęłam.

- W samochodzie udawałam, że śpię - powiedziałam żartobliwie.

- Tutaj będzie to raczej trudne. Piotr uśmiechnął się. Danuta popatrzyła na mnie z roztargnieniem.

- Nie było takiej potrzeby, Zuza - odrzekła, nadal niezupełnie tu.

- Mama po raz pierwszy wyjeżdża bez nas - wtrącił Piotr tonem wyjaśnienia.

- Ty też po raz pierwszy zostajesz sam - przypomniałam.

- Chociaż niezupełnie - sprostowałam.

- Ty zostajesz ze mną, a ja z tobą. We dwoje będzie nam różnie.

Nagle za naszymi plecami buchnął wrzask. Obejrzałam się. Niemieccy turyści wszczęli spór o ceny, stukali palcami w cennik, a rozrośnięta Wielkopolanka stała nad nimi w rozkroku, podzwaniając koralami. Miała taki wyraz twarzy, jakby stukała się w czoło.

- Podoba mi się ta pani - rzekłam.

Danuta nawet się nie obejrzała. Krzyk narastał, nie dało się go zignorować.

- Wyjdźmy stąd - zaproponowała Danuta nerwowo.

- Wolę klótnie od ich zbiorowego śpiewu - powiedziałam.
  - Nie jesteś głodna, kochanie? - spytał Piotr, już się podnosząc.
  - Ja jestem głodna - powiedziałam.
- Wobec tego opadł na krzesło. Spojrzał na Danutę.
- Skoro Zuza jest głodna... - rzekła niechętnie.
  - To śliczny obrazek - rzekłam.
  - Szkopy szastające się jak u siebie... Ciekawi mnie, co dalej.
  - Jak sobie życzysz - powiedziała chłodno.

Życzyłam sobie nie tylko tego. Chłodna ciekawość, zawsze gdzieś stercząca obok, znowu podeszła do mnie i zaproponowała grę w sprawdzanie. Patrzyłam na nich oboje, wciąż solidarnie razem, wciąż tylko po swojej stronie, chociaż tamten obrazek za plecami stawał się coraz głośniejszy, a ja coraz mocniej zainteresowana.

Zastanawiałam się, jak wtargnąć w tę ich rozmowę. Z narastającym krzykiem Niemców za plecami, z dreptaniem kelnerek z boku, z mową obrończą właściciela na wprost, próbowałam ożywić rozmowę, która rozmową nie była. Trzęsienie ziemi nie wyrwałoby Danuty z jej nieobecności. Była żywym dowodem, że sprawy osobiste zawsze idą przed innymi i że właśnie w tym należy się doszukiwać klęski naszych przyuczających się polityków. Powiedziałam to głośno. Piotr natychmiast zaskoczył, był jeszcze nieco automatycznie czynny, ale już na obie strony. Gdyby rozpisać to na scenę w teatrze, dialog brzmiałby tak:

- Ja: Są okropnie wrzaskliwi. Nie lubię ich.
- Piotr: Jesteś za młoda, aby mieć uprzedzenie.
- Danuta: Może jednak stąd pójdziemy?

- Ja: U mnie w klasie funkcjonuje taka postawa: mnie oni nic nie zrobili. O, popatrzcie! Właściciel leci do nich cały ugrzeczniony. Jemu pewnie też jeszcze nic nie zrobili, ale zrobią, może wtedy zmieni zdanie, no, mam, obejrzyj się, to pouczający obrazek!

- Danuta (nie oglądając się): Mam dość. Idźmy stąd.
- Piotr (tylko do mnie): Nie to miałem na myśli. Wciąż pamiętam, ile zrobili komuś innemu.

- Ja: Jesteś wyjątkiem, tato. Lecz akurat nie o tym myślałam. Każde ogłupione społeczeństwo jest w stanie zrobić coś złego swoim czy obcym. Przeszliśmy przez to i wciąż przechodzimy, choć w dużo skromniejszym rozmiarze. Ale na Boga, dlaczego kajamy się przed tak zwaną Europą? Nie powinno jej nic obchodzić, jak nie obchodziło, gdy sprzedawała nas Stalinowi. Niemcy natomiast żyją w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Wymietli Europę z odpadów. Dałabym głowę, że cały świat ma im to za plus. Że Ameryka zrobiłaby to

samo ze swoimi Murzynami. A niektórzy nasi ze swymi ideologicznymi wrogami.

Dostrzegłam, że zaskoczył ostatecznie. Rozmowa trojga siedzących skończyła się. Za chwilę dosiadzie swego konika, swej niechęci do fanatyzmu, przedarłam się nareszcie do niego przez to milczące nabożeństwo z okazji rozstania. Nadal podawał śmietankę, cukier, ciastko, lecz była to już tylko automatyczna uwaga, odruchowe gesty wpojone wychowaniem i uprzejmości stosowane latami. Danuta dostrzegła zmianę. Oczy jej przestały być nieobecne. W okamgnieniu oddzieliła tekst rozmowy od intencji, była bardzo inteligentna ta moja piękna matka, to po niej odziedziczyłam chęć przedrażenia każdej sprawy na wylot, z tym tylko, że sama nie pozwoliłabym nigdy przedrażać siebie. Dobrze teraz wiedziała, że nie o Europę chodzi tak żywo przeze mnie obmawianą. Nie o fanatyzm, tę ukrywaną skrzętnie alergię Piotra. Lecz chodzi o to, co tkwi pomiędzy tym, zafalszowane do samego dna, o brak godności obojętnie w czym, o co siebie od dawna skrycie oskarżała, nie bezpodstawnie, niestety nie. Wiedziała także, że nie tylko o tę cholerną godność wadzimy się we dwoje z Piotrem bez jej udziału. Że także chodziło o wyłączność, tak jej do życia potrzebną. Nie знаła mnie dobrze ta moja kochana Danuta, teraz cierpiąca. Chciała być wspaniałomyślna i od początku, całymi latami, starała się wciągnąć mnie do swego zakłętego kółka, w którym tkwili oboje, lecz zawsze w połowie drogi zamierała. Wiedziała dlaczego. Lecz nie zdawała sobie sprawy, że ja także wiem. Wymierzała mnie sobą, sądziła, że zgasnę przebywając poza kręgiem lampy.

Nie wiedziała, że mam własne światło. W tym właśnie tkwiła moja przewaga nie tylko nad nią. Nigdy jej nie utracę. Patrzyłam na nią kątem oka. Mój głos był ożywiony, opinie bezkompromisowe, a mózg chłodny jak nigdy. Ona zaś spoglądała na Piotra. Widziałam, jak usiłuje wyjść ze stanu zawieszenia, w którym wciąż trwała. Jak czuje się pominięta i jak stara się odrzucić to pomijanie. Kiedyś nauczyła się gry w szachy, chociaż strasznie ją nudziły. A wymusiła to na sobie, ponieważ ja grywałam z Piotrem bardzo często, biedna, bardzo biedna Danuto, nigdy nie zrozumiesz, moja mądra matko, że biorąc Piotra w całkowite posiadanie, weszłaś w pułapkę.

- Nigdy nie mówiłaś tak emocjonalnie - zauważył Piotr.

- Temat jest emocjonalny, tato - odrzekłam.

- Poproszę o cukier - odezwała się Danuta oschle.

- Trochę cię jednak wzięło, prawda, Zuza? - odrzekł Piotr.

Podał cukier, nie patrząc.

- Ufam, że kajanie się przed światem jest tylko polityką. Chcemy coś zyskać.

- Brak dumy zawsze nazywał się polityką albo grą o przetrwanie, prawda, mammo?

Często mówiłaś, że duma narodowa bierze się z dumy osobistej.

- Owszem - potwierdziła sucho, sięgając po sól.

Piotr podał jej szybko.

- Przepraszam cię, Dana - powiedział ze skruchą.

- Nie zauważyłem. Ale temat...

- Zdarza się - ucięła.

- Myślałam, że zabawię cię tą rozmową - rzekłam przepaszająco.

Popatrzyła na mnie niechętnie. Stała już obiema stopami na ziemi.

- Nie lubię polityki - rzekła.

- Mówiliśmy tylko o postawie, mamó - przypomniałam.

Rumor za plecami nasilił się. Niemcy zabierali się do odejścia bez zapłacenia rachunku.

Nagle cały ten wrzask przebił czyjś ochrypnięty bas.

- Płacić, dumkopy, ale już!

Obróciliśmy się we troje równocześnie. Z zaplecza wypadł wielki brzuchaty mężczyzna w wysokiej czapce kucharza. Przepchnął się przez salę, nie dbając, że ściga za sobą serwety. Przed sobą trzymał dymiącą patelnię, wysuniętą do ataku jak bagnet. W kącie ucichło, jak uciął.

- Płacić, bo chlusnę!

Gest nie wymagał przekładu na obcy język. Runęli do drzwi, porzucając torby i kapelusze z piórkiem. On zaś sunął za nimi, wciąż z dymiącym bagnetem przed sobą. Zaterkotały dwa trabanty, zaszemrał diesel, samochody krążyły teraz wolno po małym parkingu, przez otwarte okno ktoś z głębi wozu wzywał pomocy.

- Torebki, Aloś! - zażądał szef kuchni, nie ruszając się z progu.

Odstawił patelnię, wypatroszył jedną torebkę, odliczył w powietrzu kilka banknotów, pomachał nimi jeżdżącym w kółko Niemcom, po czym zamachnął się. Torebka wpadła pod koła trabanta. Za chwilę wyfrunęły z drzwi dalsze przedmioty. Najdłużej szybowały kapelusze z piórkiem.

- No proszę - powiedziałam - jeszcze nam trzecią wojnę wypowiedzą! - popatrzyłam za Piotrem.

Właśnie docierał do kelnera, aby zapłacić. Danuta też patrzyła, w oczach miała to, co nazywałam ocenianiem sytuacji i walorów postaci. Powiedziałam to głośno.

- Właściwie - dodałam na koniec - każdy dramat może mieć humorystyczny finał.

- Nie każdy - odrzekła z roztargnieniem, wciąż patrząc w stronę bufetu.

- To głównie kwestia stylu, mamó. Nie zaangażowania. Akurat wstawała. Miałyśmy oczy na tej samej wysokości, w jej dostrzegłam czujność. Moje były beztroskie, zadbałam o to.

- Pozornie - odrzekła chłodno.

Ruszyła do drzwi pozornie spokojnie, sama będąc już tylko pozorem młodości, sprężystości, dobrego samopoczucia, którego chyba nigdy w pełni nie doznawała, bo czyż zawieszony na nitce wie, co to stabilność?

- Myślę, że z zazdrości można się wyleczyć - odezwałam się do jej pleców.

- Z niepokoju nigdy.

- Słucham? - przystanęła raptownie.

- To cytat - skłamałam.

- To popraw go. Z zazdrości nie wychodzi się nigdy. Niepokój bywa do pokonania. Bywa, Zuzo, tylko tyle.

Odwróciła się i zbiegła ze schodów. Zaimponowała mi trochę, ale tylko na chwilę. Jej niepokój bowiem miał rozmiary kosmiczne i mógł się tylko razem z kosmosem skończyć. Ruszyliśmy. Była jedenasta przed południem, słońce przedarło się przez szarość i podświetliło las, tracący powoli liście. Pobocza drogi obsiedli tu i ówdzie grzybiarze, przycupnięci za wielkimi kosztami. Zza zakrętu wyłoniła się karawana Niemców, parkująca w przesiece. Powiększyli się o dwa trabanty, przeliczyłam ich w przelocie. Obradowali, gwałtownie gestykulując.

- Odwet? - odezwałam się.

- Za mało ich - odrzekł Piotr.

- Tylko w dużych gromadach są mocni.

Powiedział to obojętnie, jakby z samej uprzejmości dla mnie. Zamilkłam. Dostrzegłam, że przeniósł rękę z kierownicy za plecy Danuty. Było to raczej lekkomyślne, jako że jechaliśmy drogą wąską, pełną wybojów i ostrych wiraży. Nie dosłyszałam, co jej powiedział. Było to jednak długie zdanie i chyba magiczne, bo roześmiała się cicho, nagle szczęśliwa. Z przeciwka walił na nas z łoskotem wielki tir, a Piotr wciąż trwał w pozie spiskowca. Włożyłam w swój głos wiele pretensji.

- No nie wiem - rzekłam rozwlekle - czy wasz spisek osłodzi moją śmierć. Nie mógłbyś wyznawać z obiema rękoma na kierownicy?

Roześmiali się oboje. Huśtawka się nagle skończyła, przynajmniej dla niej. Od dawna widziałam, że mają swój, nieczytelny dla innych kod. Ale nie dostrzegłam, kiedy nauczyli się czuć nawzajem nad sobą, i to tak błyskawicznie. Chryste, nie było im przez te lata lekko, na pewno nie. Furtka, przez którą wtedy przeszli, oboje obciążeni, wcale nie wiodła do rajów. Nie byli naiwni, musieli to wiedzieć, mieli wyostrzoną świadomość, że wszystkie lekcje pobrane poprzednio odłożyły się w nich i tylko czekają na okazję, aby o sobie przypomnieć. Lecz dlaczego, u Boga Ojca, pragnęli się stopić w jedno, skoro to niewykonalne.



Zsunęłam się wygodniej na siedzeniu. Strumyczek zaszemrał we mnie cichutko, jeszcze gdzieś w głębi, jeszcze błędzący po peryferiach rzeczywistości, lecz każdej chwili mógł przybrać na sile i ponieść mnie zbyt daleko. Na Boga, Zuzanno, traktuj życie tylko jak książkę. Jak dobrze rozwijający się dramat. Idź za problemem, akt po akcie, słowo po słowie, niech cię boczne zaułki nie wabiają, jakiegokolwiek dygresje są zawsze obciążeniem, są jak dróżka do autentycznej obsesji, a może już na niej jesteś jak twoja matka, już kroczysz po niej na razie niefrasobliwie, lecz wcale niewykluczone, że pewnego dnia te wewnętrzne strumyki rozbiegną się szeroko, rozrywając cię na strzępy... co niech się stanie, amen. Krajobraz za oknem zmienił się. Las się skończył, zaczęły się rozległe łąki, podbiegały drogowskazy z napisem Mielno, jeszcze chwila, a wyłonią się stada podstarzałych pensjonariuszy, wlokące się poboczem.

- Był taki film „Po sezonie” - odezwałam się.

- Smutny nadmorski krajobraz, pełen nieuprzątniętych śmieci, a na tym tle dwoje starszych ludzi przeżywających uczucie też grubo po sezonie.

- Opowiesz to innym razem - przerwała Danuta.

- Opowiem tacie w powrotnej drodze - odrzekłam.

- A teraz wysadźcie mnie przy deptaku. Posiedzę na wydmiu przy Klubie Prasy. Tam się spotkamy, dobrze?

Nie oponowali. Pomachałam im ręką i ruszyłam w stronę wydm. Były łysawe i omal doszczętnie stratowane. Stałam na najwyższym miejscu, oparłam się o balustradę i zapatrzyłam w dół w mętną wodę o nieokreślonej barwie. Bałwany nie podnosiły jeszcze głów, jeszcze powierzchnia była gładka, ale hen tam w głębi już zaczynało się coś dziać, coś podnosić, jak niekiedy we mnie. Wyczuwałam zawsze taki moment, jak zbliżający się ból. I zawsze czekałam niecierpliwie, tak, tej jednej rzeczy nie umiałam sobie narzucić - czekania z chłodem w mózgu na pierwsze pluśnięcie, na cichy poszum, który zacznie narastać przemieniając się w łoskot, w pianę zbielełą, kryjącą pod sobą cały ten brud, cały ten śmietnik zatopiony we mnie, w innych...

Kiedyś się to wszystko obnaży do najgłębszego dna i ujrzę prawdę taką, jaka jest w każdym, a nade wszystko w tamtych dwojgu, chwilę tę czuję już dzisiaj w sobie, jak wielki ból...

Patrzyłam w dół, stojąc nieruchomo. Oddech mój był równy, spokojny, a powinien przecież być jak po przyspieszonym biegu. Olbrzymia balia burej wody kołysała się spokojnie, nadal spokojnie, wszystko było jeszcze harmonijne, przytłumione, lecz ja wiedziałam dobrze, że ten największy krzyk kiedyś się rozlegnie, jeśli nie we mnie, to w nim, w monolitycznym Piotrze bez najmniejszej skazy.

- Kiedyś napiszę książkę - odezwałam się.
- Już nie chcesz być lekarką? - zdziwił się.
- Jedno nie wyklucza drugiego, tato - odrzekłam.

Było ciemno. Lało bez wytchnienia, wycieraczki pracowały z niemiłym odgłosem poślizgu po szkłe, drogi prawie nie było widać. Piotr wpatrywał się ze skupieniem w wąski tunel światła, wycięty z ciemności przez reflektory. Byliśmy najzupełniej sami o tej ciemnej późnolistopadowej godzinie. Czasem połyskiwały z dala wątle światła odosobnionych gospodarstw, wzdłuż drogi ciągnął się las, ciemny jak dżungla.

- Zaczaił się na nas - odezwałam się.
  - Kto? - spytał z roztargnieniem.
  - Las.
  - Wydawało mi się, że nie znasz lęku.
  - Dobrze ci się wydawało - odrzekłam.
  - Ćwiczę się w dramatyczniejszych sposobach wyrazu, skoro mam kiedyś napisać książkę.
  - Zauważyłem - odrzekł.
  - I masz za złe - stwierdziłam.
  - Mama jest wyczerpana. Wtedy odbiera się wiele słów jak aluzje - powiedział spokojnie.
  - Też tak odbierałeś?
  - Ja nie jestem wyczerpany.
  - Przepraszam. Nie było to zamierzone.
- Nie odpowiedział. Jechaliśmy w milczeniu.
- Mam posypać łeb popiołem? - odezwałam się tonem pokutnicy.
  - Szczerze pytasz?
  - Nie robię niczego dla samej formy, tato.
  - Właśnie.
  - Twoim zdaniem, zmieniłam się na gorsze.
  - Po prostu dorastasz. Gdy zakończysz ten normalny proces rozwojowy, postawimy diagnozę, co z tego wyszło.
  - Taki proces nigdy się nie kończy, tato. Chyba nie uważasz się za człowieka całkowicie ukończonego. To by oznaczało, wybacz, że się cofasz.
  - Miałem na myśli dojrzałość emocjonalną.
  - Nie ma takiej - upierałam się.

- Nikt nigdy nie wie na pewno, jak zareaguje na pewne bodźce. Może tylko domniemywać.

- Mówimy o dwu różnych rzeczach. Ty o chwiejności wyboru. Ja o sile wypadkowej, tej z głębi nas. To, co robimy, jest odpowiedzią nie tylko na to, co przyszło z zewnątrz. W przeważającej części wypływa z tego, co mamy w sobie.

- No dobrze - rzekłam.

- A znasz tę swoją głębię, której w razie czego posłuchasz?

- Nie, za daleko tkwi - odrzekł.

Pomyślał chwilę i roześmiał się.

- Podejrzewam, że to pytanie to także jeden z twoich testów.

- Jesteś bystrzejszy, niż myślałam - pochwaliłam go.

Nie podjął tematu. Nie złapał żartobliwej nitki, którą mu rzuciłam. Po prostu zamilkł. Jakby zapadł w siebie. Coś tam poruszyłam, niewątpliwie. Siedział więc milcząco, wpatrzony w jasny tunel światła i odsiewał ziarno od plew. Lecz moich intencji i tak nie odgadnie. Nie przerywałam ciszy. Spoglądałam na profil Piotra, ładny profil delikatnego mężczyzny, głęboko zamyszonego. Był przenikliwy jak mało kto. Miał także analityczny mózg, a jednak wierzył w różne bajdurzenia psychologiczne. Reakcje są wypadkową tego czegoś w głębi, zgoda, wprawdzie tylko częściowa. Wyrazem siły moralnej czy destruktywnej, albo zwyczajnie wpojonych zasad - także częściowa zgoda. Lecz co do reszty się mylił, Chryste, jak bardzo się mylił!

Te wszystkie pochowane w nas głębie to tylko stan tymczasowy, ot, takie chwilowe zawieszenie między tym, co o sobie myślimy, a tym, czym właściwie jesteśmy. Miał ze trzy kobiety, bo więcej nie zdążył. I miał je wszystkie za późno, bo po dwudziestce. Wszystkie brały go po kolei na wyłączną własność, a on zgadzał się, uznając to za miłość. Biedny Piotr, ciekawe co zrobiłby teraz, po czterdziestce, gdyby nagle jakieś białoróżowe stworzenie złożyło mu siebie nieświadomie w prezencie. Czy powtórzyłyby sobie w myślach różne dyrdymałki, że nieświadomość powinna chronić niewinność, czy też bez zastanowienia przyjąłby taki prezent. Co by też zrobił, gdyby się role odwróciły i gdyby on, do tej pory wybierany przez kogoś, wybrał sam po raz pierwszy niczego w zamian nie dając. Spytałby najpierw o radę tej swojej ludzkiej głębi? Nazwałby to szaleństwem chwili, jako że szaleństwo nie wiąże się z odpowiedzialnością. Albo nazwałby to obłudnie wolnym wyborem. Nie byłby to wolny wybór, Piotrze, w żadnym razie. Dotąd decydowały za ciebie kobiety, władcze albo pokorne, co na jedno wychodzi, ponieważ jest omal w równym stopniu wiążące. Teraz zadecydowałby za ciebie twój instynkt, reakcja byłaby automatyczna i nie do zahamowania. Najprawdopodobniej

nazwałbyś ją, jak inni, chwilowym obłędem. Lecz z całą pewnością nie byłoby w tym nic z piękna, które unosi. Podobno istnieją takie uczucia. A może istnieją na pewno. I po nich, gdy umrą, bo muszą umrzeć, nie zostaje już nic?

Przymknęłam oczy. To, co Irek nazywał oczekiwaniem gorszym od bólu, a co poznałam przed laty ponad granice swoich możliwości, pojawiło się nagle i ostrzej niż dotąd, ponieważ dobrze wiedziałam, że jest daremne. Może to aberracja emocjonalna, albo na pewno to aberracja, lecz kto dał ludziom prawo przywłaszczania sobie wyższych uczuć, tylko sobie, żadnemu innemu żywemu stworzeniu? Nadal spoglądałam na Piotra spod oka. Był to niewątpliwie bardzo piękny mężczyzna. Jedyne na świecie, który rzekł wtedy do milczącego dziecka, nie rozpaczaj, przynajmniej przestał cierpieć. A skąd wiesz, odpowiedziało dziecko, że wolałby nie przestać?

Wóz podskakiwał na nierównościach, wiatr chlustał strugami deszczu, reflektory ukazywały asfalt dziurawiony kroplami, miałam wrażenie, że płyniemy środkiem wielkiej rzeki. Było to uczucie miłe i uśmierzające. Nagle dostrzegłam, że skrzywił się, jakby coś nim szarpnęło. Zwolnił. Zjechał na pobocze, spuścił szybę do końca, oparł głowę na kierownicy, po czym ostrożnie, jakby miał bombę atomową na karku, wyjął tabletki i zażył bez popijania. Sięgnęłam za siebie po termos. Podałam mu kubeczek. Wypił bez słowa.

- Serce? - spytałam.

Skinął głową.

- Od kiedy?

- Od niedawna.

Otworzył szeroko drzwi, wystawił nogi na zewnątrz, oczy miał przymknięte, wciągał powietrze powoli, z ogromną ostrożnością.

- Klatka za ciasna? - spytałam.

Skinął głową. Deszcze lał, spodnie były już czarne od wody, przez otwarte drzwi wlewały się cieniutkie potoki, las zaczął podchodzić coraz bliżej. Nie spodobało mi się to.

- Zamieńmy się - zaproponowałam.

- Odpoczniesz w drodze.

- Nigdy nie prowadziłaś w nocy.

- To będę - odrzekłam.

W świetle nadjeżdżającego samochodu dostrzegłam bladość Piotra. Nie powiedziałam słowa więcej. Pchnęłam go lekko.

- Możesz wyjść?

- Jasne - odrzekł.

- Zaczekaj chwilę.

Przeniosłam się na fotel kierowcy nie wysiadając. Silnik pracował cicho. Sylwetka Piotra wtopiła się w ciemność. Jeżeli runie tam na mech, nie usłyszę upadku. Dziwne byłoby nasze życie bez Piotra, katastroficzna wizja świata, tkwiąca w Danucie, przywalona maskującymi ją stroikami, spoza których coraz częściej wyglądała jej prawdziwa twarz, rozsądziłaby ją ostatecznie. Tak, na pewno tak by się stało, nie zaczynałaby życia po raz trzeci...

Nagle dostrzegłam cień zatrzymującego się samochodu, światła mijania zgasły raptownie, zanim zjechał na pobocze. Moja noga odruchowo popuściła sprzęgło, polonez ruszył bezszelestnie, Piotra nie było widać, dwa cienie przebiegły szosę, z prawej wynurzył się nagle Piotr. Wsiadł w biegu. Puściłam sprzęgło całkowicie, wóz skoczył do przodu omalże rozplaszczając cień zabiegający od maski. Coś zachrobotało z boku wozu, jakby czyjaś dłoń usiłowała szarpnąć zablokowane drzwi. Był to moment, drugi cień odpadł, może go rozjechałam, może nie, pędziłam przed siebie nie dbając, co za mną. Piotr milczał. Za sobą mieliśmy ciemność, po bokach sunęły równoległe z nami dwie czarne ściany lasu. Nie zwolniłam, zanim nie ujrzałam jarzących się świateł Szczecinka.

- Może myślał, że mamy awarię - odezwał się Piotr.

- Pewnie dlatego zgasił światła - odrzekłam.

- Masz refleks, Zuza.

- W bezsenne noce czytam kryminały - odrzekłam.

Jeszcze buzowało we mnie dziwne podniecenie. Nie znałam dotąd takiego stanu, żadnej chłodnej ciekawości, co z czego wyniknie, nic, tylko to dziwne uczucie podobne do radości.

- Lepiej się czujesz? - spytałam.

- Tak. Zamieńmy się.

- Nie przed Piłą - odrzekłam.

- Zdumiewasz mnie - rzekł.

- Odkryłam właśnie, czym jest amok wyprzedzający rozeznanie.

- Nazwałbym to trafną decyzją.

- Nie rozum ją podyktował. Nie miał czasu. Działanie wymknęło się spod kontroli mózgu.

- Źle to ujmujesz. Postąpiłaś zgodnie z poleceniem mózgu, tylko ręce były szybsze.

- Otóż to! - rzekłam.

- A gdyby ręce były szybsze nie w tę właściwą stronę?

- Byłby to błąd. Po prostu.

- Lecz nie tylko ja bym za niego zapłaciła.

- Zgadza się.
  - Masz już na sumieniu taki błąd?
  - Owszem - odrzekł spokojnie.
  - Cena była wysoka?
  - Nawet bardzo.
  - Cięży ci do dziś?
  - Pewnych błędów się nie zapomina. Ale też nie da się ich uniknąć.
  - A twoja głębia co na to? Przecież dopiero co powoływałeś się na nią. Nie wiedziałeś wtedy, co siedzi w tobie?
  - Widać niezupełnie.
  - Nie podoba mi się to - oświadczyłam.
  - Zrozumiałam, że każda reakcja ma swoje granice, wytyczone przez osobowość, czyż nie tak?
- Potaknął z uśmiechem.
- Inna jest granica u pitekantropusa, inna u cywilizowanego. Lecz nie zaprzeczysz, że granice można przekroczyć? Wprawić samego siebie w osłupienie. Przekonać się, że jesteśmy takim sobie zwykłym robaczkiem reagującym na dotknięcie patyczka. Zgadza się?
  - Rozmowa z tobą lepsza jest od nitrogliceryny.
  - To unik, tato.
  - Owszem.
  - Skoro wszystko, jak twierdzisz, jest wypadkową czegoś tam, to tak zwany wolny wybór jest jeszcze jedną bajeczką. Zawsze słuchamy dyktatu i wybieramy, co wygodniejsze, co zyskowniejsze, albo co nas gruntownie ogłupiło.
  - Ale wybieramy. Możemy to zrobić także wbrew swojej wygodzie. Dla tych głębszych rzeczy.
  - Punkt dla ciebie. Albo nie, tylko połowa. Skoro można nam stawiać warunki dla ogółu nie do odrzucenia, to kim właściwie jesteśmy?
  - Nie trzeba się na nie zgodzić.
  - Ale czyni się to. Mówi się wtedy teatralnie, to było silniejsze ode mnie, musiałem zabić, musiałem się upić, musiałem się upodlić, albo chociaż zmienić przekonania na intratniejsze. Pełno takich ludzi w mojej szkole.
  - Nawet gdyby stanowili dziewięćdziesiąt procent populacji, to ciężar pozostałych dziesięciu jest zdecydowanie większy.
  - Teoretycznie. W rzeczy samej, ci, którzy muszą, bo coś jest od nich silniejsze,

decydują o nas. Konsumują nas po kolei. Fromm nazywa to zaspokajaniem głodu władzy, ciała, itede. Czyżbyśmy byli tylko tkanką, która domaga się forsownego odżywienia?

- W wielkim uproszczeniu chyba tak - odrzekł spokojnie.

- Jesteśmy tkanką. Lecz nie zawsze trzeba jeść, gdy się ma apetyt. Są tacy, którzy potrafią się oprzeć sygnałom... hm, podniebienia. O tym ten twój Fromm nie mówił?

- Mój Fromm jest wzniosły. Miłość dla niego to nie seks, lecz stosunek do życia.

- Bo to prawda - odrzekł.

- A teraz bądź tak miła i zjedź na pobocze. Oddaj mi władzę nad kółkiem.

- To także jest unik - odrzekłam i wybrałam szersze pobocze.

- Dyktuje ci go lęk przed utratą nie tyle autorytetu ojcowskiego, ile podziwu dla samego siebie. No bo co byś miał do powiedzenia, gdyby się nagle okazało, że usłuchałeś nie tej swojej przepastnej głębi, ale czegoś pospolitego?

- Tak, przyznaję, to jest pytanie - powiedział lekko, przesiadając się na swoje miejsce.

- Lecz tylko hipotetyczne. Mój mózg miał zawsze nade mną większą władzę, niż moje ręce nad tym kółkiem.

Już miałam odrzec, że wyraźnie myli zasady z życiem, lecz zrezygnowałam. Znałam tylko jednego człowieka, który dałby się zabić, byleby nie złamać prawa, w które wierzył. Ale była to tylko postać filmowa, kolonel z „Mostu na rzece Kwai”, człowiek wspaniały i równocześnie żalony, nie rozumiejący, że żadne prawo, żadna idea nie przylega do rzeczywistości. Ale i to jest tylko hipotezą wymagającą udowodnienia. Co też zrobiłby mój nieugięty Piotr, gdyby nagle cała jego czterdziestoletnia wiara w wyższość rozumu rozsypała się w proch? Popatrzyłby na swoją zbrukaną, powaloną ideę i wymyśliłby nową? Albo zachowałby się jak kolonel i runął razem ze swoim przekreślonym światem. Z wymyślonym przez siebie światem, tak, to dokładniejsze. No cóż, wszystko jest do sprawdzenia.

Siedziałam w przedziale drugiej klasy, przy oknie, gdy z tunelu wyszli oni. Nie mogłabym powiedzieć, aby rodzice Irka dobrali się powierzchownością. Widziałam ją już kilka razy w szkole, lecz dopiero teraz, gdy tak kroczyła obok niego, stało się widoczne, jak bardzo jest pospolita. Wszystko na niej krzyczało, kapelusz, krój płaszcza, a nade wszystko kolory. Zapewne kilkanaście lat temu uznał jej trzepotanie za niezwykle kobiece. A piskliwy głos za uroczą dziewczęcy. Nie mieli chyba wtedy więcej niż po dwadzieścia cztery. Mężczyzna w tym wieku, jak mawiała stara dama, jest szczególnie głupi, albowiem właśnie zaczyna uważać się za doświadczonego. Niewykluczone też, że ślub był po prostu życiową koniecznością. W każdym razie nie byli tej samej klasy, co go, oczywiście, nie upiększało w moich oczach ani trochę. Wycofałam się spod okna. Oczekałam, aż przejdą. Zniosłam cierpliwie najazd

współpasażerów, głównie obcojęzycznych handlarzy. Ledwo to do mnie docierało. Zastanawiałam się bowiem, czy by mnie poznał. Chyba nie.

Telewizyjna lista miniprzebojów utwierdziła mnie, że każdego małego chłopca można łatwo przerobić na alfonsa, a dziewczynkę na wycierusa w rodzaju Tiny Turner, tylko w odwrotną stronę nic się nie da zrobić. Tak więc nie umalowana, w skromnym swetrze, byłam podobna tylko do siebie, do szesnastoletniej Zuzy, a tej nie znał. W dodatku przybyło mi dziesięć centymetrów wzrostu, co ma znaczenie. Chwilę zatrzymałam się przy śmiesznym bądź co bądź zmartwieniu. Co zrobię, jeżeli nadal będę wyrastać bez umiaru? Jeśli miałabym się stać chudą tyką do grochu albo chłopobabą, to niech mnie lepiej zaraz diabli wezmą. Nie jestem próżna, po prostu wiem, co ładne.

Wtem dostrzegłam przesuwaną się za oknem postaci. Matka Irka biegła równoległe z wagonami, wymachując czarną teczką. Wychyliłam się z okna. Postać jej stawała się coraz mniejsza, mało rozpoznawalna, aż wreszcie zniknęła, pociąg bowiem wjechał na szeroki łuk. Wtedy w oknie przedziału pierwszej klasy dostrzegłam ojca Ireneusza. Dawał znaki, że rozumie. Ja też zrozumiałam. Teczka, atrybut jego funkcji, pozostała w jej rękach. Potem pociąg wjechał na prostą, straciłam z oczu perony, a jego w oknie.

Zaszyłam się głębiej w kąt. Naciągnęłam na twarz rękaw kurtki i spróbowałam namalować obraz dzisiejszego wieczoru. Był intrygujący. Co by też zrobił człowiek - ślimak, dźwigający na sobie domek pełen napuszonych obrzędów, gdyby nagle otworzyła się przed nim druga okazja ze mną. Nie wymykał się tak bardzo spod poznanych przeze mnie etykietek. Z pewnością należał do tych, którzy z całym bezwstydem oświadczają, że uczą się na swoich błędach. Na swoim pierwszym, najgłówniejszym błędzie, który kosztował go dożywocie, nauczył się, że urocze szczebiotanie bardzo szybko traci wdzięk.

U kogo później pobierał nauki, oczywiście z doskoku, nie wiem. W każdym razie ktoś go po drodze nauczył doceniać wagę inteligentnego milczenia. Dlatego chciał się wtedy spotkać ze mną po raz drugi, lecz ten jego ślimaczy domek nie pozwolił mu zaproponować wprost konkretnego terminu. Stał wtedy i czekał. Lecz ja nie zamierzałam ułatwić sytuacji. Ten fakt, rzekłam tylko na pożegnanie, wyczerpuje się szybko sam w sobie. Ale problem zostaje, prawda? Dla pana przynajmniej. W tym fakcie, odrzekł urażony, istotnie było tylko to, co mamy już za sobą. A więc nie ma problemu. Ależ jest! odrzekłam, będzie go pan dźwigał na plecach razem z przyrośniętym ślimaczym domkiem, o którym nie udało się panu tak całkiem zapomnieć. Zapatrzył się we mnie już przygotowaną do wyjścia. Jest pani bardzo spostrzegawcza, rzekł. Inteligentna, poprawiłam, a to i peszy, i pociąga, prawda? Nie odpowiedział. Zniknął jeszcze raz w łazience. Gdy stamtąd wyszedł, załatwiliśmy tylko sprawę



finansową. Dopilnowałam tego. Jest to bowiem moment, w którym każdy zdradza swoją klasę. I biorący i dający. Zapłacić za usługi, aby nie wydawać się ani skąpym, ani hojnym, i na dodatek potraktować rzecz jak najzwyklejszy na świecie byznes, to doprawdy wielka sztuka. Wywiązał się z tego jako tako. Oczy płąsały mu z wysiłku, aby przy tym nie patrzeć na mnie, gdy tak kładł pieniądze na stole. Ja zaś zgarnęłam je do torebki bez pośpiechu i bez zażenowania, ot, jak rzecz należną sobie. Niechże się pan tak nie kurczy w sobie, rzekłam idąc do drzwi, czy się płaci za to, czy nie, sam fakt pozostaje wciąż nie zmieniony. Nie poszedł za mną do holu, wyprosiłam sobie ten wątpliwy gest wątpliwej grzeczności. Jeszcze mnie pan swoim skrzepowaniem skompromituje, rzekłam mu i zostawiłam w progu nieco oszołomionego, z chałupką ślimaczą na plecach, sygnalizującą coraz ostrzejsze wyrzuty sumienia.

Doprawdy, byłoby niezwykle interesujące sprawdzić, jak zachowałby się dzisiaj, po półrocznej przerwie. Wyszłam z Dworca Centralnego prosto w deszcz. Umalowałam się przedtem, jak zwykle, i jak zwykle nie miałam parasola. Po drodze wstąpiłam na Świętokrzyską po lody. Maszerowałam niespiesznie w stronę piętnastopiętrowca babci i malowałam nowy obraz z mężczyzną sprzed pół roku. Obraz był szczególnie kolorowy, w tle bowiem mogłam domalować nową figurę, postać Irka. Wyrzuciłam rozmoczoną tutkę do kosza. Gdy odwróciłam się, weszłam na niego. W pierwszej chwili nie poznał mnie. Powiedział przepraszam i ruszył dalej, lecz za moment przystanął i zawrócił. Uchylił kapelusza, co nie było łatwe, jako że w jednej ręce trzymał parasol a w drugiej neseser.

- Znamy się, prawda? - zagadnął
- Przypominałam sobie dłuższą chwilę.
- Chyba tak - odrzekłam z wahaniem.
- Pani od faktów, prawda? - spytał żartobliwie.

Uśmiechnęłam się.

- Czy to oznacza, że nieczęsto dyskutuje pan o faktach?
- Owszem. Tamta dyskusja była wyjątkiem.

Był nieco roztargniony. Nie miał żadnych planów, to było widoczne. Po prostu poszedł za odruchem i teraz nie miał pomysłu, co dalej. Uśmiechnęłam się znowu.

- Zmarzłam - powiedziałam.
- To trzecie lody. Czuję, jak zamarza we mnie serce.
- Nie jest pani sentymentalna, to też zauważyłem.
- W moim zawodzie byłoby to śmieszne - wyjaśniłam.
- Proszę rzucić tę grę! - rzekł szorstko.
- Kim pani właściwie jest? Nudzącą się studentką?

Ujął mnie bezwiednie za łokieć i odciągnął pod budynek. Nie staliśmy tam zbyt długo. Ruszyliśmy Świętokrzyską w dół, rozmawiając o niczym.

- Właściwie?... - rzekł w pewnej chwili przystając.

- Owszem, czemu nie - odrzekłam.

Byłam ciekawa, czy wejdziemy osobno, jak poprzednio. Ale nie. Odebrał klucze, wciąż rozmawiając ze mną, a była w tej rozmowie cała kwintesencja uprzejmości i szacunku. Recepcjonista słuchał. Jego nieprzenikniona twarz hotelowego profesjonalisty ani drgnęła. Po oczach poznałam jednak, że stracił nieco pewności siebie.

- Miał trudności z włożeniem mnie do pudełka - rzekłam na schodach.

- Bawi to panią?

- Układanie list wartości i przydatności to główne zajęcie człowieka - odrzekłam.

- Jakie wartości ceni pani najbardziej?

- Żadnych.

- Nie sędzę. Ceni pani szczerłość.

- To tylko taktyka. W moim zawodzie...

- Proszę przestać! - rzekł szorstko.

- Muszę być taka - odrzekłam.

- Czy dostrzegłby mnie pan, gdybym zamiast tutki z lodem trzymała w ręce parasol? Czy znalazłabym się tutaj, gdybym nie była tak... powiedzmy wieloznaczna? Każdy chce się dowiedzieć, co też jest za następnymi drzwiami.

Staliśmy na środku pokoju, oboje w okryciach ociekających wodą. Na dywanie powstawały cztery ciemne plamy od przemoczonych butów. Zapomniał zdjąć kapelusza. Zreflektował się, przeprosił. Włosy posiwiwały mu nieco od ostatniego razu, wtedy miał tylko lekko posrebrzone skronie. Lecz uroda została ta sama i błysk napięcia w oczach także, gdy tak wpatrywał się we mnie, usiłując przekonać siebie, że jesteśmy tu oboje tylko dla rozmowy.

- Gdy pan skończy walkę z sobą, proszę mnie powiadomić - rzekłam.

Obejrzałam się za siebie. Powiesiłam mokrą kurtkę na krześle, zrzuciłam pantofle, podbiegłam w pończochach do lustra w łazience i przyjrzałam się sobie. Farby nie puściły, nadal miałam około dwudziestu. Wróciłam do pokoju, usiadłam w fotelu. Zajął miejsce naprzeciw. Ujął moje ręce, obejrzał przycięte krótko paznokcie, dyskretnie pomalowane białym lakierem. Zatrzymał wzrok na twarzy.

- Z bliska i w świetle wydaje się pani dużo młodsza - powiedział.

- To minus?

- Masz rodzinę? - spytał.

Wyjęłam mu dłonie z rąk.

- Jestem pełną sierotą, pochodzę z dobrej rodziny, chociaż to ostatnie, jak mawia pewna stara dama, nigdy nie jest całkiem pewne.

Uśmiechnął się, oczy zachowując poważne.

- Myślałem o pani przez te pół roku - rzekł.

- Naprawdę?

- Jak o przypadku.

- Swoim?

- Swoim też.

Zamyślił się. Wstał, po czym zaraz znowu usiadł. Zapytał gestem, czy może zapalić. Podsunął pudełko, ale odmówiłam, wobec czego sam zrezygnował.

- Zapomniałem - rzekł.

- Od nikotyny też nie jest pani uzależniona.

- Od niczego - zapewniłam.

- Szkoda. Nie musi pani walczyć z sobą.

- A pan wygra dzisiaj tę swoją walkę? - spytałam.

- Nie wygram.

Tak więc znowu byliśmy razem. Otoczka słów rozwiała się, pozostało tylko to, czemu poddał się na razie bez wyrzutów. Lecz ten jego ślimaczy domek wciąż stał tuż obok, czułam go, jak on go czuł.

- Pan jest familiae adscripti - powiedziałam.

- I to do samej śmierci.

- Co zrobisz ze sobą - odrzekł - gdy wyczerpiesz już chęć sprawdzania? A ona wyczerpuje się, zapewniam cię, w każdej materii, w tej zwłaszcza.

- Znajdę inną.

Już wstawał. Zatrzymał się, popatrzył na mnie z góry.

- A jednak jesteś uzależniona - rzekł.

- Musisz to robić, prawda?

- Mylisz się - powiedziałam.

- Nigdy niczego nie muszę.

- To się tylko tak wydaje - odrzekł.

- Pewnego dnia dasz się wciągnąć. Po swojemu, na zimno. To najgorsze uzależnienie.

Poszłam do łazienki. Woda i para zmyły ze mnie nadwyżkę wieku. Jak długo jeszcze lustro będzie odbijać sylwetkę delikatnej dziewczyny, to co, że nieco wyrosniętej, i twarz

pozbawioną prostactwa? Przecież musi się to kiedyś na mnie odbić, może właśnie to miał na myśli mówiąc o uzależnieniu. Nie, myślał o czymś innym, nawet nie o zmysłach, lecz o tak zwanych skutkach moralnych, o spustoszeniu duszy, biedny stary ślimak... Wróciłam do pokoju zapięta pod szyję. Usiadłam przy stole. Pieniądze przeznaczone dla mnie leżały na serwecie. Przeliczyłam je rozmyślnie i bez pośpiechu. Było ich więcej niż ostatnio.

- Rewaloryzacja? - spytałam żartobliwie.

Uśmiechnął się z roztargnieniem. Poszłam za jego wzrokiem. Pokój był sprzątnięty, łóżko zasłane, pyłku na podłodze, nawet ciemne plamy już podeschły na dywanie.

- Co za dbałość o szczegóły! - powiedziałam.

- O pozory - poprawił. Przyjrzał się mi uważnie.

- Ile właściwie masz lat?

- Nieważne - odrzekłam.

- Jeszcze nie muszę podniecać cię metryką. Wystarcza ci świadomość cudzołóstwa.

- Nie masz osiemnastu - rzekł.

- Zgadza się.

Zapukano do drzwi. Otworzył je szeroko. Boy przystanął skromnie w progu, ale oczy mu biegały. Nie widział mnie nigdy, ale znał przeróżne sytuacje. Próbował teraz wkomponować mnie w którąś z nich. Wreszcie wziął napiwek i poszedł. Ojciec Irka wpatrywał się w depeszę.

- Syn przyjeżdża - rzekł - przywozi zapomnianą przeze mnie teczkę.

Spojrzał na mnie nieco nerwowo. Udałam, że się nie domyślam.

- Wyjechał następnym. Pół godziny po mnie - dodał.

- Powinien już tu być.

Nadal nie rozumiałam. Wziął depeszę znowu do rąk, nie miał odwagi ponaglić mnie wprost. Wtem zadzwonił telefon. Złapał szybko słuchawkę. Rozmawiał spokojnie, bez paniki, ale już mu ten ślimaczy domek zaciążył, już uświadomił ogrom winy, już byłam dla niego nie ta, już zapomniał o mojej inteligencji, którą tak podziwiał, już i metryka przestała go urzekać, cały był w tym swoim strachu, biedny sterroryzowany przez hormony mężczyzna.

- Tak, tak - przemawiał spokojnie, bo nauczył się panować nad sobą przez te lata kłamstw.

- Ależ nie, kochanie, nie wychodziłem z pokoju, czekałem na twój telefon, wiedziałem że zadzwonisz, owszem, depesza dotarła również, dziękuję ci za troskę, nie, nic się nie stało, po prostu cieszę się, że zobaczę Irka, tak, jeszcze go nie ma, może wszedł do kogoś po drodze?...

Trwało to sporą chwilę. Dziękowali sobie nawzajem za troskę i przepraszali za

niedopatrzenie, to stąd brał się styl Irka, z tego właśnie źródelka. Mnie styl mojego domu nie zniewolił, dziękowałam i przepraszałam tylko naskórką, tymczasem ten tutaj, jak i jego syn byli już zniewoleni od środka. Wreszcie odłożył słuchawkę. Popatrzył na mnie, jakby mnie z trudem umiejscawiał.

- Twój syn ma na imię Irek? - spytałam.

- Tak - potwierdził.

- Miałby ci pewnie za złe - ciągnęłam.

- Synowie stoją na ogół po stronie matek. Mój nie jest wyjątkiem - odrzekł.

Spojrzał na drzwi, ale ja nadal nie pojmowałam.

- Interesujące - kontynuowałam.

- Chętnie bym sobie taki przypadek obejrzała z bliska. Nie bój się, nie dzisiaj. I nie z tobą w roli głównej, a to dlatego, że nigdy nie psuję sobie żadnej ładnej gry. A ta z tobą jest właśnie ładna.

- Wybacz - zaczął nerwowo.

- Wybaczam - odrzekłam z uśmiechem.

- Przypominasz mi w tej chwili kogoś, może dojdę kogo - ruszył do drzwi, śledził każdy mój krok, ponaglał go.

Zatrzymałam się.

- A co byś tak zrobił, gdyby... no, gdyby ten dokonany dopiero co fakt miał swoje konsekwencje? Domyślasz się, jakie.

Popatrzył osłupiały.

- To wykluczone - rzekł.

- Teoretycznie.

Milczał. Dostrzegłam panikę w jego twarzy.

- Coś by runęło w twoim pięknie zagospodarowanym domku, prawda?

Nie czekałam, co odpowie. Zamknęłam za sobą drzwi. Była dziesiąta wieczór, nadal lało. Szłam niespiesznie Marszałkowską. Z prawej miałam Ogród Saski, z lewej piętnastopiętrowiec babci. Drzewa były prawie łyse, stara dama mogła więc z łatwością wytropić, czy już się zbliżam. Nie należała wprawdzie do wyczekujących na kogokolwiek, lecz ja stanowiłam wyjątek w jej żelaznej regule życiowej. Składałam się bowiem z rąk bardzo zręcznych do pracy, z uszu do słuchania i z oczu, które z głębokim, chyba mistrzowsko zagranym podziwem, słuchały jej teorii, faktycznie, znakomitych. Przywitała mnie wystrojona. Stół był nakryty na trzy osoby, dwa nakrycia wyglądały na używane.

- Jak ci się podobał pan, który przed chwilą stąd wyszedł? - spytała bez wstępu.

- Nie widziałam żadnego.

Rozczarowała się. Wskazała palcem, dokąd mam odnieść ciężką od deszczu kurtkę.

- Dopiero co wszedł do windy - rzekła.

- Mogłaś uprzedzić - powiedziałam.

- Nie siadałabym ci na karku, wiedząc, że masz towarzystwo.

- W moim wieku sam na sam nie jest potrzebne - odrzekła.

- Jest raczej nużące. Jak już nie ma czym, to chwalimy się rodziną. Właśnie zamierzałam się tobą pochwalić.

- Dzięki. Jaki on jest, babciu?

- Nudny - odrzekła bez namysłu.

- Ojciec Piotra był także nudny, ale to się mniej rzucało w oczy. Byliśmy młodzi, mieliśmy czym zabijać czas. Jeśli wiesz, o czym mówię.

- Mniej więcej - odrzekłam.

Usiadłam przy stole, schrupałam kilka ciasteczek, ona zaś siedziała przede mną wielce niezadowolona.

- Sama nie wiem, po co go przyjmuję - rzekła.

- Pewnie coś sprawdzam - dodała.

- Nie chcę mówić dokładniej, nie wypada.

- Między nami jest tylko metrykalna różnica wieku, babciu.

- No, niezupełnie. Praktycznie też za młoda jesteś, aby widzieć życie, jak ja je widzę.

- No to różni nas jeszcze suma doświadczeń - zgodziłam się.

- Ale to jest do odrobienia.

Roześmiała się. Zabrała się do siebie nucąc. Najpierw zdjęła treskę, wpiętą w tył włosów. Potem odkleiła rzęsy, potem kolejno odbierała sobie błyszczące pozory, lecz, o dziwo, nie stawała się przez to ani starsza, ani brzydsza.

- Jesteś najbardziej awangardową damą, jaką znam - powiedziałam szczerze.

- Gdzieś od pięćdziesiątki zaczyna się kolekcjonować korzystne uwagi o sobie - odrzekła wzdychając.

- Fakt, że ktoś nas lubi, ujmuje nas szalenie. Zawsze, gdy nie ma już miłości, szuka się dowodów na nią.

- I znajduje się?

- Nie wyobrażasz sobie, jak łatwowierny bywa człowiek w tej materii!

Zamyśliła się. Patrzyła na nieład na stole, nie dostrzegając go. Nie była też ciekawa, którym pociągami przyjechałam. Nie zapytała ani o Danutę, ani o swego syna. Tkwiła vis - a -

vis mnie, głęboko zamyślona.

- Nie! - orzekła wreszcie.

- To bzdura! Zmieniam plany.

- Chciałaś za niego wyjść? - spytałam domyślnie.

- Nie popełniam tych samych błędów dwa razy. Nie jestem głupia, jak twoi rodzice.

Ani jej w głowie było powiedzieć przepraszam. Nie upewniła się też, czy właściwie zrozumiałam. Przeszła bez wstępu do głośnego rozmyślenia, zostawiając sobie wszakże spory margines, na który mogła się każdej chwili wycofać mówiąc, że co innego miała na myśli. Imię Piotra powtarzało się w różnych zestawach. Padło też imię jego pierwszej żony, fanatyczki, co zostało mocno podkreślone i tonem, i wzruszeniem ramion, i to fanatyczki politycznej. Tu roześmiała się ironicznie, wszelka ideologia bowiem jest tylko zwykłym zamydleniem oczu. A komunistyczna, dodała unosząc palec ku górze, na dodatek rozmiękczała mózg, utwardzając serce. Słuchałam z zainteresowaniem. To stąd wzięła się fobia Piotra do wszelkich form fanatyzmu. To dlatego tak łatwo było go sprowokować do rozmowy o wszelkiego rodzaju alergiach, tej na Niemców też.

Za każdym razem dowiadywałam się czegoś nowego o Piotrze, przyznaję, interesowało mnie to. To, że teraz mieszkaliśmy tylko we dwoje, bez Danuty, zupełnie sam na sam, zostało skwitowane uniesieniem brwi. Wyraz oczu dopowiedział mi resztę. W każdej rozmowie byłam dla niej tylko słuchaczką. A w każdej grze - małym pionkiem, przy pomocy którego chciała rozegrać ostatnią partię szachów o królową. Nie z niechęci do mojej matki. Po prostu musiała to robić, jako że tylko to pole manewrowania innymi jej zostało. Za stara jestem, rzekła kiedyś, aby się skazywać na osobisty dramat. Wystarczą mi cudze. Rozumiałam ją znakomicie. Rozumiałam dokładniej, niż by sobie tego życzyła. Uśmiechnęłam się jednak niewinnie, patrząc na nią z podziwem. Przetykała go bez krzty wątpliwości. Chyba nie była jednak tak mądra, za jaką się uważała.

- Liszki, gdy je podrażnić, zwijają się - powiedziałam.

- Człowiek jednakże reaguje w sposób bardziej skomplikowany. Nie wszystko da się przewidzieć. Zamilkła. Popatrzyła nieco stropiona.

- Gorszą cię?

- Skądże.

- To są tylko rozważania starej baby, która już nigdy nie będzie pośrodku jakiegokolwiek gry.

- Sama w to nie wierzysz - odrzekłam.

- Należysz do tych, co to z katafalku kierują własnym pogrzebem.

Przyjęła to z wielkim zadowoleniem.

- Zgadza się - przyznała.

Przyjrzała mi się z wielką uwagą. Ku memu zdumieniu jej twarz złagodniała.

- Lubię cię, dziecko - powiedziała tonem, którego nigdy u niej nie słyszałam.

- Nie chcę, aby cię kiedyś coś złego spotkało. Jak twoich rodziców. Oczywiście, zanim się spotkali.

- Nie jestem dziewczyną, z którą ktokolwiek poleci na skróty do rajy - zapewniłam ją.

- To mnie uspokaja tylko w małej części. - Zamyśliła się. - Wiesz, co mnie w życiu zawsze ratowało? To, że dla mnie liczyła się sama gra. Nie zwycięstwo, nie klęska, ale sama gra doprowadzona do końca. Gdy nauczysz się rozgrywać partię dla samej partii, nigdy tak naprawdę nie będziesz przegrana, nawet gdyby sytuacja mówiła coś innego. I nigdy nie miej oporów, żeby wykonać jakikolwiek manewr nie w tę uznaną stronę. Opór winien być zawsze tylko czynnikiem taktycznym, nigdy hamującym, zapamiętasz to, Zuza?

- Już zapamiętałam - odrzekłam.

- Niekiedy odnoszę wrażenie, że od dawna to potrafisz - powiedziała wzdychając i zrobiła ruch.

- Zabierz te brudy ze stołu i zabierz się do tego, dla czego przyjechałaś.

Wstałam. Posłuchanie było skończone. Dostrzegłam go od razu, gdy tylko przekroczyłam Marszałkowską. Siedział na przystanku, z Ogrodem Saskim za plecami, w obłokach spalin, łoskocie przelatujących pojazdów i wpatrywał się czujnie w przejście. Na mnie czekał, od razu zrozumiałam. Piękny skafander, w którym zadawał szyku w szkole, był splamiony. Równie nieświeży miał wyraz twarzy.

- Na ciebie czekam! - rzekł bez wstępów.

Kiwnęłam głową, żeby wstał. Podniósł się niechętnie. Poszliśmy wolno w głąb Saskiego. Ławki zajmowali trzydziestoletni renciści i ich wesołe panienki. Nie padało. Zza kłębiastych chmur wyłoniło się słońce, nagie konary drzew polśniewały od wilgoci. Tak samo wilgotne były ławki.

Usiedliśmy przy fontannie, z twarzami wycelowanymi w bladawe słońce. Poczułam chłód ciągnący od przemoczonego drewna. Wstałam więc, wymościłam ławkę gazetą i foliową torbą, po czym usiadłam. Przyglądał się temu apatycznie. Nie sięgnął po gazetę leżącą obok, głupi smarkacz, nawet ziębnięcie na mokrej ławce uważał za ważki protest. Co pewien czas spoglądał na mnie, nie widząc mnie. Nagle sięgnął do kieszeni, wyjął papierosa. Zapalił, zakrzuszył się, zdradzając, że i w tym jest początkującym młodzieńcem. Odrzucił papierosa, chwilę przyglądał się tłącemu niedopałkowi, wreszcie wstał i rozdeptał go na miazgę. Wzruszył



ramionami. Nadal milczeliśmy.

- Nie jesteś ciekawa? - spytał wreszcie.
- Sam powiesz. Skinął głową.
- Logiczne - przyznał.
- Skoro na ciebie czekałem.
- Odczekał, wreszcie okręcił się twarzą ku mnie.
- Nie boisz się aids? - spytał.
- A ty się nie boisz? - odrzuciłam.
- To się przenosi!

Nie odpowiedział. Uniósł się, podłożył rękawiczki pod siedzenie, potem dołożył gazetę.

- Jeśli zmarzłaś - zaproponował - możemy spacerować.
- Liczę, że będziesz się streszczał.
- Dobrze! - powiódł spojrzeniem po czubkach drzew, zebrał się w sobie.
- Widziałem was!

Boy otworzył szeroko drzwi, właśnie podchodziłem. Widziałem ciebie wyraźnie.

- Całkiem możliwe - odrzekłam.
- Wyjechałem następnym, po półgodzinie. Przywiozłem mu teczkę - ciągnął.

Skinęłam głową, że wiem.

- Wyłożę karty - rzekł.
- Muszę wiedzieć, czy umówił się z tobą już w Poznaniu.
- Co za różnica!
- Oznaczałoby to, że wie, kim jesteś.
- Niekoniecznie - odrzekłam.
- Poza tym nie jest aż tak głupi, aby się umawiać z koleżanką syna. Zadowala cię to?
- Dlaczego nie zaprzeczysz?! - wykrzyknął szeptem.
- Dlaczego nie mówisz, że się mylę?!

Wzruszyłam ramionami. Wybuchnął, nadal szeptem. Powiedział, że w pierwszej chwili mnie nie poznał, siedziałam bowiem bokiem do drzwi. Lecz zanim boy odszedł, zwróciłam się całą twarzą, wtedy miał już pewność. Poraziło go to, był autentycznie poruszony wtedy i teraz. Powtarzał w kółko, wtedy cię poznałem, jak człowiek nie dowierający sobie. Jeszcze teraz nie dowierzał, patrzył, dotykał rzeczy, lecz wciąż była dla niego nieprawdziwa. Wtedy też była nieprawdziwa, niewiarygodna tak długo, aż boy zamknąwszy drzwi, rzekł głośno, ze śmiechem, dziwkę sobie stary sprowadził, widziałeś? Szkoda, że taką ładną!

- Nie dałeś mu w zęby?

Milczał.

- Ze względu na honor twego ojca - dodałam.

- On nie wiedział, że to mój ojciec - odrzekł.

- Ty wiedziałaś. Znowu zamilkł.

- Dlaczego? - odezwał się po chwili.

- No, dlaczego? - patrzył na mnie, podsuwał głosem, oczami, całą twarzą możliwość kłamstwa, albo chociaż uchylenia się od odpowiedzi, wręcz błagał o to.

- No, powiedz, dlaczego? Masz przecież nieprzeciętną inteligencję...

- Co ma jedno do drugiego - przerwałam.

- Jesteś estetiką.

- To również inna parafia.

- Nie jesteś ani krzykliwa, ani prowokacyjna, te nasze klasowe gęsi są bardziej dwuznaczne niż ty!

- Dzięki - rzekłam.

- Nie bądź ironiczna! - krzyknął.

Kilka osób obejrzało się, ściszył więc głos.

- Nie myśl, że chcę cię szantażować.

- Nie mnie byś zaszkodził - odrzekłam.

- Miałam wtedy zaledwie piętnaście i pół - zamilkłam, informacja ta była doprawdy zbyt cenna, ale trudno, stało się.

- Tak, dokładnie tyle.

Aż wstał.

- Chcesz powiedzieć, że widziałaś się z nim więcej niż ten raz?!

- Owszem.

Opadł na ławkę oszołomiony.

- Nigdy nie wszczynaj śledztwa w osobistych sprawach. Bardzo trudno ustalić winnego. No i może się zdarzyć, że ze świadka staniesz się współoskarżonym. Byłeś tam, prawda?! Widziałaś, czyż nie tak? I pokojarzyłeś.

Nie słuchał. Wodził oczyma po krzewach, czubkach drzew, wewnętrznie znieruchomiły.

- Domyślałam się, żeś się nie widział ze swoim ojcem?

- Oddałem tylko teczkę w recepcji hotelu - odrzekł.

- Gdzie spałeś?

- Na dworcu.

- Widać. Trzeba było wracać natychmiast, pierwszym nocnym.  
- Nie mogę pokazać się matce z taką twarzą. Nie chcę, żeby się mój dom rozleciał.  
- Nawet nie masz pojęcia, ile kobiety potrafią znieść dla swej wygody i dobrej pozycji.  
Odsunął się raptownie na koniec ławki.  
- Bez manifestacji, Irek - doradziłam spokojnie.  
- Od poniedziałku zasiądziesz znowu za moimi plecami. To mniejsza odległość niż ta.  
- Jesteś nieludzka! - rzekł cicho.  
- Jakbyś nie była z tego świata - przysunął się, głos miał udręczony.  
- Zachowanie ojca mogę sobie jakoś wytłumaczyć, rozumiem mechanizm. Ty zaś jesteś gładka jak lód. Lecz nie jesteś nawet lodem, ciebie nie da się niczym roztopić.

- Pięknie powiedziane - przyznałam.
- Daj słowo, że nigdy się z nim nie spotkasz - zażądał.
- Ostatni raz dawałam słowo, gdy miałam trzy lata - odrzekłam.
- Nie można z tobą rozmawiać!
- Nie trać więc czasu!

Wstał, obrócił się bez słowa. Poszedł w stronę Krakowskiego Przedmieścia, nie obejrzawszy się ani razu. Piotr stanął za moimi plecami. Nie odłożyłam lornetki.

- Pukałem - rzekł usprawiedliwiająco.

Nie odpowiedziałam. Poszedł za moim wzrokiem, wreszcie dostrzegł poruszające się pelargonie i ten rudy błysk między nimi. Odebrał mi lornetkę.

- Rudy jak tamten - rzekł.
  - Jak kto? - spytałam obojętnie.
  - Jak Bursztyn.
  - Ach, ten... - powiedziałam.
- Położył lornetkę na parapecie.
- Przecież lubiłaś - na mgnienie umilkł - koty?
  - To wyższa inteligencja.
  - Powiedziałaś, że są niezależne. Miałaś wtedy dziesięć lat.
  - Nie uwiązane - poprawiłam.
  - Zaskoczyłaś mnie wtedy - rzekł.

Milczałam. Głos miał zakłopotany i poruszał się wśród słów ostrożnie, jak ktoś, kto wiele pamięta.

- Byłaś za mała na takie odkrycie - dodał.
- Widać moja inteligencja była wtedy odwrotnie proporcjonalna do wieku - odrzekłam.

Wrzuciłam lornetkę do szuflady, on zaś nie ruszył się spod okna. Odcięta dłoń powiewała nagląco, pelargonie kładły się pokotem, rudy ignorant przebierał łapkami w skrzynce, całkowicie obojętny.

- Wraca, kiedy chce - zauważył Piotr.
- Cóż warta miłość niewolnika - odrzekłam.
- To uzależnienie dla obu stron. Osłupiał.
- Zuza! - rzekł cicho.
- Mówimy o kotach - wyjaśniłam.
- Nie merdają ogonem. To ich błąd.

Chwilę przyglądaliśmy się sobie, on z uwagą, ja - uśmiechnięta. Lecz dostrzegł, że oczy mam równie uważne. Miał wyższą inteligencję ten nasz wspaniały Piotr, może nawet tak wysoką jak Bursztynek. Lecz nie dostrzegł dotąd, że miłość niewolnika to tylko zwykła potrzeba zbudowania komuś ołtarza. Nie dla tego kogoś. Dla siebie. Aby mocniej związać święty obraz ze sobą. Aby wybijając pokłony, móc domagać się wzajemności. Aby nitkami pokory i uwielbienia, zdolności nieustającego przebaczenia przyszyć kogoś do siebie jak protezę miłości. Obecność niewolnika to powolne umieranie obu stron, ale Piotr nie chciał o tym wiedzieć.

- Najbardziej cenisz sobie niezależność? - odezwał się tonem stwierdzenia.
- A ty? - odrzekłam uśmiechając się milutko.
- Co cenisz najbardziej, tam w sobie?

Zmieszał się. Ktoś zadzwonił do drzwi, wyszedł więc czym prędzej. Usłyszałam, jak rozmawia z listonoszem. Usiadłam w fotelu, plecami do okna. Ta moja zagadka, ten cudowny idol Danuty uważał się za monolit. Może nim był, lecz wtedy trzeba by mu odjąć wyższą inteligencję ze spisu cech osobowości. Może przywiązał się do pięknej opinii o sobie, jak cała ta reszta, której można wszystko wmówić. I może jak nielicznych zaczęła go ta piękna opinia zobowiązywać, aż stał się prawie doskonały.

Monotonia dnia spędzanego z nami przestała go przerażać, bo oto dostrzegł, że gra główną rolę w tej szarości. Przyznaję, to bardzo wychowawcza metoda, przeobraża bowiem zwykłych drani w dobrodziejów rodziny, w dobrych ojców niekonwencjonalnych pańienek, w cierpliwych mężów pięknych kobiet, które mają nieustające frustracje. Tak, palenie kadzideł jest najskuteczniejszym działaniem, pod warunkiem, że lubi się ich zapach. Zmrok zapadał, nie zapalałam światła, w listopadowym półmroku bieleły białe sprzęty, żadnej ostrzejszej barwy, żadnego chlaśnięcia kolorem po monotonnym tle, nic, absolutnie nic, tylko wszechobecna szarość. Wstałam. Dywan przytłumił moje kroki, cień korytarza ukrył mnie w sobie. Stałam

tam dłuższą chwilę, zupełnie nie zauważona. Krąg światła stojącej lampy czynił twarz Piotra doskonale widoczną. Promieniał. To wpatrywał się w ciemne okno, to powracał oczami do białego karteluska trzymanego w palcach. Zapewne czytał go niejedną raz, zanim przyszedłem. I za każdym razem znajdował w nim coś specjalnie dla siebie, coś z magicznych słów, które sobie przekazywali półgłosem, gdy któreś z nich potrzebowało wsparcia.

Znowu wziął list do rąk, ale nie czytał go już. Składał powoli, wciąż oddalony myślami. Nie udawał, że mnie nie dostrzega. Nie był w stanie dostrzec czegokolwiek. Wycofałem się bezszelestnie. Wyszłam po raz drugi z pokoju, głośno zamykając drzwi. Podniósł na mnie oczy, niebieskie do samego dna. Odczekał, aż usiadłam naprzeciw.

- Jest również kilka słów dla ciebie - rzekł podając złożoną na czworo kartkę.

- Wybacz, nie dam ci całego listu do czytania.

- Drobiazg - odrzekłam grzecznie.

Przeleciałam wzrokiem drobno zapisaną kartkę. Dużo serdeczności i dużo ciekawości, jak też sobie bez niej radzimy. Między linijkami przycupnęło zapewne sporo niepokoju, aczkolwiek, jak mawiał Saint - Exupery, najważniejsze jest zawsze niewidoczne dla oczu. Podniosłam swoje na Piotra. Jeszcze był gdzie indziej. Patrzył przed siebie, uśmiechając się. Lecz dostrzegł, że się mu przyglądam.

- Co się stało? - spytał.

- Mnie nic.

Zawahał się.

- No cóż, mam powód do radości - podszedł do barku, wrócił z butelką wina i dwoma kieliszkami.

- Za zdrowie mamy - rzekł, nalewając.

- Straciła je?

Znowu się zawahał.

- Pisze, że wszystko jest w najlepszym porządku, alarm był pomyłką - i znowu się zawahał.

- Nie reumatyzm był powodem, że tam pojechała.

Okręciłam podany kieliszek, obejrzałam płyn pod światło. Przeleciałam w myślach kilka tygodni do tyłu, w trakcie których przyłapywałam ich nieraz na szeptaniu, na nerwowości niczym nie uzasadnionej, przynajmniej niczym takim, co działo się w domu.

- Co było powodem? - odezwałam się.

- No... w końcu masz szesnaście lat - zająknął się.

- Kobięce historie? - powiedziałam.

Odetchnął.

- Właśnie.

- To dlatego nie było mamy przez wakacje dwa tygodnie w domu.

- Nie chcieliśmy cię niepokoić - rzekł szybko.

- To był tylko mały zabieg - znowu się poplątał.

Nie wiedział, gdzie patrzeć. Nalał więc sobie trzeci kieliszek i wypił go szybko, nawet nie zauważając tego. Ja okręcałam swój w palcach.

- Anachroniczna pruderia - rzekłam.

- Mama jest wstydliva - sprostował.

- Wobec tego za wstydlivość! - powiedziałam.

Uniosłam kieliszek, po czym wychyliłam duszkiem.

- Przecież to rozumiesz - rzekł.

- Sama jesteś bardzo powściągliwa.

- Z braku okazji - zażartowałam.

Roześmiał się rozluźniony. Nie tylko wino czyniło go takim. Wyczytał w liście coś, czego nie zabraniała jej pruderia, a co podniosło go na duchu. Byli przecież stosunkowo młodzi i - jak mawiała stara dama - jeszcze nie znikął im z oczu ten ostatni tramwaj, a z całą pewnością taką to aluzję zawierały karteluszek Danuty.

Nigdy nie obserwowałam ich wieczorem. Nie nasłuchiwałam. Nie starałam się przyłapać ich in flagranti, co nałogowo czyniły moje koleżanki. Gdzieś we mnie tkwił dziwny opór, anachroniczny zapewne, lecz nie potrafiłam zmusić się do tropienia kogokolwiek. I nie powściągliwość mi to dyktowała, ani jakoś tam pojmovana lojalność. Może, jak w dobrej sztuce, nie chciałam wiedzieć wszystkiego od razu. Uśmiechnęłam się do niego. Odwzajemnił skwapliwie. Był jak człowiek, który za moment przytuli do siebie cały świat. Odpowiadał mu ołtarz i zapach kadzidel unoszący się nad listem, dał się świadomie zniewolić i teraz nazywał to zapewne wyższym uczuciem. Cóż, można i tak.

Miejsce Jany koło mnie było nadal puste. Kątem oka widziałam profil Irka zapatrzonemu w okno. Był nieobecny jak ja. Nad naszymi głowami rozpętała się właśnie wrzaskliwa i dyletancka dyskusja o moralności. Rozpętała się nagle, lecz z całą pewnością nie bez prowokacji. Spojrzałam na naszą Morale. Piotrowa Ta Od Skargi stała pod ścianą i wsłuchiwała się w bezładne pokrzykiwania. Nie oburzały jej błędy językowe ani gramatyczne, chociaż uważała się za wielką purystkę. Nie irytował żargon. Słuchała i czekała na miejsce, w które wkroczy ze swoją ideologią demokracji. Fanatyzm mylił się jej wciąż z żarliwością serca i z tego już nie wyrośnie. Przysłuchiwałam się obojętnie. Nie spostrzegłam nawet, jakie to

chodliwe hasło uwiesiła na końcu swojej pedagogicznej wędki. Ale domyślałam się celu. Od dawna zjadało ją pragnienie odegrania wielkiej roli mistrza, politycznego guru, choćby w tak infantylnym środowisku jak to. Pogardzała nami skrycie, dla niej byliśmy zaledwie ćwierćinteligentami, ale miała nas obok, musieliśmy jej słuchać, mogła nas ugniatać wedle swojej woli. Odkąd aureola uciśnionej przez komunę zbladła i odkąd coraz więcej przypadkowych osób wkładało ją sobie na głowę, musiała znaleźć dla siebie coś, co podniosłoby jej status, zwykły status małego nauczyciela. Robiła to zbyt często i zbyt nachalnie, lecz gawiedzi w ławkach było wszystko jedno, byleby sobie pokrzyczeć. Po chwili zorientowałam się, dokąd popycha ich swoimi umiejętnie rzucanymi uwagami.

- Nie rozumiem - powiedziałam półgłosem.

Dyskutujący nie usłyszeli mnie. Ona jednak usłyszała. Zajmowałam bowiem pierwsze miejsce na liście opozycjonistów. Wlepiała we mnie wzrok pełen niechęci. Zepsułam jej rytm.

- Czego nie rozumiesz? - spytała szorstko.

- Moralności. Klasa ucichła. Dla nich był to miły gong na przedstawienie.

- Definicji?

- Definicję znam. Chodzi o jej rozumienie. Fanatyzm wyklucza wszelką moralność. A przed chwilą, o ile dobrze słyszałam, właśnie go z etyką ożeniono.

- Tak, to był błąd - przyznała oschle.

- Popołniony z żarliwości.

- Fanatyzm nie ma nic wspólnego z żarliwością. Raczej ze ślepotą. I okrucieństwem.

Zapadła cisza. Wszyscy zrozumieli, o czym mowa.

- To wszystko? - spytała patrząc niechętnie.

- Nie. Ze słów pani profesor wynika, że istnieje wiele moralności. I że określa je przymiotnik. Z tym się zgadzam. Ale to także tylko definicja poszerzona czy pomniejszona o ten przymiotnik. Mnie chodzi o czystą moralność, bezwzględnie czystą, obowiązującą wszystkich.

- Moje dziecko - zaczęła protekcyjnie - każda epoka...

- Wiem - przerwałam grzecznie.

- To mieści się także w tym, co już powiedziano. W przymiotnikach dodawanych do definicji. Można to rozdrabniać w nieskończoność, na moralność związaną z zawodem, z płcią, nawet z punktem widzenia. Mnie jednak interesują wartości niezmiennie, ponadczasowe, coś bezwzględnie stałego, jak stałym jest człowiek, w końcu mutanci egzystują na razie tylko w książkach i w filmach, w życiu jesteśmy wciąż tacy sami, w swoim tronie, oczywiście. Muszą istnieć rzeczy niemoralne z każdego punktu widzenia, to mnie interesuje, na to nie otrzymałam

odpowiedzi.

- Widać nie zadałaś konkretnego pytania - odrzekła.

- Ależ cały czas je zadaję. I cały czas wisi ono w powietrzu. Na przykład, była już mowa o moralności chrześcijańskiej i o komunistycznej, ze szkodą dla tej ostatniej, oczywiście. Nie pojmuję różnicy. Obie funkcjonują w tym samym czasie, w tym samym społeczeństwie, w tym samym pokoleniu, w tych samych jednostkach. Ale jedna jest zła, a druga dobra. Dlaczego? Teoretycznie głoszą omal to samo, a więc dajmy definicjom spokój. Proszę mi wytłumaczyć praktycznie. Choćby na przykładzie konkretnych osób. Zapanowała absolutna cisza. Słyszałam szelest odwracanej kartki. Nawet najgłupszy zrozumiał, że było to pytanie zaadresowane pod konkretny adres. Ale nikt z tej gawiedzi nie pojął, iż nie jest to rozgrywka, tak zwane zaginanie nauczyciela, lecz odkłamywanie rzeczy.

- Wybacz, naiwne żądanie - rzekła po chwili.

- Bo jestem naiwna - odparłam.

- Mam dopiero szesnaście. Naprawdę chciałabym zrozumieć, dlaczego ta sama rzecz raz jest dobra, a raz zła. Żeby użyć przykładu, strajki powiedzmy: Przez nie giniemy. Są zaprzeczeniem moralności obywatelskiej. A przedtem były powodem do chwały. Wiem, tylko ekonomicznie można obalić bezkrwawo ustrój, lecz jakie są następstwa? Jakie jest pani zdanie?

- Dopytujesz z przekory?

- Pani wybacz, pani profesor. Ale to jest unik - odrzekłam.

- Przecież musi być odpowiedź na to pytanie. Nie tylko my, w szkole, na nią czekamy.

Zacisnęła usta. Popatrzyła na klasę. Wiedziała, że zaledwie połowa klasy rozumie, iż za moment będzie musiała ocenić również i siebie, bo nawet najgłupszy pamiętał, iż to właśnie ona wyprowadzała całe klasy ze szkoły, namawiając do krzyków. Że właśnie ona stała za plecami durniów, dobrze schowana i dobrze zorientowana, że we wtorek pójda krzyczeć przeciwko religii w szkole, a w środę za. Nic jej to wtedy nie przeszkadzało, byli doskonale tępym narzędziem. Nadal milczała. Podeszła do okna i wyjrzała w dół. Ktoś zachichotał, nawet się nie obejrzała. Kiedyś była bardzo inteligentna, zanim fanatyzm przyćmił jej mózg. Musiała zdawać sobie sprawę, że kiedyś ktoś zada jej konkretne pytanie, demagogia w szkole bowiem ma zawsze dwa końce.

- Na przykład „Psy” Pasikowskiego - odezwała się nagle Dorota, szalenie przejęta sobą i swoją pojętnością.

- Obejrzałam ten film razem z chłopcami. Moim zdaniem jest on zaprzeczeniem jakiegokolwiek moralności. Prawda, pani profesor? Odwróciła się od okna. Nie widziała tego filmu, poznałam to po niej. Ale dostrzegła w nim furtkę, przez którą może przejść.



- Przypomnij mi o szczegółach - rzekła oschle.

Dorota spłoszyła się, szczegóły rzadko do niej docierały, chyba że dotyczyły miłości.

- Chłopcy pamiętają - rzekła szybko.

- Bardzo im się film podobał.

Ale ja byłam zakłopotana. Wyeksplopowali. Nareszcie zjawiał się temat, w którym się znakomicie orientowali. Który przerabiali każdego dnia. Przemoc i seks. Piali z zachwytem, koniec z wszelkim tabu, do kąta z hamulcami, mówmy prawdę i tylko prawdę, nawet gdy jest ohydą. Słuchała uważnie. Czekwała na moment, aby wejść w tekst i jakoś go uporządkować. Lecz te małe ciasne główki nie były w stanie przekazać jej bodaj jednego uporządkowanego obrazu. Przekrzykiwali się, cytując ułamki scen. Ona zaś czekała na recenzję, którą mogłaby udoskonalić. Mogło to trwać do końca lekcji, nie wiadomo dlaczego nazwanej wychowawczą, skoro najczęściej dokonywano na niej destrukcji i tak już rozchwianych osobowości.

- Rynsztok! - dał się słyszeć nagle głos Irka.

Zapadło krótkie milczenie.

- Po prostu mocny film! - zawrzasnął Apollo.

- Plugawy! - rzucił Irek.

- Akcja nie toczy się w salonie - krzyknął ktoś spod ściany.

- Ale też nie w rynsztoku! - uciął Irek.

Popatrzył na Morale, odczekał, ale ona nie miała nic do dodania.

- Aby zobaczyć prostytutki w akcji, a w każdym zdaniu usłyszeć słowo zaczynające się na ka, nie muszę iść do kina. Wystarczy, że postoję na rogu Rynku Łazarskiego czy innego bazaru - patrzył nad moją głową w jakiś punkt na ścianie.

Twarz miał zaciętą, a także pełną udręki, ot, jeszcze jeden z prywatnym punktem widzenia na moralność.

- Owszem, film jest wulgarny - przyznała Morale nieco niepewnie. Dodała: - Słyszałam o nim.

- A ja rozumiem reżysera, co chciał powiedzieć - krzyknął Apollo.

- Bo jest dokładnie na twoim poziomie - odpowiedział z pogardą Irek.

- Jest nikła nadzieja, że ty kiedyś dojrzejesz. Lecz dla Pasikowskiego jest już za późno.

Do śmierci zachowa umysłowość piętnastolatka, w dodatku nie przesadnie rozwiniętego.

Morale złapała wiatr w żagle.

- Tak, dzieło sztuki musi przedstawiać jakąś wartość moralną - wtrąciła.

- Nie zgadzam się, pani profesor - zaproponowałam grzecznie.

- W sztuce nie o moralność chodzi. Ani też o estetykę potocznie pojmowaną. Sztuka nie

musi się spowiadać przed takim konfesjonałem, pod warunkiem jednak, że naprawdę jest sztuką. Jeśli jest, to ma własny dekalog, prawda, pani profesor?

- Zmieniłaś punkt widzenia - zauważyła ironicznie.

- Nie zmieniłam - odrzekłam.

- Sztuka jednakże to inna płaszczyzna. Film Pasikowskiego natomiast nie mieści się na żadnej. To nawet nie brukowiec. Lecz i to nie jest dla mnie ważne. Treść może nie mieć znaczenia. Liczy się to, że Pasikowski jest po prostu nieudolnym twórcą. Można by nawet rzec, że nie jest żadnym.

- Uzasadnij! - zawrzasnął Apollo.

- Wątpię, czy zrozumiesz - odpowiedziałam.

- Ale spróbuję. Pani profesor mi pomoże, wszak zna się na dramaturgii. To dramaturgiczne dno, prawda, pani profesor? To pani nas uczyła, że napięcie trzeba stopniować, że trzeba różnicować postaci, że przewód musi być klarowny, nawet gdy rzecz jest odrealniona, że myśl musi być precyzyjnie przekazana. Tymczasem w „Psach” wszyscy mówią podobnie plugawym językiem bez względu na rangę, pozycję, płeć. Co więcej, mówią tak bez żadnej motywacji, co w dramaturgii jest grzechem śmiertelnym, prawda? Odniosłam wrażenie, że reżyser przeczytał w gazetach o ubecji, bo to teraz temat dyżurny. Zorientował się, że jest najwłaściwsza pora rzucić kogoś na pożarcie, cyrk jest pełen i cyrk czeka. Zastosował więc wszelkie znane sobie schematy, nie mając ani o ludziach, ani o faktach żadnej wiedzy psychologicznej czy historycznej. Dla mnie jest to jeszcze jedna historyjka prosto z bazaru, na dodatek nieudolna.

- Rynsztok nawet z najgenialniejszą dramaturgią nie przestaje być rynsztokiem! - odezwał się szorstko Irek.

- Pomyliłeś ogródki - powiedziałam chłodno.

- Zło bywa niekiedy bardzo piękne, a bardzo często jest mądrzejsze od dobra. Ma bowiem w sobie autentyzm. Zawiera prawdę. Prawda nieomal nigdy nie bywa etyczna. Zło Pasikowskiego jest jednak wydumane, dlatego nawet treścią nie może się ta chała obronić.

- Zgarnął jednak nagrody! - zawrzasnął Apollo.

- Bo trąd dotarł nawet do pałacu sprawiedliwości - odrzekłam.

- Rację przyznaje się zgodnie z potrzebą chwili.

Znowu powstał wrzask. Morale przyglądała się klasie pełna niechęci, a największą porcję przeznaczyła dla mnie. Zepsułam jej pięknie zaplanowaną lekcję, nie pierwszy raz zresztą. Mimo to, gdy tak patrzyła na mnie, dostrzegłam w jej oczach cień podziwu, a może obawy, nie jeden raz postrzeżona przeze mnie prawidłowość reakcji znowu się powtórzyła. Nie odczułam

cienia triumfu, tylko niechęć do siebie za całe to przedstawienie sprowokowane zupełnie niepotrzebnie. Dzwonek zamknął usta najkrzykliwшему. Rzucili się do drzwi. Wychodziłam niespiesznie, omal ostatnia. Zatrzymała się przy mnie.

- Byłabyś surowym recenzentem, Zuza - powiedziała.

- Miałabym te same wymagania do wszystkich twórców - odrzekłam.

- Niezależnie od ich barwy i swego prywatnego myślenia. W sztuce bowiem liczy się dzieło, a nie to, kim naprawdę jest jego twórca. To pani słowa, pani profesor.

- Nie sądziłam, że aż tak chłoniesz cudze słowa.

- Tylko te, które pozostają w dysproporcji - odrzekłam. Już odchodziła.

- Z czym? - spytała ostro.

- Powiedzmy z życiem - odrzekłam grzecznie i odeszłam.

Irek szedł za mną, w ostatniej chwili jednakże skrzył w załom korytarza. Apollo dopadł mnie i omal przybił ramieniem do ściany.

- Wiesz, co ci powiem?! - rzekł agresywnie.

- Trzymasz z ubecją!

- Już jej nie ma, dziecko - odrzekłam i wywinęłam się spod jego ramienia.

- Ubecja kaput. Na amen.

Powlókł się za mną. Zachodził mnie to z lewej, to z prawej, popychany przez rozbiegane niższe klasy.

- Właśnie dlatego nie spodobał ci się film!

- Poczytaj sobie, chłopcze, historię policji, francuskiej choćby. Będziesz olśniony wymyślnymi przesłuchaniami trzeciego stopnia, stosowanymi przez Surete jeszcze w czasach de Gaulle'a, a może nawet i dziś.

- Mój ojciec jest dziennikarzem! - przerwał mi agresywnie.

- Już to mówiłeś. Nie chwal się tym tak głośno, też cię już przestrzegałam. To bardziej skompromitowany zawód niż ubecja. Ubecja dokopywała, bo taki jej zawód. Twój tata dokopywał, aby się podlizać, to tylko kwestia etyki zawodowej, jakby to zaszufadkowała nasza ukochana profesor Morale.

Zostawiłam go pod ścianą. Miał dość. Patrzył za mną omal z nienawiścią. Pod drugą ścianą stał Irek, też błądy i zacięty, świat był zaludniony osobnikami, dla których istniał tylko osobisty ekran, na który rzucali swoją dziwnie zaprogramowaną uczciwość.

Korciło mnie, aby podejść do niego i porównać moją z jego, lecz zrezygnowałam. W ostatnim czasie zламаłam wszystkie nakazy nieuczestniczenia. Moja piękna wiara, że postoję sobie ponad, brała w łeb. Nagle zobaczyłam Janę. Stała nie na widoku, lecz schowana w

ogółocone z liści krzewy. Czekala na mnie.

- Wagarowicz nie powinien dreptać po utartym szlaku - rzeklam podchodząc.

- Nie wagaruję. Wypisalam się.

- Z czyją zgoda?

- Mam anemie. Pojadę do ciotki Klary, mama tak chce - wyjaśniła.

- Mama mówi, że tam lepsze powietrze.

- Myślałam, że już nim oddychasz - powiedzialam.

- Miałam gorączkę - odrzekła.

Złapałyśmy ławkę i wniosłyśmy ją głębiej w krzewy. Ale i tak byłyśmy widoczne ze ścieżki.

- Czekałam tutaj na ciebie - powiedziala.

- Mogłaś zadzwonić.

Nie odpowiedziala. Siedziala z opuszczoną głową, jakby zapomniála, po co chciała mnie zobaczyć. Wszystko to pozbawione było sensu, nadal będzie czekała bierna i apatyczna, aż rzecz sama się rozwiąże. A rozwiąże się z całą pewnością za niewiele miesięcy.

- Odesłałam czek - odezwála się.

Zwróciła się twarzą ku mnie. Nie była to już pulchna twarz dziewczyny - dziecka, z brązowymi wilgotnymi oczyma. Była blada, jakby postarzała, koło ust wytworzyła się pionowa zmarszczka.

- Czulałam się jak opłacona - wyszeptála.

- Bo powinnaś być dobrze opłacona - odrzekłam.

Nie zareagowała. Złapałam ją za rękę.

- Jana, każdy musi płacić za siebie. Ty urodzisz dziecko, to będzie twoja pokuta na całe życie. On odpokutuje pieniędzmi. Potrzebne są nie tobie. Dziecku. Temu czemuś, co się urodzi, czy tego chce, czy nie.

- Będę je lubiła - powiedziala cicho.

- Jana, nie o uczucia tu idzie. Kochane czy niekochane, będzie musiało jeść, być ubrane, wykształcone. Odsyłając czek, pozbawiłaś je tego, co mu się prawnie należało.

Przestraszyła się. Już uwierzyła w nowe przestępstwo, popełnione przez siebie. Miałam ochotę potrząsnąć nią, krzyknąć, na Boga, miej nareszcie własne przemyślenia, naucz się mówić nie!

- No trudno - powiedzialam tylko.

- Stało się.

- Wyjadę potem do zakonnicy. Jak myślisz, każą mi pokutować?

- To ty chodzisz do kościoła, nie ja - odrzekłam.

- To ty powinnaś wiedzieć, co to miłosierdzie boskie i ludzkie - urwałam, dostrzegłam lęk w jej oczach.

- Będą dla ciebie dobre - zapewniłam.

- Skoro stworzyły dom dla samotnych matek, to rozumieją sytuację. Poczujesz się u nich mniej winna. Będziesz tam jedną z wielu, a to pomaga. Mogę pojechać z tobą.

- Zrobiłabyś to? - spytała z błyskiem w oczach.

- Spakuj odzież. Bądź gotowa jutro czy po. Dla ciotki Klary coś wymyślimy. Wezmę naszego gruchota i zawiozę cię, dopóki się jeszcze toczy na tych swoich kółkach.

- Matka ci pozwoli?

- A twoja? - odrzuciłam.

Znowu dostrzegłam strach w jej twarzy.

- Wymyśl coś dla matki. Uwierzy ci, bo chce uwierzyć.

Spojrzała szybko, ale nie rzekła słowa.

- No to kiedy? - spytałam.

- Nie wiem. Zatelefonuję do ciebie.

Popatrzyłam za nią. Odchodziła nieco ociężale. Nigdy nie miała lekkich ruchów, jak każda flegmatyczna dziewczyna, poruszała się zawsze jak na zwolnionym obrazie, ale był w tym jakiś naturalny wdzięk. Teraz wdzięk przeminął, ścieżką oddalała się przyciężkawa postać, z tyłu dużo starsza od swojej twarzy. Trzasnęłam pięścią w ławkę. Z bocznej alejki wynurzył się Irek. Byłam pewna, że obserwował nas obie siedzące w ukryciu. Miał jednak tyle taktu, że nie podszedł. Wstałam, zaszedł mi drogę.

- Siadaj! - rozkazał.

Zastanowiłam się. Miał rozpacz w oczach.

- Siadaj! - powtórzył.

Usiadłam. Patrzył przed siebie, oddalony raptem ode mnie.

- Mam wrażenie, że chcesz czegoś ode mnie - odezwałam się.

- Sądziłam, że wyczerpaliśmy wiadomy temat.

Spojrzał na mnie wrogo. - Masz własne dziesięcioro przykazań, z boskimi się nie liczysz!

- rzekł oskarżająco.

- Nie mam żadnych, dziecko.

- Jesteś przewrotna. Perfidnie przewrotna. Prowokujesz rozmowę, potem zmieniasz w niej punkt widzenia, jak ci wygodnie.

- Za kim się ujmujesz? Za Morale? - spytałam.
- Akurat w jej przypadku nigdy nie zmieniam zdania.
- Ona jest równie niebezpieczna jak ty - powiedział.
- Ma bzika na punkcie etyki, jak ty na punkcie jej braku.
- Złe porównanie. Jej obsesja wypływa z niedoskonałości. Jest zakłamana, ale czuje to.

Stąd wpiera nam inny obraz swojej osoby.

- A twoja obsesja wypływa z doskonałości, to chcesz powiedzieć? - rzekł zgryźliwie.
- Nie mam obsesji. Ale jestem doskonała - odrzekłam.

Patrzył na mnie w milczeniu, z gniewem i rozpaczą w oczach.

- Nie oceniaj książki po okładce - powiedziałam.
- Co w twojej jest zapisane, już odgadłem - odparował.
- Wskocz więc na katedrę i wygłoś odczyt o mnie!
- Nie mogę, dobrze wiesz! Ale nie o tym chcę mówić. Co z Janą?!
- To co jest.
- Przyznajesz, że jest w ciąży?!
- Tego nie powiedziałam. Złapał mnie za rękę i ścisnął z całej siły.
- Jest?! Tak?!

- Skoro nade wszystko lubisz prawdę - odrzekłam wyrywając rękę.

Obejrzałam zbiegające palce, zaczęłam masować je bez pośpiechu, on zaś patrzył na mnie z nienawiścią - znajdź sposób, aby ta prawda była łatwiejsza do zniesienia.

- Zostać matką w jej wieku to zbrodnia! - wykrzyknął szeptem.

Rozejrzał się, ale dróżka była pusta, siedzieliśmy sami w grudniowej mżawce.

- Ale dokonana. Niestety - odrzekłam.
- Był jednak czas, prawda? - zaszeptał przysuwając się do mnie.
- Była dogodna pora. Dlaczego jej nie pomogła, dlaczego nie wpłynęłaś, aby... aby... -

urwał.

- Aby co? - spytałam spokojnie.

Nie odpowiedział. Wyglądał na człowieka, któremu wszystko się poplątało. A który na gwałt zbiera argumenty, aby wygłosić akt oskarżenia, ponieważ jest to jedyna metoda, by uspić własny niepokój.

- Słucham ciebie od dawna na różnych lekcjach - zaczął.
- Bardzo uważnie śledzę, co mówisz. Dla ciebie liczy się głównie mechanizm rzeczy.

Mechanizm sztuki, życia, człowieka, ot, kółeczka kręcące się zgodnie z zaplanowaną dramaturgią. Rynsztok czy zbrodnia to dla ciebie tylko fakty lepiej lub gorzej zainscenizowane.

Zjada cię zimna ciekawość, co z czego może wyniknąć.

- Zgadza się - potwierdziłam.

- Wszystko da się zaprogramować, ponieważ sami zostaliśmy zaprogramowani. Każde uczucie, każde przeżycie, nawet kod genetyczny pozwalają sobą pokierować. Nie kryję, chętnie bym się przyłożyła do tego ostatniego. Wprowadzić zmiany do kodu, to jest coś, nie uważasz?! Moje mutanty składałyby się z rozbudowanego mózgu. Panienek z dziećmi i smarkaczy teoretycznie moralnych między nimi by nie było!

- Ty jednak mogłaś jej pomóc nie tylko teoretycznie! - rzekł.

- Jana ma na sobie gorset z hartowanej stali. Dramat w tym, że jej pobożność jest autentyczna. Wstałam. Ściągnął mnie w dół.

- Pójdę do nich! - rzekł przez zęby.

- I powiesz im, co wiedzą.

- Nie wierzę - powiedział omal ze zgrozą.

- Aż tacy nie są.

- Znowu oceniłeś po okładce - odrzekłam.

Wstałam. Już nie ściągał mnie w dół. Przytrzymał tylko za rękę. Patrzył w górę autentycznie wstrząśnięty i nieszczęśliwy.

- Coś trzeba zrobić - rzekł.

- Podpowiem ci, co. Zaproponuj jej małżeństwo. Ożeń się z koleżanką w trybie przyspieszonym. Ojculek twój da ci błogosławieństwo, wystarczy go aluzyjnie zaszantażować, nic więcej. Biercie oboje ślub, a potem lećcie na samo dno śmieszności!

Siedziałam na brzegu wanny, naga, zziębnięta, z półwysuszonymi włosami, i układałam wciąż od początku to, co się w żaden sposób ułożyć w sensowną całość nie dało. Uczynić ze swego życia ofiarę jest takim samym nadużyciem, albo dosadniej, wynaturzeniem, jak egoizm. Gdzieś na samym dnie bowiem, pod grubą przykrywką rozrzewniającej bezinteresowności, tkwi wyrachowanie, chciwe oczekiwanie na wdzięczność. Na szczodłą spłatę długu. To małe, jeszcze nie narodzone, też będzie musiało go spłacić, bo przecież bez ślicznej matczynej miłości i jeszcze śliczniejszego poświęcenia, nie byłoby go na świecie. Głupia, po tysiącokroć głupia Janina!

- Wszystko w porządku?! - zawołał Piotr przez drzwi.

Nie słyszałam, kiedy wrócił. Nie zajrzał do łazienki, przechodząc, nawet nie zapukał. A teraz stał tam w korytarzu nieco zaniepokojony, widać rozmawiałam ze sobą półgłosem, to mi się ostatnio czasem przydarzało.

- Już wychodzę - odrzekłam.

Wyciągnęłam korek z wanny. Ubierałam się szybko. W całym ciele czułam chłód, nierozczesane włosy nie wyschły, za dużo ich było, ich spiętrzona czerń była jeszcze głębsza niż zwykle. Spoglądałam w zaparowane lustro najpierw bezmyślnie, potem z rosnącą uwagą, lecz wciąż patrzyły na mnie te same oczy, opanowane oczy, jak zawsze. Piotr siedział na swym ulubionym fotelu pod stojącą lampą. Czytał list, może dawny, może nowy, zapowiadający powrót cudowności w ich intymnym życiu.

- Od mamy? - spytałam.

Spłoszył się. Udawałam, że nie dostrzegam zmieszania.

- Jest coś i dla mnie, tato?

- Zawsze jest! - zapewnił szybko.

Ale nie dał do poczytania. Przekazał serdeczności. Zapowiedział, że list specjalnie dla mnie jest w drodze. Mówił długo, swoim pięknym, pięknie wyciszonym głosem.

- Nie musisz mnie zapewniać, tato - rzekłam ze śmiechem.

- Nigdy, ale to nigdy, nawet przez moment, nawet w odległych czasach, nie pomyślałam, że stoję między wami.

- Bo tak nie było - odrzekł.

- Zresztą - dodał - stanie między dwojgiem może oznaczać, że się zajmuje uprzywilejowane miejsce, bo to pośrodku.

- Wiem - zapewniłam.

- Wszyscy troje pojęliśmy od początku, co komu jest przeznaczone. Zamilkł. Patrzył zaskoczony takim obrotem słów.

- Zdumiewasz mnie - odezwał się wreszcie.

Usiadłam w fotelu vis - a - vis. Wiedziałam, że pomarańczowy krąg światła nadaje moim włosom dziwny połysk. Dostrzegłam też, że poranniczek rozchylił się nieco szerzej, ale nawet nie spojrzałam w dół na obnażone udo. Za to on spojrzał. Było to spojrzenie szybkie, podświadomie ukradkowe i zaraz spłoszone, jakby się na czymś przyłapał. Tego dotąd nie było. Dotąd nie miałam nóg.

- Czym? - spytałam.

Nie odpowiedział zaraz. Spoglądał nad moją twarzą w jakiś punkt na ścianie. Poprawiłam porannik, ale tylko na tyle, aby przy najmniejszym ruchu mógł się znowu obsunąć.

- Zawsze byłaś rozsądną dziewczyną - powiedział.

- Nie przypuszczałem jednak, że rozumiesz aż tyle... ze spraw, których wielu dorosłych nie rozumie.

- Musiałam być rozsądna - odrzekłam - bo gdyby enpe nie było wam dobrze ze sobą z



mojego powodu, odszedłbyś. A ja zostałabym na lodzie. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak to niemiło być dzieckiem samotnej matki.

- Nigdy bym nie odszedł. Przynajmniej nie z takiego powodu.

- Fizycznie może nie - zgodziłam się - lecz każdego dnia miałbyś nam za złe, że musisz tkwić między nami. Za brak swojej odwagi obwiniałbyś nas.

- Odejście nie jest tylko kwestią odwagi.

- Zgoda. Ale głównie.

- Zuza! - zaczął i umilkł.

- Wiem, co chcesz powiedzieć - odezwałam się po chwili.

- Odpowiedzialność, przyzwoitość i tak dalej. Ale to tylko słowa, tato, nic więcej. Potem się mówi, musiałem, to było silniejsze ode mnie, i znika się z horyzontu. A nasze sumienie puka w konfesjonał na znak rozgrzeszenia.

- Bywają sumienia, które nigdy nie odpukują - zauważył.

- Tak, to brzmi pięknie - przyznałam.

Poruszyłam niechcący nogą, poła poranniczka znowu osunęła się i znowu ujrzał moją długą nogę aż po samo udo. Dostrzegł to kątem oka, bo musiał, nie miał wyboru. Lecz tym razem nie zmienił wyrazu twarzy. Wstał bez pośpiechu na dźwięk zbawczego telefonu. Tam, z czerwoną słuchawką przy uchu, rozbłysnął. Tak, kochanie, także czekam niecierpliwie, to kiedy konkretnie wracasz? Wysłałam z pokoju. On tymczasem przemawiał czule do słuchawki, jakby rozmowa z Danutą mogła zatrzeć w nim to, co ujrzał i co pomyślał. Od trzech tygodni byliśmy sam na sam pod jednym dachem i właściwie chwilami nie było już istotne, na kogo i na co czekał. Przygotowałam kolację, jaką lubił. Niskokaloryczną, kolorową od dodatków. Układałam to wszystko na talerzach, nie próbując przytłumić szalonego strumyczka, który zaczął się wyzwałać we mnie.

- Mama cię prosi - zawołał Piotr z pokoju.

Podeszłam. Miała głos mile podniecony, już liczyła dni do powrotu, podkreśliła to kilka razy. Spytała też, co robimy w zimowe wieczory, a ja odrzekłam żartobliwie, że nie nudzimy się, może mi wierzyć. Na ułamek sekundy zapadło milczenie. Potem zapytała również żartobliwie, czy grywamy w szachy.

- Oczywiście. Namiętnie - odrzekłam.

- Ale mata jeszcze nie było. Stale jest remis.

Znowu umilkła na mgnienie.

- No i dużo rozmawiamy - dodałam.

- Doprawdy? - zdziwiła się.

- Nigdy nie byłaś rozmownym dzieckiem. Jak się to Piotrowi udaje?

- Pewnie dlatego, że przestałam być dzieckiem - wyjaśniłam.

Czułam fizycznie, jak ona tam traci oddech.

Dodałam wspaniałomyślnie:

- Szesnastolatki są na ogół gadatliwe. Nawet takie jak ja.

Opowiedziałam jej dla uśmierzenia jedną ze szkolnych dykteryjek wymyśloną na poczekaniu. Podbudowało ją to ogromnie. Zaśmiała się, szczerze ubawiona.

- Przestraszyłaś mnie tą swoją nagłą dorosłością - wyznała.

- Ale widzę, że pozostałaś tą samą szkolną dziewczynką.

- Tak zupełnie to nigdy nią nie byłam, mam - odrzekłam.

- Tak jak ty nie byłaś nigdy zwykłą sobie facetką.

Zwykła sobie facetka rozśmieszyła ją znowu. Poczula się całkowicie rozluźniona. Powtórzyła kilkakrotnie, zwykła sobie facetka, no wiesz, Zuzo, po czym również kilkakrotnie dodała, no to pa, kochanie, do zobaczenia. Rozłączyliśmy się. Piotr stał w progu kuchni i słuchał.

- Mam być dla ciebie dobra. Mama nakazała - powiedziałam mu.

- Jesteś - odrzekł, wskazując na ładnie zastawiony stół.

- Czyli trafiam do ciebie choćby przez żołądek.

- Bez niego też - zapewnił.

- Wprawdzie jestem tylko słabym mężczyzną - ciągnął żartobliwie - lecz potrafię być bezinteresowny.

- Jak miło to słyszeć - rzekłam dwornie i wykonałam równie dworny ukłon.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Zaczęliśmy jeść. Mały campingowy telewizor stał na kredensie emitując dziennik wieczorny. Uwolniło to nas od rozmowy. Spiker dość emocjonalnie, jak na nowy telewizyjny styl, powiadomił nas o strajku górników. Nie komentował, oduczono go tego. Przemawiał z dobrą dykcją i tylko gdzieniegdzie podkreślał tonem, jak bardzo należy ubolewać nad tą zerową świadomością obywatelską.

- Zapomnieli o jeszcze jednym postulacie - odezwałam się. Piotr spojrzał pytająco.

- Że nie zjadą do pracy pod ziemię. To niebezpieczne.

Roześmiał się, ale zaraz spoważniał.

- To jest niebezpieczne, Zuzo.

- Sami wybrali ten zawód, prawda? I to z całym jego inwentarzem. W klasie nazywamy ich „rozpaskudzonymi beniaminkami Gierka”.

Znowu się roześmiał.

- Bawią cię politycy tak zwanych niższych rzędów? - spytałam.

Zastanowił się.

- Niekiedy przerażają.

- W mojej klasie świadomość obywatelska równa się zeru. Ta na sali sejmowej ma chyba nawet wartość ujemną. To może niepokoić, przyznaję.

- Nie dostrzegłem dotąd u ciebie bezkompromisowości.

- Nie wiesz przypadkiem, dlaczego widzenie rzeczy w jej właściwych kolorach, nazywa się bezkompromisowością?

- Masz rację - przyznał.

- Lecz skoro masz taką ostrą świadomość rzeczy, dlaczego wybierasz nie politologię na przykład, lecz medycynę?

- Bo tylko ciało jest prawdziwym źródłem wiedzy o człowieku. Popatrzył zaskoczony.

- Czy to nie zbyt wielkie uproszczenie?

- W żadnym razie - zapewniłam.

- Użyję prozaicznego przykładu. Jeżeli, na przykład, w tobie, człowieku bądź co bądź dosyć wzniosłym, odezwie się dotkliwie wątroba, potrafisz nadal być taki wzniosły?

Wybuchnął śmiechem.

- Nie przypuszczałem, że jestem wzniosły.

- No to wspaniałomyślny. Potrafiłbyś mieć wielkie gesty, gdy rozrywa cię w dołku?

- Raczej nie - przyznał ze śmiechem.

- No widzisz! - podsumowałam z triumfem.

- Ciało, ciało i jeszcze raz ciało określa człowieka. Dałabym głowę, że prawie nie ma tu wyjątków.

Nie roześmiał się tym razem. Dziobał widelcem po talerzu, jakby niechętny. Coś mu przyszło do głowy, nawet domyślałam się, co. Zmniejszyłam dekolt w luźnym poranniczku. Obciągnęłam dół, chociaż nogi były dokładnie ukryte pod stołem. Czyniłam to taktownie, bez cienia ostentacji, żadnej aluzji nie mógłby się w tym gościu dopatrzeć, ale jednak się dopatrzył.

- Masz mi coś za złe, tato? - spytałam.

Nie odpowiedział. Wstał, nalał sobie herbaty. Potem jeszcze dokroił chleba. A potem wyciągnął ser z lodówki, edamski, którego nie znosił. Potrafiłam go zrozumieć. Bardziej odpowiadała mu dawna mała córeczka, choćby tylko w połowie własna. Milczące dziecko, które nigdy nie zdradzało swoich myśli. Które wydawało się być nie tyle ufne, ile rozsądnie akceptujące. Naprawdę rozumiałam go. Nie ma nic bardziej irytującego, niż dorastająca, mędrkująca córka, bo tak odczytywał moje słowa. Na domiar doznawał jakichś nowych uczuć,

patrzac na mnie. Musial ich doznawac, nie byl mutantem, natura nie obesla sie z nim jak ze szlachetnym wyjatkiem. Na ekranie ukazal sie teraz nasz uroczy hipopotam i swym polamanym glOSEM zaczal przekonywac, ze nie jest wcale tak zle, jak wyglada, wszystko to tylko pozory, pozory i jeszcze raz pozory, prawda i nadzieja czekaja dopiero na koncu tej slusznej drogi, ktora wlasnie kroczy my. Lecz i jemu poplatalo sie ludzkie milosierdzie z racja stanu, marzenie z rzeczywistoscia, i oto z ekranu patrzyla na mnie twarz czlowieka porazonego bezsilnoscia.

- Lubię go - odezwałam się.

- Ale nawet gdybym się w nim kochała, umiałabym opowiedzieć się przeciw, gdyby tego wymagała jakaś wyższa racja. A oni wszyscy, omal bez wyjątku, tego nie potrafią.

- Tylko ci się tak wydaje - odrzekł z roztargnieniem.

Nie spytałam, w czyją żelazną konsekwencję powątpiewa, moją czy polityków. Wstał bowiem i podziękowawszy za piękny stół, wziął się do zmywania szklanek. Przebiegłam ulicę, kończąc bieg długim poślizgiem. Nie upadłam jednakże. Zza potężnej ciężarówki wyłoniła się karetka pogotowia. Cofnęłam się na drugą stronę.

W bramie kamienicy dostrzegłam mały tłum. Na chodniku stało sporo starych kobiet, wpatrywały się w okna na piętrze. Nie znam przeczuć, znałam jednak sytuację. Spojrzałam w górę, okna Jany były zasłonięte. O ósmej rano w tym domu nigdy się już nie spało. O tej godzinie, kto żyw musiał już chwalić Pana Boga choćby tylko cichą modlitwą. Popatrzyłam raz jeszcze. Nagle zdecydowałam się. Przecięłam ulicę po raz drugi, szkło lodu chrzęściło pod moimi butami, samochody tańczyły na jezdni, gapiom przymarzły zelówki do chodnika, ale nie odchodzili. Już osiągnęłam bramę. Wylot jej został nagle zatkany przez dwóch sanitariuszy z noszami. Twarz Jany była kredowo biała. Spojrzała na mnie jak zza mgły.

- Odejdź! - huknął na mnie pielęgniarz.

Nie odeszłam. Jana złapała mnie za rękę i już nie puściła. Tak we czworo dotarliśmy do karetki. Zanim wsunęli nosze do wnętrza sanitarki, pochyliłam się nad Janą. Coś szeptała.

- Nie chciałam jej przerazić... Ale było za zimno...

Nie pojęłam od razu. Trzask zamykanych drzwi, szum odjeżdżającego samochodu otrzeźwił mnie na chwilę tylko. Nadal nic nie pojmowałam. Z bramy wyszło kilku policjantów. Cofnęłam się. Za szybą na pierwszym piętrze majaczyła twarz matki Janiny. Lecz zaraz cofnęła się, jakby w panice. Zrozumiałam. To nie było tylko przedwczesne rozwiązanie. To było coś z pogranicza horroru. Ruszyłam w stronę podwórka. Małą bramą, którą tyle razy wbiegałyśmy z Janiną, chcąc uniknąć kontrolujących spojrzeń jej matki, przedostałam się na kuchenne schody. Drzwi do kuchni były otwarte. Próg był zalany krwią. Stałam i patrzyłam.

- Nie zdążyła umyć. Tylko łazienkę zdążyła.

Siostra Jany stanęła w drzwiach wiodących w głąb mieszkania. Na nocną koszulę zarzuciła czerwoną bluzę dresu. Dygotała nie tylko z zimna.

- Nie zdążyła! - powiedziała po raz drugi.

Głos miała drewniany. Było w nim osłupienie. Czekałam.

- Akurat dzisiaj musiał być pierwszy mróz - powiedziała.

Doskoczyłam do niej. Złapałam za ramiona.

- Gdzie dziecko?!

Popatrzyła na mnie tępo.

- W folii - odrzekła apatycznie.

- Nie umarłoby, ale ten mróz, rozumiesz?... Akurat dzisiaj musiał przyjść mróz...

Puściłam ją. Moje ciało było ciałem obcej osoby. Stałam na cudzych, odrętwiałych nogach, z cudzą głową na ramionach, lecz to, co przewijało się przez nią, było szybkie, precyzyjne i pełne wzdargi.

- Powiesz ją za to? - spytała, patrząc na mnie oczyma, które teraz już tylko kolorem przypominały oczy Jany.

- Ciebie powiesz! - odrzuciłam mściwie.

- Ciebie i twoją matkę. I cały ten cholernie zakłamaną dom!

Ruszyłam za nią. Zeszła mi pospiesznie z drogi, a ja kroczyłam przez mieszkanie puste, jak wymarłe, nawet ich brat, wścibski gówniarz, nie pokazał się ani na moment. Drzwi łazienki były otwarte. Kafle i posadzka błyszcząły od wilgoci, jakby je przed chwilą obficie spryskano wodą. W pokoju siedziała matka Jany. Na mój widok wstała raptownie. Nie zatrzymałam się, nawet na nią nie spojrzałam.

- Zaczekaj! - zawołała cicho.

Przystanęłam. Podeszła do mnie, miała twarz nawiedzonej.

- Wiedziałaś! - powiedziała oskarżająco.

- Wiedziałaś na pewno! Ukrywałaś to przede mną!

Cofnęłam się przed nią. Następowwała na mnie, powtarzając, wiedziałaś, wiedziałaś, a kiedy tak krzyczała, uwalniała się stopniowo z poczucia winy, jeżeli w ogóle wiedziała, co to jest takiego. W pewnej chwili poczułam za sobą ścianę. Zatrzymałyśmy się. Patrzyła na mnie z nienawiścią. Uniosła rękę. Uśmiechnęłam się, wkładając w grymas całą mściwość i całą pogardę. Znieruchomiała z uniesioną dłonią. Odsunęłam ją szorstko i poszłam do drzwi. Usiadłam w parku na naszej ławce. Pokryta była szklivem, już po chwili poczułam, że do niej przymarzam. Nie wstałam jednak zaraz. Podłożyłam tylko gazetę, a potem dwa podręczniki. Patrzyłam bezmyślnie na drzewa oszklone mrozem, na gładź pokrywającą ścieżki, na cały

jakby zatrzymany w czasie obrazek...

Ciągle słyszałam, że gdyby nie ten nagły po ulewnym deszczu mróz, gdyby nie on. Wróciłam do domu. Cisnęłam teczkę na krzesło, usiadłam w fotelu Piotra, było mroczno, ołowiane chmury pełzały po dachach, mgła oblepiała szyby, była dziewiąta, a ona urodziła gdzieś nad ranem. Urodziła absolutnie sama, w łazience, a one obie, matka i siostra, i ten trzeci, smarkaty brat - niczego nie słyszeli, żadnego jęku, niczego, nawet odgłosu sprzątanania, ani stukotu otwieranych kuchennych drzwi, którymi zeszła na podwórko. Niczego nie usłyszeli, niech im ten litościwy Bóg odbierze odtąd sen na zawsze, a zostawi pamięć. Co z tego, że urodziło się przedwcześnie, że być może nie miało szans, że był któryś tam grudzień i pierwszy w tym roku mróz, skoro mogło być inaczej, chociaż dla niej, chociaż dla niej...

Dzwonek u drzwi odzywał się raz po raz, coraz gwałtowniej. Otworzyłam, nie sprawdzając. W progu stał Irek. Chwilę patrzyliśmy na siebie, wyglądał jak zjawą. Odtrącił mnie, wszedł do środka, kierując się wprost do pokoju. Stał przy oknie i zapatrzył się w ulicę prawie niewidoczną we mgle.

- Widziałem ciebie przed jej domem - powiedział, nie odwracając się.

Usiadłam w fotelu Piotra. Patrzyłam w plecy Irka równie tępo, jak on spoglądał w ulicę. Nagle dostrzegłam, że płacze. Trwało to chwilę, zanim się opanował.

- Znasz nazwisko? - spytał.

- Nie.

- Znasz. Na pewno ci powiedziała, kto jest sprawcą.

- Nie.

- Tobie się taka rzecz przydarzyć nie mogła! - wykrzyknął cicho.

- Dlaczego mi nie zaufała?!

- Prosiłeś ją o to?

Zamilkł. Obrócił się znowu plecami do mnie. Poszłam do kuchni. Gdy wróciłam z dwiema szklankami herbaty, już siedział w fotelu vis - a - vis mnie. Twarz miał nieobecna. Postawiłam szklanki na stole, oparłam głowę o fotel i tak przesiedzieliśmy godzinę. Wreszcie wstał, wychylił duszkiem zimny płyn, poszedł ku drzwiom, ale zaraz zawrócił, usiadł na powrót w fotelu.

- Łączyła mnie z nią dziwna nić - odezwał się cicho.

- Gdy tylko na nią spojrziałem, musiałem się uśmiechać...

Była taka inna i za to zapłacała. Nie odezwałam się.

- Zapłacała za twoją obojętność. Za moją głupotę. Za chamstwo tamtego drania. I za przerażającą obłudę swojej matki.

Nie miała szans, żadnych szans. Milczałam.

- Odezwij się! - zaatakował.

- Zawsze masz na wszystko gotową odpowiedź. Znajdź ją i teraz! No, znajdź!

Dlaczego?!

- Właśnie sobie odpowiedziałeś - odrzekłam, słysząc, ku swemu zdumieniu, wielkie znużenie w głosie.

Wstałam. On zaś siedział nadal, mieszał w pustej szklance, poruszając bezdźwięcznie ustami. Był jak żaloszny strzęp, lecz nadal nie pojmował, że z wszystkiego się wyrasta, z cudzej łagodności, z cudzego uroku też. To, co było teraz w Janie zniewalające dla niego, za lat kilka stałoby się tylko mdłą łagodnością, czymś, co zmuszałoby go omal każdego dnia do ogłuszania białych ścian nienawistnym krzykiem. Tak, właśnie tak by się z nimi stało, byli jak ogień i woda, podobni do siebie tylko przez swą młodość.

- Jesteś omyłką natury. Jak ona - odezwałam się.

- Życie niebawem naprawi ten błąd. Proś Boga, aby mniej okrutnie!

Spojrzał na mnie. Nadal nie rozumiał, złapał powierzchnię słów, nic więcej.

- Ty też jesteś omyłką - rzekł.

- W jakimś sensie, na pewno.

- Ona była... - zawahał się. Dodał wstydliwie:

- Taka czysta.

- Czystość to bardzo często tylko brak popędu - odrzekłam.

- Nie ty możesz mówić o czystości - powiedział agresywnie.

- Dochodzi się do niej różnymi drogami - odrzekłam.

- Mogłabym wstąpić do klasztoru o najsurowszej regule. Nie jesteś w stanie pojąć tego, nie jesteś w stanie w ogóle pojąć czegokolwiek, nie rozumiesz nawet tego, dlaczego przydarzyło się to właśnie Janie.

Przycichł. Raptem przytłoczył go ciężar odpowiedzialności, który przerzuciłam na niego. Patrzył teraz na mnie przerażony, lecz nadal niewiele rozumiejący.

- Idź już! - powiedziałam niechętnie.

- Męczy mnie twój widok.

Ruszył do drzwi bez słowa. Zatrzasnął, zleciał na łeb na szyję ze schodów, słyszałam ten tupot aż w pokoju. Nie wyjrzałam za nim przez okno, nie było po co. Biegł zapewne nadal, swoim długim krokiem, z głową wysuniętą do przodu, nie dbając o pojazdy tańczące na jezdni. Sam pewnie nie jeden raz zatańczył po ulicznym szkłe i oby rozwalił na pierwszym zakręcie ten swój inteligentny nic nie rozumiejący łeb. Jak zawsze weszłam do wanny. Była dwunasta,

mogłam więc spokojnie przeleżeć wiele kwadransów w stygnącej wodzie, uzupełniając ją co pewien czas gorącą. Spoglądałam bezmyślnie na swoje zaróżowione ciało, które później, pod wpływem chłodu stawało się podobne do masy perłowej. Niektórzy dranie wpatrywali się z osłupieniem w tę olśniewającą czystość, jakby nie mieli odwagi jej zniszczyć. Żaden nie chciał się przyznać nawet przed sobą, że właśnie tego szukali, dziwki w anielskim ciele. Wielka szkoda, że nadal rosnę, albo mi się tylko tak wydaje. Zbyt wysokie dziewczyny nie budzą wzruszenia, nawet gdy są jeszcze wiotkie jak bambusy. Jana nigdy nie była szczupłą. Jej karnacja była karnacją dobrze odżywionej dziewczyny. Lecz musiało coś w niej być, na pewno było, skoro przyciągała jak magnes różne męskie opiłki, punkty rozrzucone chaotycznie, z którymi nie dałoby się jej połączyć żadną linią prostą na żadnej płaszczyźnie.

Drzwi stuknęły cicho, Piotr wrócił wcześniej. Ciche kroki oddaliły się do pokoju, potem doszła mnie ściszone fuga Bacha. Zawsze jej słuchał, gdy go coś dręczyło, coś, co określał żartobliwie ssaniem w dołku. Czekałam, aż zastuka do drzwi i zaanonsuje jak zwykle, że oto już przybył, już jest. Ale on spacerował cicho po przekątnej pokoju, wsłuchany w Bacha. Bacha kochali dziś wszyscy, Bacha tańczyli łyżwiarze, Bacha wyskakiwano na parkietach, Bach wyszedł z kościołów i sal koncertowych prościuteńko do ludu, jeszcze trochę, a prześwięci z dyskotek wrzaskliwych jazzmanów i innych. To tylko kwestia chwilowej mody i snobizmu, krytykował Irek i też słuchał Bacha.

Tylko z Janą nie rozmawiało się o Bachu. Ani o Norwidzie. Jana zakrzepła na etapie Asnyka, można by rzec, to on ją zgubił, on i ta cała sentymentalna reszta ze swoją egzaltacją, której sami nie brali serio. O czym rozmawiałby z nią Irek za rok, za dwa, przecież nie mógłby w imię wielkiej miłości karmić się całe życie Asnykiem i Żeromskim, on ich już dzisiaj nie trawił. Nie jej niewinność czyniła ją taką, jaka była. I nie dosłowność, z jaką przyjmowała każdą naukę. Była po prostu anachroniczna, absolutnie anachroniczna, przecież nawet najprymitywniejsze organizmy wytworzyły w sobie jakiś system obronny, jakieś reakcje, umiejętność stapiania się z tłem, podczas gdy ona wyrzynała się z niego, czyniąc z siebie kuszącą propozycję. Można by rzec, miała w sobie przejrzystość kryształu bez jego twardości, i to się na niej zemściło, dała się odstrzelić jak Bursztynek.

Nie masz pojęcia, powiedział do mnie Irek, ten oszołomiony sobą głupiec, czym jest myśl cięższa od kamienia, że się czemuś nie zapobiegło, czemuś, co nie musiało stać się nieodwracalne. Obcy ci jest stan nieważkości, gdy już nie sterujesz sobą, gdy tylko płyniesz, unoszona obsesją winy. Obsesja winy, mój głupcze, jest niczym w porównaniu z zagrożeniem i bezsilnością. On przeszedł przez to. Jego mała mądra głowa dawno już poznała wartość swoją w cenniku ludzi. Wiedział, bo musiał wiedzieć, że przyznali sobie samozwańczo jedyne prawo



do określania, co jest na świecie potrzebne.

A mimo to zjawił się po długiej nieobecności na zielonej polance, na której był z daleka widoczny. Wypełził z gąszcza chudy, wlokący za sobą przetrąconą nogę, przerażający strzęp niedawnej wspaniałości. Wzbudził litość i wstręt u tych, co spoglądali na niego od progu. Nawet na nich nie spojrzął. Siadł opodal leżaka i zapatrzył się w dziecko. Poczekaj, wyszeptano do niego, zaraz tu wrócę. Postawiła przed nim talerz. Nie rzucił się nań, chociaż żebra przebijały futerko. Popatrzyli na siebie po raz pierwszy z wielkiej bliskości. Zaczął jeść powoli, cały czas wpatrując się w znieruchomiałe dziecko. Nie było to wymierzanie uczuć, jak kiedyś wzajemnej ciekawości. To było coś z samej głębi. Smakowało ci, zaszeptano dziecko. Ustawił ogon jak pióropusz i wykonał obrzędowe ruchy podziękowania. Mała mądra głowa skierowana była ku dziecku, oczy patrzyły bez zmrużenia. Nagle zrobił ruch, powolny, pełen bólu, ale zdecydowany. Dotarł do dziecka, popatrzył nań lekko w górę, z pewnością to aberracja, lecz w żółtych taflach dziecko dostrzegło tyle miłości, ile nie widziało jeszcze u nikogo. Wtem pochylił się, oparł głowę na kolanach klęczącego dziecka i trwali tak chwilę nieporuszenie, oboje wiedząc, iż nie jest to akt poddania ani też akt wdzięczności, do której był bardziej zdolny niż ci wszyscy razem stojący w progu.

Był to po prostu dowód całkowitego zaufania. I dziecko je zawiodło. Nie zrozumiało w porę okrzyku grubej baby, uważaj, mała, bo może cię zarazić! On zrozumiał. Nawet się nie obejrzał. Wycofał się powoli w gąszcz, potem jeszcze chwilę spoglądał stamtąd na klęczące dziecko, jak ono spoglądało na niego. I zniknął. Ustrzelili go, jak Janinę.

Została po nich obojgu tylko wysoka trawa, zamykająca się nad rudym płomieniem, dotyk łapek lżejszy od muśnięcia motyla, niewypowiedziana mądrość bursztyków, biel łóżka i twarz jeszcze bielsza od pościeli, pozbawiona życia. Tak, tylko to pozostało, lecz i tak jest za dużo do dźwigania.

Wyciągnęłam korek z wanny. Woda bulgotała cicho, przysiadłam na brzegu, trzęsąc się z zimna. A może to nie chłód potrzasał moim ciałem. Przez drzwi wciąż pobrzmiwała fuga Bacha, może słuchał jej siedząc, a może nadal spacerował, udając, że nie słyszy mnie, krzątającej się w łazience. Odkąd pamiętam, kąpałam się godzinami. Woda była dla mnie tym, czym dla niego Bach, tak mu to kiedyś wyjaśniłam. Lecz okazało się, że dzisiaj woda nie stała się balsamem dla mnie, tak jak muzyka nie stała się dla niego. Zmienił się prawie niedostrzegalnie, ale jednak zmienił się, czułam to wyraźnie. W przeciwnym razie zapukałby przecież do drzwi, jak to czynił do niedawna.

Czyżby gra go wciągnęła, do czego nie chciał się przyznać nawet przed sobą. Przecież mógł ją każdej chwili przerwać, miał do tego prawo, mógł nazwać mnie zbikowaną smarkułą,

dokładnie jak to uczynił z klasą nasz prześliczny, acz rubaszny geograf. Co jest, gówniary, powiedział stając przed katedrą, skończcie z tym przykukiwaniem biednego belfra, skończcie z kręceniem tyłkami, wasz geograf nie jada zielonych jabłek nawet w najintymniejszej wyobraźni. Nikt się nie obraził, zakochały się w nim jeszcze gwałtowniej, acz platoniczniej. Stałam na wannie, aby zawiesić pod sufitem wypraną bieliznę. Lustro odbiło moje nagie, wygięte ciało i twarz osłupiałego mężczyzny.

- Cześć, tato - powiedziałam swobodnie, po czym zeskoczyłam z wanny.

Umknął. Zatrzasnął drzwi. Krzyknął, że przeprasza, a w głosie miał panikę. Nie był anachronizmem ten mój przybrany ojciec. Był jak najbardziej z tej epoki. Bezwiedność nie leżała w jego zwyczajach, z całą pewnością wiedział, że jestem w łazience. Wysłałam stamtąd z suszarką w ręce. Piotr czytał pod pomarańczowym kloszem. Za szybko czytał.

- Zamykaj drzwi na klucz, gdy się kąpiesz - rzekł nie patrząc na mnie.

- Zabroniłeś. Ze względu na gaz - przypomniałam.

- Racja - przyznał, wciąż nie patrząc.

- Co ty się tak godzinami moczysz?

- Woda przywraca mi równowagę, jak tobie Bach - odrzekłam.

- O tym też była już mowa.

Nie nawiązał do tego. Usiadłam naprzeciw. Patrzył na mnie spokojnie, jakby z oddalenia.

- Nic sobie z tego nie rób - pocieszyłam go żartobliwie.

- Takie rzeczy zdarzają się nawet w najlepszych rodzinach.

Uśmiechnął się.

- Jadłeś obiad? - spytałam.

- Słucham?

- Jesteś roztargniony, tato.

- Ty chyba też - odrzekł.

- Nie byłam w szkole. Potłukłam się. Z delikatności nie powiem gdzie.

Uśmiechnął się, oczy zachowując uważne. Rozmawialiśmy bez pośpiechu. Najpierw było to jak stąpanie po kruchym lodzie. Potem rozluźnił się. Opowiedział, że właściwie chciał studiować matematykę, bo to najczystsza z nauk. Lecz wybrała go fizyka i tak już pozostało.

- Wybrała cię?! Nie brzmi to zwycięsko - zauważyłam.

- A nie. Były to czasy, w których dałem sobie słowo, że nigdy nie będę ułatwiał sobie życia kosztem ludzi, zwierząt czy nawet roślin.

- Dotrzymałeś słowa?

- Sporo energii wydatkowałem, aby dotrzymać.

- Jezu, ale był z ciebie święty Franciszek z Asyżu - powiedziałam.

Roześmialiśmy się oboje. Lecz było w nim nadal coś z tamtych czasów, do których się cofnął.

- Czuję w tobie nostalgiczną mgiełkę - rzekłam żartobliwie.

- Też ją czuję - odparł podobnym tonem.

- Czyżbyś wtedy nie wiedział, że człowiek czyniący dobro staje się powoli nikim w cudzych oczach?

- Do dzisiaj tego nie wiem. Lub dokładniej, do dzisiaj w to nie wierzę.

- Kosztowna niewiara, święty Franciszku!

- Niemniej coś daje.

- Innym na pewno! Okazuje się, tato, że nasza stara dama ma rację. Nie wady gubią człowieka, lecz jego cnoty tak łatwe do wyzyskania.

- Nasza stara dama ma życie za sobą - odrzekł.

- W twoim wieku jednakże...

- Nie jestem w swoim wieku, tato. O tym także już mówiłam. Wyrosłam z niego dawno, i to ponad miarę.

- Nie wiem, czy to takie dobre - zauważył.

- Dla mnie na pewno. Przeskoczyłam wiek pułapek zastawianych przez własne ciało.

- To również nie jest tak całkiem dobre.

- Pozornie. Zastanów się, tato. Istnieją granice świętości, nawet Franciszek z Asyżu je znał. Nie chcąc ich przekroczyć, wyniszczał ciało ascezą, za wszelką cenę chciał wytrwać w transie. Czyżby to nie oznaczało, że wszelka doskonałość, nazwijmy ją duchową, doskonała jest tylko w słowie, w obrazie, w kamieniu, w czymś zastygłym albo w czymś bezwzględnie ograniczanym? Że wolny ruch ją niszczy? A życie jest przecież wiecznym ruchem, jak zachować w nim doskonałość? Jak przeciwstawić ciało przeróżnym siłom nań działającym? Co zrobić, aby nas nie spłaszczono, nie zohydzono we własnych oczach?

Wyglądał na oszołomionego obrotem rzeczy.

- Jestem tylko fizykiem. Znam się na ciałach fizycznych - rzekł.

- Człowiek też jest ciałem fizycznym - przypomniałam mu.

- A jeśli nim jest, to ma swoje właściwości. Jeżeli pozwoli, powiedzmy, tym właściwościom, wziąć górę i być - jak to określają psychoanalitycy - z naturalnymi dyktatami ciała w zgodzie, to staje się kimś grzesznym z punktu widzenia religii, ponieważ ona nie uwzględnia ciała.

Zamilkłam. Słuchał z uwagą. Nie dostrzegłam w nim rozbawienia, bo i tak mógł zareagować. Odczekał chwilę, jakby na jeszcze jedno zdanie, ale ja patrzyłam na niego spokojnie, kryjąc ciekawość, jak też wybrnie z moich pogmatwanych ścieżek. Wyszedł z nich dość naturalnie.

- Składamy się tylko w połowie z ciała fizycznego.

- W dziewięciu dziesiątych - poprawiłam.

- Niech będzie - zgodził się.

- Ta jedna dziesiąta jest bardzo potężną siłą, potrafi kierować materią fizyczną. Nazwijmy tę siłę mózgiem. On podporządkowuje sobie całą resztę.

- Tylko pozornie, tato.

- Nie brzmi to optymistycznie - rzekł.

- I w tym jest także wyrok na ciebie. Przecież jesteś takim samym zjawiskiem fizycznym jak inni. Gra, o której mówiłaś, dopiero cię czeka. Podchodząc do niej ze zbyt wielką pewnością siebie, możesz przegrać.

- Nie ja - odrzekłam.

- Jestem mutantem.

Patrzył na mnie zaskoczony. Parsknęłam śmiechem. Zawtórował, najpierw nieco niepewnie, potem już śmiało się oboje, jak z najlepszego żartu. I tak skończyła się rozmowa, która nie była ani sondażem, ani próbą zbadania terenu, dzisiaj nie, nie miałabym do tego głowy. A mimo to coś mi o sobie powiedział. Na mój widok umilkli. Stali w grupkach pod oknem klasy, każdej chwili gotowi do rozejścia się. Domyśliłam się, co ich tam stłoczyło, co uczyniło ich nagle cichymi. Usiadłam na swoim miejscu. Milczenie trwało. Nagle Dorota oderwała się od grupy. Jej irytująca przymilność zniknęła, w oczach miała zgrozę. Stała nade mną. Czekwała, a ja nadal rozpakowywałam torbę.

- Jak się ona czuje? - spytała brzeżkiem warg.

Głos miała również niepodobny do swego. Nawet na nią nie spojrzałam. Tamci spod okna obrócili się raptownie. Jak umówieni ruszyli ku mojej ławce. Siedziałam teraz pośrodku, otoczona zwartym kołem. Nadal byłam zajęta tylko swoimi książkami.

- Zostaw to! - nakazał cicho Apollo.

Spojrzałam w górę. Jego urodziwa twarz straciła wyraz zadufania.

- Wiemy, że wszystko wiesz! - powiedział.

- Jesteśmy z nią. Powiedz jej to, Zuza - dodała Dorota.

Milczałam. Byli z nią, byli nawet szczerze, ale tylko na czas sprzeciwu. Ich solidarność była tylko solidarnością zagrożonych, niczym więcej, o sobie w tej chwili myśleli, tylko o sobie,

o nikim więcej.

- Odezwij się! - powiedział któryś.

- Później - odrzekłam.

Zgarnęłam książki, wrzuciłam do torby i ruszyłam do drzwi. Rozstąpili się przede mną. Na korytarzu natknęłam się na Morale z dziennikiem pod pachą.

- Chciałabym z tobą porozmawiać - rzekła zniżonym tonem.

- Po lekcjach. Jej poufny głos podpowiedział mi, o czym.

- Przykro mi, nie mogę - odrzekłam grzecznie.

Wyminęłam ją i weszłam do ubikacji. Zatrasnęłam drzwi kabiny. Ta stara maniaczka, której gorliwość wypływała z wrodzonej niemoralności, dostrzegła zapewne miejsce, w które mogłaby się wpakować z jakimś przemówieniem. Prasa rozdmuchała przypadek. Inicjały nazwiska, nawet zmienione, niczemu nie zapobiegły. Nadal pod balkonem Jany pełniły wartę małe grupki prostaków, wgapiając się w okna na pierwszym piętrze. Siedziałam na klapie rozważając, co lepsze, opuścić szkołę jeszcze jeden raz, czy też wrócić do stada koleżanek, tymczasowo poruszonych. Ubikacja była pełna dymu papierosowego. W sąsiedniej kabinie dwie nie znane mi dziewczyny przeczekiwały lekcję, z pewnością klasówkę. Rozmawiały szeptem. Z czasem temat rozgrzał je, podniosły głos i wtedy usłyszałam nazwisko Jany. Każde słowo plotkarskiego wyroku, który tam za przepierzeniem zapadał, docierało do mnie absolutnie czytelnie.

- Proszę, proszę - ciągnął głos piskliwy mimo szeptu - zawsze tak jest, na wierzchu biel a pod spodem zgnilizna, ciekawe, z kim to dziecko miała...

Pchnęłam drzwi kabiny. Złapałam za uchwyt sąsiedniej. Jedna z dziewczyn siedziała na klapie, druga wisiała nad nią z papierosem w zębach. Obłok smrodliwego dymu unosił się nad nimi jak zasłona.

- Zwariowałaś?! - zawrzasnęły zgodnie.

Złapałam siedzącą, poderwałam w górę, otworzyłam klapę i wcisnęłam, już stawiającą opór, głęboko w muszlę. Uruchomiłam spłuczkę. Zawrzasnęła. Ta druga próbowała mnie odepchnąć, ale trzasnęłam ją łokciem do tyłu. Uruchomiłam spłuczkę jeszcze raz, a potem jeszcze raz. Już nie krzyczała. Nie wyrywała się. Patrzyła na mnie, pod górę, przerażona, mokra do pasa, głupia plotkarska geś.

- Następnym razem wykąpię cię całą w przerębli!

Zatrasnęłam za sobą drzwi, a potem bramę szkoły. Nikt mnie nie zatrzymał, w tej szkole, jak w każdej, uczeń mógł robić, co chciał, byleby nie naruszał czyjś spokoju, czyjejs drętwy. Od początku wiedziałam, że nie jest to miejsce, w którym można na cokolwiek liczyć,

na mądrość, choćby tylko pedagogiczną. Lecz dopiero od niedawna dotarło do mnie, że jest to jeszcze jeden inkubator, w którym wykluwają się żalosne malutkie indywidua.

Weszłam do szpitala, nie pytając nikogo o zgodę. Biały lekarski kitel, za którym się skryłam, skręcił w lewy korytarz, a ja pobiegłam schodami w górę. Łóżko Jany było puste. Przez moment miałam wrażenie, że lód wypełnia mi głowę. Potem rozejrzałam się. Dwie młode kobiety spały, trzecia, starsza, wpatrywała się we mnie obojętnie.

- Już jej tu nie ma - powiedziała pielęgniarka wchodząc.

- Nic tu po tobie.

Głos miała szorstki, przywykły do dyrygowania. Stała jak archanioł na rozdrożu i wskazywała ręką na drzwi.

- Idź stąd! Ale już! Tu nie twoje miejsce!

- Pani miejsce również powinno być gdzie indziej - odrzuciłam.

Już odchodziła. Złapała mnie z półobrotu za kurtkę. Wysyczała:

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dokładnie to, co pani zrozumiała - odrzekłam.

Pstryknęłam ją w palce zaciśnięte na moim rękawie. Nie puściła mnie.

- Ludzie wszystko robią, żeby mieć dzieci, a te... te... wyrzucają je na śmietnik!

- Gdy tak na panią patrzę - odrzekłam - żałuję głęboko, że ktoś przed czterdziestu laty z panią tego nie zrobił.

Zaniemówiła. Wyrwałam się jej. Portier, którego wchodząc zignorowałam, przyklejając się do białego kitla, zapragnął wziąć rewanż. Puścił się za mną biegiem, wołając skrzekliwie. Był stary, a korytarz bardzo śliski, nie miał, biedaczysko, szans! Na ulicy Jackowskiego, vis - a - vis kliniki, kobiety i mężczyźni podpierali mury kamienicy. Oczy mieli utkwione w przeciwległe okna. Wpatrywali się z napięciem. Za szybami bieleły twarze kobiet. Rozmawiali ze sobą na migi, oddzieleni na dodatek kratą.

Dlaczego są tutaj kraty, spytała mnie kilka dni temu siostra Jany szlochając. Żeby takie, jak ta twoja, nie wyrzucały dzieci oknem, odpowiedziała jej przechodząc tamta jędza w bieli, tamta czterdziestoletnia służka diabła. Maszerowałam szybko. Mróz trzymał. Na Zwierzyńskiej stanął przy mnie autobus. Wsiadłam bez zastanowienia, nie patrząc na numer. Lód w mojej głowie jeszcze się nie roztopił, a więc już jej tam nie ma. Wyszła albo wyjechała, albo dokładniej zabrali ją stamtąd jak uciążliwą osobę, którą przez pewien czas trzeba będzie trzymać w ukryciu. Nikt niczego tamtej nocy nie słyszał, chociaż ten z dołu walił miotłą w sufit tak długo, aż do niej, zszokowanej, dotarło. Zaniechała więc zmywania kuchni. To tylko zapamiętała, że zostawiła po sobie nieład. Tylko na tym się skoncentrowała, powtarzając, że

nie chciała nikogo obudzić.

Nigdy nie wymówiła słowa „dziecko”. Nie nazwała nawet „ono”. Nawet pytania nie miała w oczach, tylko ten nieprzemijający strach. Siedziałam przy niej któregoś dnia, trzymając ją za ręce. Gdy wychodziłam, dopadł mnie jakiś stażysta i potrząsając mną gwałtownie powtarzał, siostra, cholera jasna, tyś też niczego nie dosłyszała? Wyrwano mnie z jego rąk. Pan przekracza swoje kompetencje, rzekł do niego ordynator. Jak się jest ludzkim, odrzucił stażysta wściekle, to zawsze się coś przekracza! Siedziałam przy oknie, a autobus stał. Jakaś kobieta zapukała w szybkę, krzycząc, że to ostatni przystanek. A ja się nadal nie ruszałam.

- Hej, ty tam, mała! - zawrzęsnał kierowca.

- Wsiadasz, czy nie? - Pozatrząskiwał drzwi, odczekał, aż wyjdę przez ostatnie, po czym sam poszedł sobie.

Rozejrzałam się. Miejsce było mi obce. Zastanowiłam się. Numer autobusu mówił, że trafiłam do Suchego Lasu. Znowu się zastanowiłam. Wybrałam kierunek, jak się okazało, prawidłowy. Warsztat Tylińskiego wyłonił się od innej strony, nieco osłonięty krzewami. Obeszłam parkan. Wszystko się tutaj zmieniło. Zamiast żwiru, ziemię pokrywał asfalt. Obok dawnego kantorku wyrósł przez ten czas biały, lekki pawilon. Nad częścią parkingową rozpięły się wiaty, a pod nimi dość długim rzędem polśniewało bogactwo karoserii. Dotrzymał słowa, ten stary drań. Ciężarówki nie miały już tutaj prawa wstępu, nawet usmolony pomocnik przebrał się w granatowy kombinezon z klapką nazwiska na piersi.

Dowiedziałam się, że nazywa się Zygmunt Nowak. Pięknie. Zauważył mnie. Rzucił krzątanie. Chciał coś krzyknąć, już otworzył usta, gdy zreflektował się i rozejrzał szybko po placu. Równie szybko umknął pod wiatę. Teraz ja się rozejrzałam. Od kantorku zbliżał się Stanisław Tyliński w eleganckim kombinezonie.

- Nic tu po tobie, mała! - rzekł podszedłszy.

- Ile pan zapłacił? - spytałam.

- Za co? - odrzucił, już czujny.

Obejrzał się za siebie. Rudowłosa narzeczona zbliżała się niespiesznie. Kierunek ruchu był całkiem czytelny. Przestraszył się.

- Za co? - powtórzył.

- Za milczenie.

Popatrzył na mnie wrogo. Nie udawał już, że nie rozumie.

- Nie musiałem. I tak by milczeli.

- Opłacone milczenie jest zawsze pewniejsze - rzekłam.

- Spływaj, mała! - rzucił przez zęby.

- To ty odejdz, Staszku - powiedziała rudowłosa spokojnie.

Stała twarzą do mnie. Odczekała cierpliwie, aż on odejdzie. Nie mógł jednak tak zaraz, a trzymała go tutaj nie tylko wściekłość, strach także.

- Odejdz! - powtórzyła.

Poszedł. Rudowłosa patrzyła za nim tak długo, aż zniknął w kantorku. Potem spojrzała na mnie bez uśmiechu, ale i bez gniewu.

- Ojcostwo przestało być już ważne, prawda? - odezwała się.

- Niezupełnie.

- Z tym, co się wydarzyło, on nie ma już nic wspólnego.

- Niezupełnie.

Zamilkła.

- Będzie sprawa, rozumiem - odezwała się po chwili.

Znowu zamilkła.

- Ale to nie on zabił - powiedziała wreszcie cicho.

- Pozornie.

- Przykro mi - powiedziała.

- Ile wzięli za zatajenie sprawcy? - spytałam.

Zaskoczyłam ją. Nie od razu odpowiedziała.

- Znasz ten dom, prawda? - odrzekła.

- Nie musiałby dać grosza. I tak by milczeli.

- Nie wtedy, gdy sąd zarzuci im współwinę. Małoletnia dzieciobójczyni to wielka gratka dla nachalnej prasy.

- To niczego już nie zmieni - powiedziała.

- Stało się.

- Wiem. Chcę jednak wiedzieć, za ile ją przehandlowano.

Rozejrzała się po placu. Im dłużej patrzyła, tym twardszy stawał się wyraz jej twarzy. W oddali było widać Tylińskiego, jego donośny komenderujący głos dobiegał raz po raz.

- Jestem już jego żoną - powiedziała wciąż się rozglądając.

- Nawet gdyby zabił, nie musiałabym przeciw niemu zeznawać. Tak, jak Janina nie musi zeznawać przeciwko rodzicom. Takie jest prawo.

- Nie o prawo pytam. Ile wzięli?

- Wybacz - powiedziała, patrząc mi w twarz.

- Nie muszę na to odpowiadać. Przykro mi.

- Czyli wzięli. I nazwali to zapewne odszkodowaniem za krzywdy moralne. Ciało



pominęli, są za święci.

- Bo była to krzywda moralna - powiedziała.

- Za to nie jest się w stanie zapłacić. Ale można pomóc w powrocie do zdrowia.

- Nie każdy wraca - odrzekłam.

Odwrociłam się, ruszyłam do otwartej bramy. Zatrzasnęłam ją, chociaż akurat wyładowana cegłami ciężarówka podjeżdżała do wylotu, a kierowca dawał znaki, abym bramę przytrzymała. Nie zareagowałam. Słyszałam, jak klnąc wyskakuje z kabiny i ze skrzypem otwiera ponownie wrota. Za narożnikiem przystanęłam. Przez gołe krzewy i siatkowe ogrodzenie przeblyskiwał cały ten piękny dobytek, ich i cudzy. Najdalej pojutrze wjadą tu dalsze piękne wozy pod następne, właśnie wykończane wiaty. Byłoby wprost cudownie ujrzyć któregoś dnia cały ten polakierowany majątek, jak szybuje w powietrzu z pirotechniczną wspaniałością. Byłoby to także sprawiedliwe.

Stałam tam bardzo długo, zaczadzona pomysłem i równocześnie trzeźwa, nie dostrzegana przez nikogo, mając w uszach huk wybuchów, a przed oczyma fantastyczne fajerwerki. Wreszcie zawróciłam. Skróciłam sobie drogę do domu przez Park Wilsona. I to był błąd. Czatował tam na mnie. Dostrzegłam go później niż on mnie. Siedział na ławce. Nie wyszedł mi naprzeciw, co niczego nie zmieniało. Zatrzymałam się przy nim siedzącym, jeszcze cokolwiek oddalona myślami, jeszcze bez refleksu. Nie obchodził mnie ten smarkacz, wbijający się we mnie oczami. Już miałam odejść, gdy nakazał mi.

- Siadaj!

Nie od razu usłuchałam.

- Siadaj! - powtórzył.

Zajęłam miejsce obok. Milczeliśmy, on z twarzą pełną zaciekleści, ja już widząca podwójnie jasno. Już się we mnie pewne rzeczy zaczęły powoli układać w szalony obraz, bardzo szalony, ale wcale nie nierealny.

- Nie ma jej w szpitalu - odezwał się.

- Wyszła.

- Raczej ją wywieźli - poprawiłam.

- Idź do niej. Do domu! - nakazał mi.

- Z całą pewnością już jej tam nie ma.

- Zapytaj, gdzie jest!

- Nie odpowiedzą.

Wstałam. Ściągnął mnie tak raptownie w dół, że omal nie siadłam mu na kolanach. Odsunął się w panice. Roześmiałam się. Usłyszałam w śmiechu coś zgrzytliwego.

- Czujesz się winien, co? - spytałam.

Nie odpowiedział.

- Nie spiesz się z wnioskami - powiedziałam.

- W końcu to jej rodzice.

- Zniszczą ją.

- Już to zrobili - odrzekłam.

- Nie była do was podobna! - rzekł tonem obelgi.

- Zgadza się. Już to przerabialiśmy, Irek.

- W jej wieku nie ma się doświadczenia - urwał, spojrzał na mnie, dorzucił jadownicę - chociaż bywają wyjątki.

- Liczniejsze, niż ci się wydaje - odrzekłam spokojnie.

- To także przerabialiśmy.

- Nienawidzę cię.

- Nie powtarzaj się. Wyobrażenia o czymś zastępują ci przeżycia. Jak u Janiny. Ale ona już poznała, w czym różnica. Pewnego dnia i ty się dowiesz. Mam nadzieję, że sam za to zapłacisz.

Milczał. Patrzył tępo przed siebie. Nie przywykł do rozterek, chowano go pod kloszem jak Janę, nieważne, że pod innym, mądrzejszym, skoro teraz musiał spod niego wyjść nagle w ulewę. Był nieprzeciętnie inteligentny, lecz w niczym mu ta inteligencja nie pomogła, bo ona pomaga tylko przewidyującym z natury.

- Posługiwałaś się we wszystkim omal czystą logiką - odezwałam się.

- I proszę, nagle przestała ci służyć, jednego poprawnego wniosku nie potrafisz wyciągnąć.

Nie odezwał się. Agresywność nagle w nim wygasła. Siedział oklapnięty, gotów przyjąć każdą sugestię, która by go mogła usprawiedliwić. Która by mu pomogła przywrócić równowagę. Znałam dobrze takich jak on. Szkoła i nie tylko szkoła produkowała takie nikłe zaczątki mężczyzn, niedorozwinięte projekty ludzi, z których tylko nieliczni dorosną do czegoś prawdziwego. Reszta, ci w ławkach i ci na katedrach, pozostanie na zawsze tylko namiastką, niezdolną do odszukania prawdziwej drogi, choćby tylko tej swojej małej, najmniejszej, na prywatny użytek. Z każdego wstrząsu wyciągną tylko tyle, ile im samym bezpośrednio zagraża, nic więcej, absolutnie nic. Patrzyłam na niego z boku, wciąż oklapniętego. Tamten szalony obraz znowu zjawił się przede mną i zaczął kusić pirotechnicznymi efektami. Poddawałam się temu, nie tracąc chłodu. Analizowałam każdy szczegół po kolei, a im dłużej to trwało, tym bardziej wszystko stawało się możliwe.

- Przehandlowali ją - odezwałam się.

Podniósł głowę.

- Kto? - spytał jeszcze apatycznie.

- Doszli do porozumienia.

- Kto?! Z kim? - spytał już ostrzej.

Nie odpowiedziałam. Patrzył na mnie ponagląco, lecz nie dodałam słowa. Potrząsnął moją ręką.

- Z kim? - wybuchnął.

Wstał. Ale zaraz siadł. Już go wzięło.

- Rozumiem - rzekł z powracającą nienawiścią.

- Jej rodzice z nim. Z tamtym draniem - odczekał, ale ja milczałam.

- Kto to jest?! - złapał mnie za łokieć i obrócił gwałtownie ku sobie.

- Mów!

- Co mu zrobisz? - odrzekłam kpiąco.

- Puścisz może te jego lśniące karoserie wysoko w powietrze? Niewykonalne. Bo to wbrew prawu, nie tylko temu od ciężenia. Znieruchomiał.

- Ma warsztat?

- Kto ci to powiedział?

Zamilkł. Po oczach poznałam, że przelatuje myślami miniony czas. Że szuka punktu zaczepienia.

- Jeździłaś do Suchego Lasu - przypomniał sobie.

- Spotkałem ciebie w autobusie.

- No to co. Oddałam swój samochód do naprawy.

- Właśnie! - podchwycił.

Znowu coś do niego dotarło, dokielił do poprzedniego odkrycia. Logika i pamięć już się włączyły, już podsuwały mu nowe tropy.

- Wymieniłaś wtedy jego nazwisko. Zapamiętałem, bo podobne do tego niedoszłego prezydenta z Peru, tego no, Tym... Tyl... - patrzył na mnie bacznie.

Nawet nie drgnęłam.

- Ulegasz emocjom - powiedziałam.

- Samochód był tylko pretekstem. Jeździłaś w sprawie Jany. Czuję to.

- Zbyt często przeczucia zastępują ci wiedzę - odrzekłam.

- Wycofujesz się?! - rzekł ostro.

- Z czego?

- Mnie nie zmylisz, Zuza!

- Włączyłeś się do gry nieco za późno, chłopcze. Już nie nadrobisz.

Spojrzał na mnie z namysłem, raptem inny, jakby uspokojony. Znałam ten nastrój nagłego wyciszenia. Lodowaty chłód obejmujący całe ciało, ale nie mózg, ten właśnie zaczynał funkcjonować precyzyjnie. Czekałam. Patrzył na mnie, jakby w nim nie było już miejsca na nic, tylko na ten nagły pomysł, który brał go w całkowite posiadanie. Już szedł za nim zafascynowany, obojętny na resztę. Domyślałam się, co go tak olśniło. I nie zamierzałam powstrzymać.

- Czas bohaterów minął bezpowrotnie - odezwałam się tylko jakby mimochodem.

- Nastął czas łajdaków.

- Nie musiał nastawać - odrzekł.

- Zawsze tu był.

Zostawił mnie na ławce. Szedł aleją, uprowadzany wizją, którą uznał za wyłącznie własną, biedny poplątany smarkacz. Miał szóstkę z chemii, lecz była to tylko szkolna szóstka, wystarczająca dla noworocznych fajerwerków. Miałam nadzieję, że chociaż tego był świadom. Telefon odebrała matka Jany. Jej głos, zawsze nieco przesłodzony, nabrał twardości.

- Słucham?! - powiedziała ostro.

Lecz wyczułam, że się boi. Przedstawiłam się. Zapadła krótka cisza, w trakcie której ustalała zapewne ze sobą, co rzec osobie przypuszczalnie lepiej zorientowanej w sprawie, niż ona sama.

- Jany nie ma - powiedziała wreszcie, uprzedzając pytanie.

- Wiem. Chciałabym do niej napisać.

- Po co?! - odrzuciła.

Na jej głos nałożył się drugi, męski, nakazujący natychmiast przerwać rozmowę.

- Jest chora. Nikogo nie chce widzieć - powiedziała szybko i odłożyła słuchawkę.

Przemyślałam sprawę. Bali się w tych swoich czterech ścianach. Dotąd pogardzali innymi i proszę, nagle stali się sami obiektem pogardy. Z całą pewnością, jak znam ten świat, telefon nie pozwalał im ani na chwilę zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Dzwonił doprowadzając do szaleństwa. A obce głosy dopytywały, jak to też się mogło stać w tak dobrej rodzinie. Niewykluczone, że padały obelgi. Wysłano więc Janę czym prędzej do owej ciotki Klary.

Widziałam raz jeden, przed laty, ten wielki rodzinny autorytet w spódnicy. Przypominała wyschniętego anioła, który nigdy nie miał skrzydeł. Z jej domu Jana nie wymknie się nawet najtajniejszą myślą. Będzie tam tkwiła, odcięta od ludzi, skazana na

niszczący ją strach. A kiedy ją ta rdza przeżre na wylot, zwariuje.

Trzasnęłam pięścią w stół. Piotr spojrzał zaskoczony, ale nie spytał o nic. Prasa w naszym domu czytana była codziennie. Tłuste napisy nad notatkami reklamowały najskandaliczniejsze wydarzenia, przypadki mrożące krew, a najbardziej szokujący wydarzył się właśnie przy ulicy Matejki sto sześć. Z całą pewnością przeczytał i pokojarzył inicjały nazwiska z nazwiskiem Jany, zrozumiałam to z jego taktownego przemilczenia.

Nigdy nie dopytywał mnie o sprawy osobiste. Tylko raz napomknął, że nie widział już dość dawno tej wysokiej blondynki o nieśmiałym uśmiechu. Wyjaśniłam, że jest chora, i to mu wystarczyło. Lecz jak go znam, był tą notatką wstrząśnięty. Ale nie dałabym głowy, czy umiałby odtrącić kogoś o pięknym, nieśmiałym uśmiechu, gdyby tak stanął na jego drodze... Nawet najbardziej święty ze świętych był niczym innym w swej ludzkiej istocie, jak potencjalnym sprawcą właśnie takich nieszczęść, wiedział o tym nawet Franciszek z Asyżu.

- O której zaczynasz lekcje? - spytał wychodząc.

- Idę na dziewiątą - odrzekłam.

Odczekałam, aż odjedzie spod domu. Lekcje zaczynały się dopiero o dziesiątej, miałam więc sporo czasu, aby uzyskać, co trzeba. Zgarnęłam teczkę i zaraz wyszłam. Ustawiłam się w pewnym oddaleniu od kamienicy, ukryta za grubym pniem drzewa. Niebawem młodsza siostra Jany wynurzyła się z bramy. Uczyniła to bardzo ostrożnie. A więc dobrze odgadłam, nie czuli się bezpiecznie w swoim domu, oddzieleni od ludzi tylko ścianą, tylko drzwiami. Czekałam, aż się zbliży. Wynurzyła się raptownie i zaszłam jej drogę. Odskokczyła pod najbliższe drzewo. Przyparłam ją do pnia.

- Adres Jany! - nakazałam.

Była prawie mego wzrostu i o dobre dziesięć kilo cięższa. Ale paraliżował ją strach.

- Puść mnie - zaszepotała, rozglądając się.

- Adres! Ale już!

- Ciotka Klara czyta wszystkie listy - odrzekła.

- Pojadę osobiście. Straciła oddech.

- Nigdy!

- I to z tobą.

- Nigdy! - powtórzyła w panice.

- Zmienisz zdanie - powiedziałam.

Szarpnęła się. Trzymałam ją mocno.

- Zajrzyj do kieszeni - nakazałam.

Patrzyła nie rozumiejąc.

- Zginął mi pierścionek. Złoty, pamiątkowy, zawsze się nim zachwyciłaś, pamiętasz? Zajrzyj, powiedziałam!

Wsunęła rękę do kieszeni. Jej twarz zbielała. Wydobyla złote cacko i wpatrywała się w nie z osłupieniem.

- Podłożyłaś! - wyszeptała.

- Kto w to uwierzy! Teraz mogę wszystko na was powiedzieć, absolutnie wszystko, ludzie uwierzą. Mogę was pomówić, o co zechcę, nie będę musiała tego udowadniać, tak już jest w tym dziwnym kraju, że można z ludzi zrobić łotrów, a z łotrów ludzi, i tylko tak sobie, dla rozrywki. Czytasz gazety, no to już wiesz, jak się to robi. Ja to zrobię z tobą.

Zaczęła płakać.

- Wszyscy się od nas odwrócili - mówiła szlochając.

- Nawet ksiądz. Ale to ty ją zepsułaś, ty jesteś winna.

- Nie ze mną miała dziecko - odrzekłam ostro.

- Przysięgam ci, jeżeli Jana zwariuje u ciotki Klary, wsadzę was wszystkich do więzienia. Dobrzy ludzie pomogą.

Wlepiła we mnie swoje krowie oczy, nadal pełne łez. Ale już zaczęła kalkulować. Ani przez chwilę nie wątpiła, że dotrzymam przysięgi. Ona również potrafiłaby wykorzystać każdy przypadek, taki z mężczyzną też. Tej sprytnej małej w ogóle by do głowy nie przyszło osłaniać winowajcę milczeniem. Dlatego uwierzyła mi całkowicie.

- Więc jak? - ponagliłam.

Puściłam ją. Obejrzała się za siebie. Z bramy wyszła akurat gruba jejmość, o której mówili lekceważąco, ta z trzeciego piętra, co to miała czerwonego syna. Kobieta popatrzyła w naszą stronę. W pierwszym odruchu zrobiła kilka kroków, ale nagle zrezygnowała. Splunęła tylko i skręciła w lewo. Siostra Jany była kredowo biała.

- Widzisz? - wyszeptała.

- Widzę.

- Chcemy się stąd wyprowadzić, ale dzisiaj to takie trudne.

- Wiem.

- Michał nie chce chodzić do szkoły.

- Ty też przestaniesz - odrzekłam.

- Postaram się o to. Więc jak?

- Zawożę Janie odzież - powiedziała z oporem.

- W sobotę. O dwunastej, tym do Wrześni.

- No to jesteśmy umówione - powiedziałam i odwróciłam się.

Teraz ona zaszła mi drogę.

- Po co? - spytała.

- Żeby wiedziała, że nadal jestem - odrzekłam.

Ruszyłam na skos przez park, ku szkole. Ale nagle zawróciłam. Poszłam do domu.

Była siódma rano. Głos spikera przybrał nagle żałobny ton. Wiedziałam, że zaraz padnie hiobowa, jego zdaniem, informacja. Było to bardziej niż pewne. Jak w tanim filmie nastrojowa muzyka poprzedza zawsze sentymentalne sceny, tak żałobne głosy spikerów zwiastowały zawsze jakieś straszne wyznanie. Czekałam zaciekawiona, czy powie o nowym strajku, czy też o nowej mafii atakującej podróżnych. Możliwe też, że sprzedaliśmy jednego straszaka więcej do Iraku i znowu jakiś kryształowy Polak trafi za amerykańskie kratki.

Czekałam, popijając kakao, on zaś szeleścił kartkami w mikrofon, aż nareszcie znalazł tę właściwą. Wysłuchałam informacji od początku do końca. Proszę, proszę, a więc jednak starczyło mu wiedzy na coś więcej niż na noworoczne fajerwerki. Roześmiałam się. Piotr obejrzał się zdziwiony.

- To nie jest zabawne. Stracił miliardy.

- Nasz grat stał u niego - wyjaśniłam.

- Zdążyłam jednak odebrać.

- Ach tak - powiedział. Zastanowił się.

- Pewnie coś spawali. Jak zwykle, bez zabezpieczenia.

- Na pewno - zgodziłam się.

- Spiker mówił, że warsztat w przebudowie.

- Zgadza się. Facet się właśnie przerabiał na europejską modę. Widać nie zaczął od głowy.

Dolałam do kubka kakao. Bułkę posmarowałam grubo masłem. Dołożyłam miodu, chciałam jeszcze położyć na wierzch kawał sera z pleśnią, ale zreflektowałam się. Piotr obserwował mnie z zainteresowaniem.

- Zaintrygował cię ten wypadek - stwierdził.

- W pewnym sensie, tato. Facet był szczególnie gburowaty. Mam nadzieję, że sam się nieco podsmażył.

Dopił kawy, ale nie rzekł słowa. Tylko w oku mu błysnęło. Reporter tymczasem dopadł naocznego świadka, który przestał noc w oknie, jako że prawie nie sypiał z powodu reumatyzmu. Świadek opowiedział najpierw szczegółowo, w którym kolanie rwie go najboleśniej, potem, ile ma lat, wreszcie, że wzrok ma świetny, bo nie zepsuł go sobie książkami i telewizją. Tak więc widział wszystko wyraźnie. Głosem, który raptem odmłodził o

dwadzieścia lat, a w którym było więcej poczucia ważności aniżeli zgrozy, opisał widok z okna. Czynił to plastycznie. Panie, zakończył podniecony, czegoś takiego to ja nawet w czterdziestym piątym nie widziałem. Jezusie, jak to fruwało!

- Ma zmysł dramatyczny - zauważyłam.

- Mam nadzieję, że są tylko materialne straty - rzekł Piotr.

- Facet z pewnością wolałby, aby było odwrotnie. Ludzie są do zastąpienia.

Spojrzał zaskoczony.

- Znasz go aż tak dobrze?

- Nie muszę przejść z kimś całego alfabetu, aby coś zrozumieć.

Trawiła go miłość wprost niewymierna do gotówki. Mimo woli roześmiał się.

- Nie można rzec, abyś była łagodna w osądzie.

- Nie, tego nie da się powiedzieć.

Wstałam od stołu. Krótka euforia minęła, jak coś ulotnego. Nie pozostał nawet cień satysfakcji, tylko lodowata zawziętość. Jeden rachunek został chociaż w części wyrównany. Irka w szkole nie było. Siedziałam obok pustego miejsca i przed pustym miejscem, bo tak zechciał dobry Bóg, również dla sprawiedliwości. Jak to właściwie było z tym dwojgiem od początku?

Zjawił się w szkole pół roku temu, znakomicie ubrany, jeszcze lepiej wyedukowany i od progu dał wszystkim do zrozumienia, że ignorancja jest grzechem śmiertelnym. Było to dość oryginalne jak na szesnastolatka i na obyczaje polskiej szkoły, w której każdy musi przejść z klasy do klasy, choćby jak najbardziej nie chciał. Repetenci bowiem psują dobre imię nauczyciela i tak zwaną czystą produkcję, termin wprowadzie komunistyczny, ale wciąż funkcjonujący. Tak więc przyszedł, usiadł za naszymi plecami, spojrzał najpierw na mnie, potem na Janę. Uśmiechnęła się do niego swoim ładnym uśmiechem. Oboje mieli piękne zęby i byli najwyżsi w klasie. Lecz on zawsze kontrolował każde swoje słowo, każdy swój gest, skierowany do niej, a ona była zbyt nieświadoma, aby umieć cokolwiek z tego odczytać. I w taki to sposób przegrał dziewczynę do najbardziej kwadratowego człowieka, jakiego poznałam.

Przegrał ją, a teraz sam zatracił siebie, głupi zarozumiały smarkacz. Może sam poleciał w stronę gwiazd, a może przyłapali go in flagranti i posiedzi sobie teraz kilka lat z tymi, których nazywał bezmózgowcami. Nagle dostrzegłam go w drzwiach. Wszedł spokojny, jak zawsze. Nie spojrzał na mnie. Za to ja zmieniłam obyczaje, obróciłam się cała do niego. Spojrzał na mnie chłodno. Odpowiedział Dorocie, że owszem, ma wszystkie zadania i że za moment pozwoli jej odpisać. Zadań było dziesięć z dnia na dzień, nie licząc innych przedmiotów, a on zdążył wszystko odrobić, nie zapomniał o niczym. Może nadal był tym, za kogo się uważał,



takim dokładnym chronometrem. A może tej nocy dorósł ostatecznie i pod tą piękną tarczą obracały się już inne trybiki, inne kółeczka, nakręcane nie tylko samą precyzją. Chyba tak było, chyba już wie, że zemsta jest czymś nieporównywalnie większym od największego uczucia, od najmocniejszego przeżycia erotycznego. I to nie dlatego, że nie da się jej powtórzyć w tej samej wersji. Lecz że niesie ze sobą wszystko równocześnie, i strach, i satysfakcję, i rozkosz, i ból, i wielkie samoukojenie. Kto tego doświadczy, nigdy już nie znajdzie się w uliczce bez wyjścia, nikt na świecie nie będzie w stanie go unicestwić. Miałam nadzieję, że i ja to kiedyś przeżyję.

Zjawili się wczesnym popołudniem, obaj w cywilu. Jeden z nich, bardzo młody, rozweselony jak szczygieł o poranku, rozejrzał się po podeście, powiedział dzień dobry, po czym znowu się rozejrzał, tym razem za młodą dziewczyną zbiegającą w dół. Nareszcie zapatrzył się we mnie, wciąż rozweselony. Przyjrzałam się mu, wesołość była tylko następstwem układu twarzy, w rzeczy samej był ogromnie przejęty misją, w jakiej się zjawiał. Ten drugi milczał. Miał ze czterdziestkę i czujne oczy profesjonalisty. Też mi się przyglądał. Staliśmy nadal w progu.

- Zna pani Stanisława Tylińskiego? - spytał ten starszy.

- Jasne, że znam! - rzekłam ochoczym tonem osoby ochoczej do zeznań.

W ułamku sekundy bowiem uświadomiłam sobie, że skoro tutaj przyszli, to podał im adres, i to ze szczególną sugestią.

- Możemy wejść? - spytał ten starszy.

Otworzyłam szerzej drzwi, ale zaraz zastawiłam przejście.

- Nie bez legitymacji - zaznaczyłam jak dziewczyna, która sobie nagle przypomniała o przestroгах rodziców.

Skinął głową. Podsunął mi legitymację. Ten drugi wepchnął mi swoją bardzo skwapliwie, na zdjęciu miał jeszcze bardziej rozśmieszoną minę, Boże, jak takie coś może się pchać do policji. Przeczytałam oba nazwiska, sprawdziłam pieczętki, nadmieniłam, że dzisiaj tak łatwo wszystko się podrabia, przestrzegają co dzień w telewizji, po czym usunęłam się z progu. Stałam na wprost okna i pozwoliłam obejrzeć siebie jeszcze raz w zalanym słońcem pokoju. Młodszy nie ukrywał zdziwienia, starszy zachował niewzruszoną twarz. Rzekł tylko:

- Skoro jesteś aż tak młoda, pozwolisz, że będę mówił per ty.

- Ależ oczywiście - zapewniłam z entuzjazmem, myśląc równocześnie, jak mam rozegrać tę partię.

Wskazałam na fotele. Młodszy klapnął zaraz, starszy odczekał, aż sama siądę. Chwilę milczeliśmy. Ten młodszy przyglądał się mi jak podejrzanemu osobie, w której winę jednakże nie jest skłonny uwierzyć. Uśmiechnęłam się do niego uroczym uśmiechem uroczej dziewczyny, a

on odruchowo odwzajemnił. Starszy ani drgnął. Zajrzał do notesu, po czym zapytał spokojnie:

- Znałaś dobrze Stanisława Tylińskiego?

- Znałaś? - podchwyciłam.

- Czas przeszły? Czyżby i on poleciał do gwiazd?

Młodszemu coś błysnęło w oku, starszy ani drgnął.

- Nie poleciał - odrzekł.

- No więc, znasz go dobrze?

- Tak sobie - odrzekłam tonem uczennicy, która chce coś ukryć.

Młodszemu znów się coś zajarzyło w oku.

- Ile tak sobie? - dociekał starszy.

- Reperował nasz wóz - wyjaśniłam.

- Wiem. Miałaś z nim ostre starcie - rzekł starszy patrząc uważnie.

- Jeszcze jak ostre! - podjęłam z ożywieniem.

- Nazwał mój wóz starym gratem. No to teraz ma za swoje!

- Cudze też się spaliło - przypomniał ten młodszy.

- Rzeczywiście! - powiedziałam ze skruchą.

- Zapomniałam. Ostatnio stało tam sporo samochodów.

- Kiedy byłaś tam ostatnio?

- Nie mówił? - zdziwiłam się.

- Niech policzę - oparłam głowę o fotel i zaczęłam głośno umiejscawiać wydarzenie w czasie.

- We wtorek był polski, a więc nie we wtorek. Poszłam tam po fizyce, a fizykę mamy w poniedziałki i czwartki. W poniedziałek jednakże była klasówka, więc podarowałam sobie. Tak, tylko w czwartek byłam tam, zaraz po fizyce.

Skinął głową.

- Znasz Janinę Dudzińską?

- Pewnie! Dziesięć lat siedzimy w jednej ławce. Od przedszkola - odrzekłam.

Popatrzyłam na nich. W młodszym dało się czytać, starszy był jednak nieruchomy jak skała. Takiego chyba nie da się posyłać mylnym śladem. Popatrzyłam w sufit, przywołałam na twarz wielki wysiłek, wreszcie dokonałam odkrycia.

- Ach, to dlatego pan przyszedł - rzekłam podniecona.

- Pan mnie podejrzewa, bo ujmowałam się za Janiną.

- Bystra jesteś - rzekł młodszy z uznaniem.

Starszy spojrział na niego zimno.

- To zwykle rutynowe działanie - odrzekł.
- Sprawdzamy po kolei wszystkich, co stawiali u niego wozy.
- Nie odnotował mnie - przypomniałam sobie i trzepałam dalej nie swoim językiem.
- Pewnie chciał zarobić na lewo, no więc nie z jego księgi pan o mnie wie...

Musiał się sam poskarżyć. Miał na co, fakt, przygadałam mu, pan również by przygadał, nikt by nie darował takiemu draniowi, pewnie sama bym w końcu coś na niego wymyśliła, ale mnie uprzedzili, pan wie już kto? To był dynamit, proszę pana? W radio mówili, że blachy fruwały wyżej drzew. Z dynamitem by mi było trudno, nie znam się na tym, jeszcze bym sama mogła wylecieć w powietrze.

- Mogłabyś kogoś wynająć - wszedł mi w tekst ten młodszy.
- Fakt - podchwyciłam skwapliwie.

- Powstały takie mafie do robienia porządku, słyszał pan pewnie o tym. Ale to dużo kosztuje, niestety, bardzo dużo. Myśli pan, że ktoś nasłał na niego mafie? Teraz jest u nas prawdziwa kapitalistyczna konkurencja, prawda? Widziałam w telewizji, tak się robi...

- Czytasz za dużo kryminałów - rzekł ten młodszy.
- Lecz musi pan przyznać, że to możliwe - upierałam się.

Młodszy gotów był polemizować, starszy przyglądał się mi jak z oddalenia. Jak czemuś osobliwemu.

- Nawet najbardziej niemożliwe zawsze jest możliwe - mruknął.

Poprawił się na fotelu, zajrzał do notesu i zaraz go sklapnął. Wokół ust plątał się mu dziwny uśmiezek. Lecz gdy spojrzał wprost, dostrzegłam w oczach uwagę. Zrozumiałam, że cokolwiek tu usłyszał, to i tak myślał swoje. A to, co myślał, odbiegało daleko od mojej sugestii. W swojej karierze przesłuchiwał zapewne całe plutony lekkomyślnych dziewcząt, ujmujących się za lekkomyślnymi koleżankami, lecz nie wziął mnie za jedną z nich, raczej nie. Było to ogromnie interesujące, takie zawieszenie między prawdą a kłamstwem. Kusiło mnie, aby dorzucić coś jeszcze do pozostawionych śladów, które ich nie do mnie prowadzą i nie do Irka, lecz zaniechałam. Starszy wstał, młodszy również, ja podniosłam się powoli, jakby z żalem.

- Nie pyta pan o moje alibi? - spytałam z wielkim rozczarowaniem.

Nie odpowiedział.

- Będę jeszcze wzywana? - dopytywałam idąc przed nimi do drzwi.
- Nie jesteś jego jedynym wrogiem - rzekł ten młodszy.
- Za to największym! - zapewniłam żarliwie.

Starszy spojrzał na mnie przez ramię. I w tym króciutkim pacierzu wyczuł fałsz, lecz nie powiedział słowa. Zamknęłam za nimi drzwi. Słyszałam szybki tupot na drewnianych

schodach, to ten młodszy zbiegał w dół. Kroków starszego wcale nie było słychać.

Stałam w korytarzu dłuższą chwilę, już nie nasłuchując. Przeanalizowałam swoje zachowanie, każde zdanie odłożyło się w mojej pamięci, ich i moje. Nie znalazłam w nich niczego, co mogłoby im wskazać drogę do prawdziwego sprawcy. Nie wiedzieli o Irku, kto zresztą miał im powiedzieć, siedział w swojej ławce za nami, absolutnie neutralny, nie wyróżniający żadnej koleżanki, sam długo nie wiedział, do czego jest zdolny, ten początkujący jajogłowy. Aż tu nagle coś, co siedziało w nim nie tak znowu głęboko, ucapało go za gardło do utraty tchu, zrób to, powtarzało, no, zrób za wszelką cenę. Tak więc poszedł i wykonał niewykonalne. Ale nikt nie wskaże na niego palcem, ten bystrooki starzec nie dostrzegł na placu nawet cienia człowieka, ślad urywał się po prostu na niczym. Intrygowało mnie, jak czuje się teraz ten mój wielki klasowy moralista. Może siedzi i liczy spustoszenia w swoim idealnym dotąd mechanizmie. Może próbuje pojąć prawdę nie tak łatwą do przyjęcia, że jest taki sam jak inni, podatny na odkształcenia, na wszelkie sugestie, łatwy do popchnięcia w każdą stronę, nawet w tą, którą jego dekalog nazywał dotąd grzechem śmiertelnym. Lecz, jak znam życie, pogodzi się łatwo ze swoją nową rolą, w której zabłysnął. Działalem w imię miłości, powie. Lecz jeżeli wrodzony fałsz, który nazywał skromnością, nie pozwoli mu nazwać miłości miłością, to szybko znajdzie szlachetniejszą motywację - sprawiedliwość, która musiała zostać wymierzona. Zgadzam się, jak najbardziej musiała. I niech mi nikt nie mówi o wyrzutach sumienia, bo ono jest równie zakłamanie jak człowiek, skoro tak łatwo daje się uspić.

Wróciłam do swego pokoju. Był mroczny jak każde pomieszczenie z oknami na północ. Położyłam się w poprzek tapczanu i zapatrzyłam w sufit. Ów cienki strumyczek, który zamilkł na czas wydarzeń, odezwał się znowu, już nie nachalnie, refleksyjnie raczej, popatrz no, Zuzanno, wszystko się potwierdza, każda twoja hipoteza. Można być naraz wszystkim i niczym, co właściwie oznacza to samo. Zastawiamy na siebie pułapki, a zastawiwszy, wchodzimy w nie z bezmyślną radością, konsekwencjami zaś obdarzamy innych. To jest właśnie to okropne jarzmo, którego nie potrafimy zrzucić, które czyni nas niewolnikami i to kogo, mój Boże, samych siebie... Lecz ja jestem wolna i pozostanę taka, mnie nikt nie unicestwi ani wielkim uczuciem, ani jego brakiem, we mnie nigdy nie powstanie próżnia, która wessie każdą moją myśl, każdy nerw, aż pozostanę tylko samym cielesnym pokrowcem. Jeśliby się to miało kiedyś stać, niech lepiej zginę. Co pomoże Janie cała ta zemsta! Choćby cały świat wyleciał w powietrze, to jeśli zrobi to bez niej, będzie istniała nadal jakby obok siebie, skurczona, aż stanie się karłem prawdziwym. Nikt nie podaruje jej azylu, bo coś takiego nie istnieje na zewnątrz...

Przewróciłam się na bok. Na parapecie tłukły się wróble, wrywając sobie okruchy

chleba rzucone z wyższych pięter. W korytarzu rozległy się szybkie kroki Piotra, potem zaskrzypiały drzwi łazienki. Nie zatrzymał się pod moim pokojem. Nie zawołał, jesteś tam? A przecież dostrzegł kurtkę wiszącą na wieszaku, musiał wiedzieć, że już jestem. Przemyślałam to sobie nie pierwszy raz. Od kilku dni wołał nie dostrzegać, iż jesteśmy sami w domu. Prawdopodobnie była to moja imaginacja, lecz skoro była, to coś musiało ją uruchomić, coś spowodować właśnie taki odbiór. Nie chodziło o zakłopotanie, w jakie go niekiedy wpędzałam. Rodzony ojciec nie wiedziałby, gdzie podziąć oczy, gdyby tak nagle ujrzął nagość dorastającej córki. Naturalne również były jego słowne uniki w naszych pięknych dialogach, prowadzonych wieczorami. Zapewne brał moje prowokacje za pustotę, skąd miał bowiem wiedzieć, że nie można przykładać do mnie zwyczajnej miarki. A mimo to było coś nowego, coś weszło między nas, samo nierealne, lecz wywołujące całkiem konkretne następstwa, choćby jak to, sprzed chwili, owo udawanie, iż nie wie, że już jestem.

Wstałam, otworzyłam drzwi. Właśnie mył ręce, widziałam to przez nie domknięte drzwi łazienki.

- Myślałem, że śpisz - powiedział.

- Też myślałam.

- Chandra?

- Nie znam tego - odrzekłam.

Uśmiechnęłam się milutko, ruszyłam do kuchni, zabrałam się ostro do tego, co zostało wliczone w moje obowiązki. On zaś stanął w progu i przyglądał się mi.

- Zręcznie ci to idzie - powiedział.

- Dodaj jeszcze, będziesz dobrą żoną.

- Nie dodam. Nie będziesz.

- Coś takiego - powiedziałam zdziwiona.

- To miał być komplement?

- W połowie.

- Zaczynij od tej lepszej.

- Obie są dobre.

- Konkrety, tato - nakazałam, nalewając zupę na talerze.

- Jesteś zawsze świetnie zorganizowana we wszystkim - powiedział.

- To raczej wyklucza pójście na kompromis.

- Masz na myśli, że to by zburzyło ustalony już przeze mnie porządek rzeczy?

- Mniej więcej.

- Punkt dla mnie, tato. Jestem tak świetnie zorganizowana, że w każdej chwili mogę

sobie pozwolić na kompromis, na odejście od tak zwanej linii, bez jakiegokolwiek szkody dla tak zwanej istoty rzeczy.

- Przecież nie jesteś tak zwanym chronometrem.

- Tak zwanym nie. Jestem mechanizmem, który się przestawia. Tylko ludzie chaotyczni, niepewni siebie nie mogą sobie pozwolić na zmiany, bo zaraz się pogubią.

- Zgadza się - przyznał.

- A czy ta twoja, hm, nadświadomość, nie psuje ci czasem zabawy?

- Ona ją podsyca - odrzekłam - pomaga kierować wypadkami - dostrzegłam, że słucha mnie uważnie.

Dodałam ze śmiechem:

- Lecz pewnego dnia sytuacja ulegnie odwróceniu. Sprawiedliwy los utrzyma mi zarozumiałego nosa. I tak wielcy zostaną małymi, jak głosi przypowieść biblijna.

Uśmiechnął się. Był to uśmiech powierzchowny, taki dla towarzystwa.

- Przestrzegano mnie niejedną raz - rzekł żartobliwie, oczy zachowując poważne - że szesnastolatki są nie tylko zarozumiałe, ale i bardzo podstępne. Żaden ojciec nie może być nigdy pewien, czy jego ostatnia studolarówka nie zmieni nagle właściciela. A propos, masz jeszcze na domowe wydatki?

- Na każde - zapewniłam.

- Twoja szesnastolatka nie wyciągnie ci nigdy ostatniego dolca z kieszeni. Niekiedy mam wrażenie, że wolałbyś to od... no powiedzmy od tego, co jest.

- Nie wiem - odrzekł.

- Ty po raz pierwszy masz szesnaście lat. A ja to po raz pierwszy przeżywam z tobą. Oboje nie mamy doświadczenia, ani porównania.

- O, przepraszam, ja mam - zaprotestowałam.

- Co dzień patrzę i słucham, jak się moi rówieśnicy sprawują. Może dlatego chcę odejść od normy?

- Nawet zręcznie ci to idzie - rzekł.

Roześmiał się.

- Już raz powiedziałem, że rozmowa z tobą lepsza jest od nitrogliceryny.

Poderwał się i pobiegł do telefonu, jakby go wezwały trąby anielskie. Telefonowała Danuta. Regularnie co drugi dzień dzwonili do siebie, jakby oboje wspierali się tą rozmową. Nie nasłuchiwałam, tego również nie umiałam sobie narzucić. Rozmawiali długo, koszty stały się sprawą drugorzędną, może istotnie byłam dużo lepsza od nitrogliceryny, nie tylko dla niego.

Ożywiłam rodzicielski krwiobieg, cały ich dziesięcioletni związek nabrał dla nich

innego wymiaru, to spostrzeżenie z całą pewnością nie jest moją imaginacją. Siedziałam przy stole, z łokciami wbitymi w ceratę, jak ktoś, kto nigdy nie był wychowywany przez taką matkę jak Danuta. Nogi miałam także ustawione byle jak, co już było nie tylko nieestetyczne. Udzieliłam sobie niedbalej nagany i ściągnęłam kolana ku sobie. Miałam przed nosem stertę brudnych talerzy, a w zlewozmywaku drugie tyle, lecz nie obchodziło mnie to. Uładzałam w sobie sprawy ważniejsze.

Piotr nadal stał ze słuchawką przy uchu, a ona, tam z dalekiego Mielna, przemawiała do niego intymnie. Z całą pewnością uczucie zagrożenia jest czynnikiem scalającym. Schronili się do swego wspólnego azylu głównie przed sobą, przed swymi myślami i odkryciami, dokonany nagle i zupełnie niepotrzebnie, jeżeli uznać, że nieświadomość chroni spokój i niewinność. Niewinni nie byli od dawna, a spokój stracili w ostatnich miesiącach i też zupełnie niepotrzebnie. Co bowiem znaczy mała plamka na idealnym obrazie rodzinnym, do którego się przyzwyczaili. Nic. Nawet ten mój Franciszek z Asyżu rozgrzeszy się łatwo, jak inni, z każdej nieskromnej myśli, z każdego zatajonego uczucia, nie jest przecież mutantem, robi to dla swego luksusu psychicznego, tego jestem pewna, tak, na pewno się nie mylę. Była dziesiąta wieczór.

Cały dom spał, tylko skosem z trzeciego piętra dobiegało porykiwanie trąbki. To nasz wschodzący Louis Armstrong olśniewał dom próbkami swego talentu. Od nie domkniętego okna ciągnęło chłodem, a ja wciąż siedziałam naga na brzegu wanny, nie mając ochoty stąd wyjść. Napełniłam od nowa wannę gorącą wodą i weszłam do niej, aby się nieco rozgrzać. Przeszkłone drzwi przepuszczały światło z korytarza. Piotr jeszcze nie spał. Pod progiem płąsała zapewne wąska smuga światła, jak zawsze, gdy czytał długo w noc. Bacha nie było słyhać, widać muzyczne wsparcie nie było mu dziś potrzebne. Sięgnęłam po lusterko. Miałam wciąż tę samą twarz z przedwczoraj, sprzed miesiący, spokojną i nawet dosyć miłą. Ot, jeszcze jeden dowód, że najważniejsza jest fasada, co za nią, to się nie liczy. Gdybym miała miękkie rysy Jany, może by się nieco wyostrzyły. A gdybym miała suchą twarz, wyglądałabym pewnie jak młoda jędza, coś musiałoby się przebić z tej mojej głębi na zewnątrz, aż tak wyjątkowa nie jestem, chociaż nazwano mnie wybrykiem natury.

Woda znowu wystygła, od okna wiało już lodem, wstałam więc, owinęłam się szlafrokiem i ruszyłam do siebie. Pasemko światła rzeczywiście płąsało pod drzwiami, usłyszałam nawet szelest przewracanych kartek. W pierwszym odruchu chciałam zapukać, zrezygnowałam jednak. Porozkładałam zeszyty na biurku, chociaż żadna jutrzejsza lekcja nie była warta, aby dla niej zarywać kawałek nocy. Nie zamierzałam tego uczynić, mimo to budowałam na biurku kamuflaż, spod którego, gdyby tutaj wszedł, ujrzałby tylko pilną

uczennicę, nikogo więcej.

Zapaliłam małą lampkę, wpatrywałam się w mały krążek światła odbity na papierze. Wsluchiwałam się w natrętny szept, w nakazy przekazywane telepatycznie ode mnie, tej w środku, do mnie, tej na zewnątrz. Nie zaczadzały mnie, byłam trzeźwa, jak zawsze w takiej chwili. Skoncentrowałam się na jednym jedynym pytaniu, na które dotąd nie otrzymałam odpowiedzi. A był już najwyższy czas. Zdecydowałam się. Wykręciłam żarówkę przez ręcznik, schowałam pod poduszkę. Chwilę siedziałam w ciemnościach, słuchając swoich myśli. Potem zapaliłam światło u sufitu i ruszyłam do drzwi.

Zachowywałam się jak zawsze, gdy nagle w środku nocy musiałam wyjść z pokoju. Cicho i bezszelestnie, bez zapalania światła w korytarzu. Wyniosłam drabinę z kuchni, przystawiłam ją do pawlacza w korytarzu. Tam, na półce pod sufitem, leżały żarówki, ułożone w równą piramidkę. Obok niej ustawiła Danuta kilka słoików z pastą do podłogi. Zastanowiłam się. Wyjęłam żarówkę, potem uniosłam słoik i puściłam w dół. Łoskot dotarł chyba do samego parteru. Miotły sąsiedzkie nie poszły jednak w ruch. Czekałam chwilę na samej górze. Piotr stanął w progu i chwilę spoglądał na pobojuwisko.

- Przepraszam - powiedziałam ze skruchą.

- Przepaliła się żarówka.

- Jeszcze nie spałem - odrzekł.

- Ale inni spali - dodałam z poczuciem winy. Wciąż stałam na samej górze, z głową przy suficie.

- Zejdź stamtąd - powiedział.

- Tylko bardzo ostrożnie. Poranisz się szkłem.

Opuściłam się nieco niżej. Poły szlafroka zaplątały się, musiałam więc uwolnić je z potrzasku. Czyniłam to bardzo ostrożnie, zgodnie z jego nakazem. A on stał na dole, milcząc.

- Dlaczego chodzisz boso?! - odezwał się.

- Żeby było ciszej - wyjaśniłam.

Odsunął ostre kawałki szkła czubkiem pantofla. Chciał pójść po zmiotkę i posprzątać, zanim zejść w dół. Wciąż przepaszając za hałas, opuściłam stopy na niższy szczebel.

- Zaczekaj! - rzekł.

- Najpierw pozamiatam!

Zachwiałam się. Byłabym upadła na szpikulce szkła, gdyby mnie nie pochwycił. Przyłgnęłam do niego. Dostrzegłam osłupienie na jego twarzy, potem przestach, wreszcie to, na co czekałam. Stał jak obezwładniony. Obejmowałam go coraz ciaśniej. Zrobił krok, stołek umiejętnie przeze mnie potracony, upadł w poprzek. Przytuliłam się mocniej. Nim odstawił



mnie na podłogę, pocałowałam go, lecz nie tak, jak się całuje z wdzięczności. Zareagował. Jak każdy przed nim. Uczucie wielkiego triumfu zmieszało się z równie wielkim rozczarowaniem.

Był jak inni, dokładnie jak inni. Posadził mnie w fotelu. Byłam półnaga, ale nie dostrzegał tego, teraz już nie. Oswobodził się delikatnie, miał bladą twarz i obce oczy. Nie wyrażały nienawiści. Tylko samą rozpacz. Zamknął cicho drzwi. Po długiej chwili stuknęły te wyjściowe. Siedziałam w fotelu, w ciemnościach, chłodna jak nigdy. Lecz nie był to chłód rozumu. Sądzę, że niepewności. Dokąd poleciał ten szalony Franciszek z Asyżu? Jak wytrzyma dzień po dniu udając, że nic nie było, bo przecież naprawdę nie było nic, przynajmniej dla świata. Ale nie dla nas obojga. Wiedział o tym, ja też wiedziałam. O czwartej nad ranem ktoś zadzwonił do drzwi. Otworzyłam nie sprawdzając. Na podeście stało dwóch policjantów. Popatrzyli na mnie, stojącą w nocnej koszuli, z rozpuszczonymi włosami, nieco nieprzytomną. Pomyśleli pewnie, że ze snu.

- Poproś matkę - rzekł jeden z nich.

- Jest w sanatorium - odrzekłam.

- To kogoś dorosłego.

- Jestem sama.

- Możemy wejść?

Usunęłam się z progu. Chłód obejmował mnie teraz jak kleszczami. Obejrzelisi szkło leżące w korytarzu. Przeskoczyli szpikulce, a potem próg mojego pokoju.

- Spałaś?

- Uczyłam się.

Popatrzyli na biurko, potem na mnie, twarze pod daszkiem były zakłopotane. Wreszcie zdjęli czapki. Dostrzegłam, że patrzą na mnie ze współczuciem.

- Piotr Rokicki to twój ojciec?

- Tak.

Znowu popatrzyli na siebie.

- Ubierz się - powiedział jeden z nich.

Nie poruszyłam się.

- Uderzył w barierę mostu - rzekł ten drugi.

- Ale nie przeleciał - popatrzył na mnie, nadal nieruchomą.

- Żyje - dodał.

- Na razie...

Ten pierwszy zachnął się. Ale nie poprawił tekstu, nie dodał słowa. Patrzyłam na nich. Milczeliśmy teraz we troje. W twarzach mieli zaskoczenie i niepewność. Pojęłam. Czekali na

łzy przerażenia czy ulgi. Na pytania o stan, o nadzieję, tak, takie zachowanie przyjęliby ze zrozumieniem. Nie rzekłam jednak słowa.

- Ubierz się - odezwał się jeden z nich po raz drugi.

- Pojedziesz z nami. Ktoś musi potwierdzić, że to on, papiery to za mało - spojrzał na mnie, coś musiało być jednak w mojej twarzy, bo dodał szybko:

- Nie, nie, twarz ma nietkniętą, ale stracił przytomność.

Nie odezwałam się.

- Podaj adres twojej matki - rzekł ten pierwszy.

- Później - odrzekłam cicho.

- Zapukajcie do tego na górze. Jest lekarzem. Dobrze to zniesie.

Spojrzeli na siebie, skinęli głowami. Zamknęli drzwi. Słyszałam, jak dzwonią na górze, jak tamten otwiera, jak potem biega, sufit informował mnie o każdym jego ruchu. Wreszcie we trzech zbiegli w dół. Trzasnęła brama.